

PRZE KROJ

07 / 3165 • 16 lutego 2006
4,50 zł /w tym 7% VAT/

UWAGA, MIŁOŚNICY
SŁUCHAWEK
GROZI s. 48
WAM GŁUCHOTA!

KTO WYGRAŁ SAMOCHÓD?
Rozwiązanie
walentynkowego
konkursu
„Przekroju” s. 20

CO NAM MÓWI FOTOGRAFIA? **APOKALIPSA** WEDŁUG WORLD PRESS PHOTO



TYLKO U NAS
PRZEPIS NA ZDJĘCIE ROKU
I ZWYCIĘZCY
Z LAT 1955–2006

s. 6

FAKTY | LUDZIE | OPINIE



O Wenecji Północy wiemy wszystko...



Odwiedź Sztokholm

Terminy: 01.04, 29.04, 13.05, 27.05, 26.08, 09.09, 23.09, 07.10, 21.10.2006

W cenie: rejs dla jednej osoby w dwie strony na linii Gdańsk - Nynäshamn (tym samym promem), trzy noclegi na promie (miejsce w kabinie 4-os. wew.). Trzy śniadania gratis.

Zaletą tego wyjazdu jest możliwość zwiedzania Sztokholmu we własnym zakresie przez 2 dni.

Dopłata do samochodu 287 zł.*

już od
401 zł*

*Ceny w złotych orientacyjne, każdorazowo przeliczane z SEK według średniego kursu NBP z dnia dokonania zakupu. Warunkiem skorzystania z oferty specjalnej jest dokonanie rezerwacji przejazdu nie później niż 24 godziny przed rozpoczęciem rejsu. Bilety z ofertami specjalnymi nie podlegają zwrotowi.

Gdynia, tel. 58 620 87 61; Katowice, tel. 32 206 85 75; Kołobrzeg, tel. 94 352 50 10
Poznań, tel. 61 866 12 16; Szczecin, tel. 91 488 02 38; Świnoujście, tel. 91 322 43 96
Warszawa, tel. 22 830 09 30; Wrocław, tel. 71 344 41 37
sieć biur agencyjnych w całej Polsce, e-mail: info@polferries.pl



MORSKIE BIURA PODRÓŻY

www.polferries.pl



RACZKOWSKI na Czwartek



Wymyślił i narysował MAREK RACZKOWSKI

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY:

...o stu dniach opozycji

parlamentarnej. Bo choć w jej składzie nie brakuje doświadczonych polityków, to można o niej powiedzieć mniej więcej tyle, ile o stu dniach rządu – gabinet Marcinkiewicza wciąż się przygotowywał do rządzenia, a opozycja wciąż przygotowywała się do bycia opozycją. A do tego kontakt z masami opozycja ma dużo gorszy. A my go nie poprawimy – też mamy kiepski.

...o tym, że zapowiedź orędzia

prezydenta Kaczyńskiego w sprawie wyborów miała kosztować Polskę miliard złotych, o jaki w wyniku gwałtownego spadku kursu złotego wzrosło zadłużenie zagraniczne Skarbu Państwa. Bo ta informacja „Gazety Wyborczej” nie była prawdziwa już w dniu, w którym się ukazała, co musiało być oczywiste dla jej autorów jeszcze poprzedniego dnia, kiedy ją przygotowywali. Chyba że się całkiem nie znają na giełdzie. Ale tak czy owak

na pewno ktoś na tym orędziu zarobił, a ktoś stracił – jak to w życiu.

...o pomysłach podatkowych

minister finansów Zyty Gilowskiej, które przedstawiła z właściwą sobie swadą i energią na konferencji prasowej. Bo nie jest jasne, kogo reprezentowała pani wicepremier, skoro już następnego dnia inny wicepremier tego samego rządu, niejaki Ludwik Dorn, znany też jako pogromca dziennikarzy, z kpiącym uśmiechem na twarzy zwracał uwagę dyskutantom „Prosto w oczy”, że propozycje Gilowskiej to jej prywatna inicjatywa, nieuzgodniona z gabinetem Marcinkiewicza.

...o szefach reaktywowanego

popkulturalnego pisma „Machina”, którzy postanowili zrobić zadymę z numerem zerowym i dali na okładce przetworzony wizerunek Matki Boskiej Jasnogórskiej – zamiast Madonny widać twarz piosenkarki Madonny, a zamiast

dzieciątka namalowana jest jej córka o imieniu Lourdes. Bo nasi domorośli prowokatorzy okazali się ludźmi małej wyobraźni i słabych charakterów: kiedy paulini z Jasnej Góry zaprotestowali przeciwko urażaniu uczuć religijnych Polaków, profanowaniu i wykorzystywaniu wizerunku Matki Boskiej Jasnogórskiej dla celów reklamowych, wydawca i naczelny pisma natychmiast pospieszili z przeprosinami i zapewnieniem: „Nie było i nigdy nie będzie naszym celem obrażanie niczych uczuć religijnych czy jakichkolwiek innych”. Czyli nowa „Machina” nie ma szans.

...o olimpiadzie w Turynie.

Bo nie potrafimy się cieszyć sukcesem samego uczestnictwa naszych reprezentantów w dyscyplinach sportowych, których zasady rozumiemy, ani nie chcemy biadolić nad brakiem naszych zawodników w dyscyplinach, których zasad nie rozumiemy. Poza tym mamy już dość śniegu.

CYTAT tygodnia

W kampanii wyborczej przedstawialiśmy różne bzdety, obiecywaliśmy złote góry

– STANISŁAWA OKULARCZYK, wiceminister rolnictwa, PiS, zniesmaczona balaganem i gramy grup interesów w jej ministerstwie



pl. RAFAŁ GUZ/FOOTZEPRA

38
Turkmeński
spadkobierca
Czyngis-chana



Okladka:
Fot. FINBARR
O'REILLY/REUTERS/
FORUM
WORLD PRESS PHOTO
ZDJĘCIE ROKU 2005

POWIĘKSZENIE

6 ODBITKA ŚWIATA

A WŁAŚCIWIE TO...

18 KOMENTARZE
PIOTRA NAJSZTUBA
I WAWRZYŃCA
SMOCZYŃSKIEGOWALENTYNKOWY
KONKURS „PRZEKROJU”

20 UWAGA! ROZSTRZYGNIECIE!

KRAJ

22 PRZEKROJ TYGODNIA

24 RZECZPOSPOLITA SALONOWA
Tylko u nas: przewodnik
po najmodniejszych
politycznych salonach RP.
To tam wykuwają się i hartują
nasze drogie elity

ALE O CO CHODZI

28 SPD: SOJUSZ PRAWICY
DEMOKRATYCZNEJ
Pomny na dzieje polskiej
słabej i rozbitej prawicy,
Jarosław Kaczyński zbudował
PiS na wzór SLD.
Na razie triumfuje, ale winien
baczyć, dokąd prowadzi go
ścieżka mocy

KRÓTKA ROZMOWA

30 DOBRE CHĘCI
NIE ZASTĄPIĄ RACJI
Minister Ziobro to młody
człowiek, który po prostu nie
miał czasu, aby zapoznać się
z odpowiednią wiedzą – uważa
profesor Adam Strzembosz

ZAGRANICA

32 PRZEKROJ TYGODNIA

34 ŚWIAT NIE ŚPI
Dzięki niej biznes kręci się
24 godziny na dobę, wielkie
korporacje zarabiają krocie,
tysiące ludzi dostaje pracę.
Ale inni ją tracą.
Czy delokalizacja usług
to błogosławieństwo,
czy przekleństwo współczesnej
gospodarki?

LUDZIE

38 CZYNGAZ-CHAN
Saparmurat Nijazow robi
w Turkmenistanie, co chce
i jak chce. Światu zbyt zależy
na turkmeńskim gazie,
by zdobył się na krytykę
środkowoazjatyckiego satrapy44 KOZIOŁEK OFIARNY
Od zwykłego radnego
do syna bożego, czyli Jarosława
Koziołka przypadki

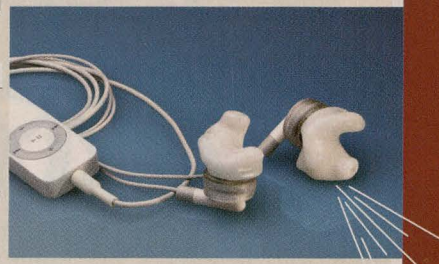
SPOŁECZEŃSTWO

BIZNESMAGAZYN MOSZA
46 JAK SIE NIE PSEWRÓCIS,
TO SIE NIE NAUCYS
Górska mądrość dla
gieldowych nowicjuszy

OBYCZAJE

48 KULTURA OGŁUSZA
Przed laty szanujący się
rockman chciał grać
najgłośniej na świecie. Dziś
głuchnący muzycy zaczynajądbać o słuch – własny
i słuchaczy

NAUKA

54 MYŚLĘ, WIĘC... KIM JESTEM?
Co konstytuuje naszą jaźń?
Czego możemy dowiedzieć się
o własnym „ja”? Pytania
trudne, ale fascynująceKOLEKCJA
„PRZEKROJU”60 PRZYSZŁA WNUCZKA
DO BABUNI
Malarstwo Olgi BoznańskiejTYDZIEŃ – KULTURALNIE
POLECAMY62 WYDARZENIE Tuminas reżyseruje
w Warszawie

64 FILM „Capote”!

66 MUZYKA Niesamowita Cat Power

68 KSIĄŻKI Opowiadania
Etgara Kereta

70 GRY „Shadow of the Colossus”

ZAWSZE CZYTAJ

3 NA CZWARTEK RACZKOWSKI,
W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY16 TECZKI OSOBOWE, NA CZCZO
IGORA ZALEWSKIEGO

52, 59 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

72 EKSTRA

73 LISTY, KRZYŻÓWKA

74 RACZEJ RACZKOWSKI

75 ROZMAITOŚCI

48

Uszy
w potrzasku
kulturalnych
dźwiękówPRZE
KROJUNIWERSYTET
WARSZAWSKIFESTIWAL MUZYKI
WARSZAWAtraffic
CLUBKawiarnia Naukowa
Przekrój Nauki
zaprasza na spotkanieCZAS: 20 lutego
godz. 18.00MIEJSCE: Traffic Club
przy ul. Brackiej 25
w Warszawie (III piętro)

TEMAT:

PŁEĆ – FANABERIA CZY KONIECZNOŚĆ?

- Kiedy powstała płeć i jak radzą sobie stworzenia, które jej nie mają?
- Czy gdyby nie było płci, powstałby Homo sapiens?
- Co ewolucja robi z mężczyznami?

Dyskusję poprowadzą:

prof. Jadwiga Jaruzelska, genetyk z PAN, Poznań
prof. Jerzy Dzik, paleontolog z PAN, WarszawaRMF
fm

CARLOS SANTANA

NAJLEPSZA MUZYKA



KUBA DĄBROWSKI

ODBITKA ŚWIATA

Jak zwykle w lutym ogłoszone zostały wyniki konkursu World Press Photo. Oto ja według jego jurorów powinniśmy zapamiętać 2005 rok i jak wyglądają wybrane przez nich zdjęcia roku tego 50-lecia konkursu

Zdjęcie roku. Matka z dzieckiem w centrum żywienia w Taho (Niger). Autor: Finbarr O'Reilly (Reuters)



Rodzina z Gwatemali – pierwsza nagroda w kategorii życie codzienne/ reportaż. Zdjęcie duńskiego fotografa Jacoba Aue Sobola

1955



MOGENS VON HAVEN
Wypadek motocyklisty w czasie wyścigów Volk Mfille w Danii

1956



HELMUTH PIRATH
Niemiecki jeńiec wojenny wita się z córką po powrocie z radzieckiej niewoli

1957



DOUGLAS MARTIN
Dorothy Counts, jedna z pierwszych czarnych uczennic w szkole w Karolinie Północnej, gdzie zerwano z segregacją rasową

1958



STANISLAV TEREBA
Final piłkarskiego pucharu ówczesnej Czechosłowacji, grają drużyny z Pragi i Bratysławy

1960



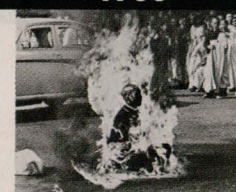
YASUSHI NAGAO
Prawicowy student zabija przewodniczącego japońskiej partii socjalistycznej Inejiro Asanumę w czasie przemówienia

1962



HECTOR RONDON LOVERA
Baza morska w Wenezueli, żołnierz umiera od strzału snajpera

1963



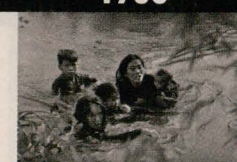
MALCOLM W. BROWNE
Mnich buddyjski Thich Quang Duc dokonuje samospalenia w proteście przeciwko prześladowaniom religijnym w Wietnamie Południowym

1964



DON McCULLIN
Turczynka oplakuje męża, który zginął w grecko-tureckiej wojnie domowej na Cyprze

1965



KYOICHI SAWADA
Wietnam, matka z dzieckiem uciekają przed amerykańskim bombardowaniem

1966

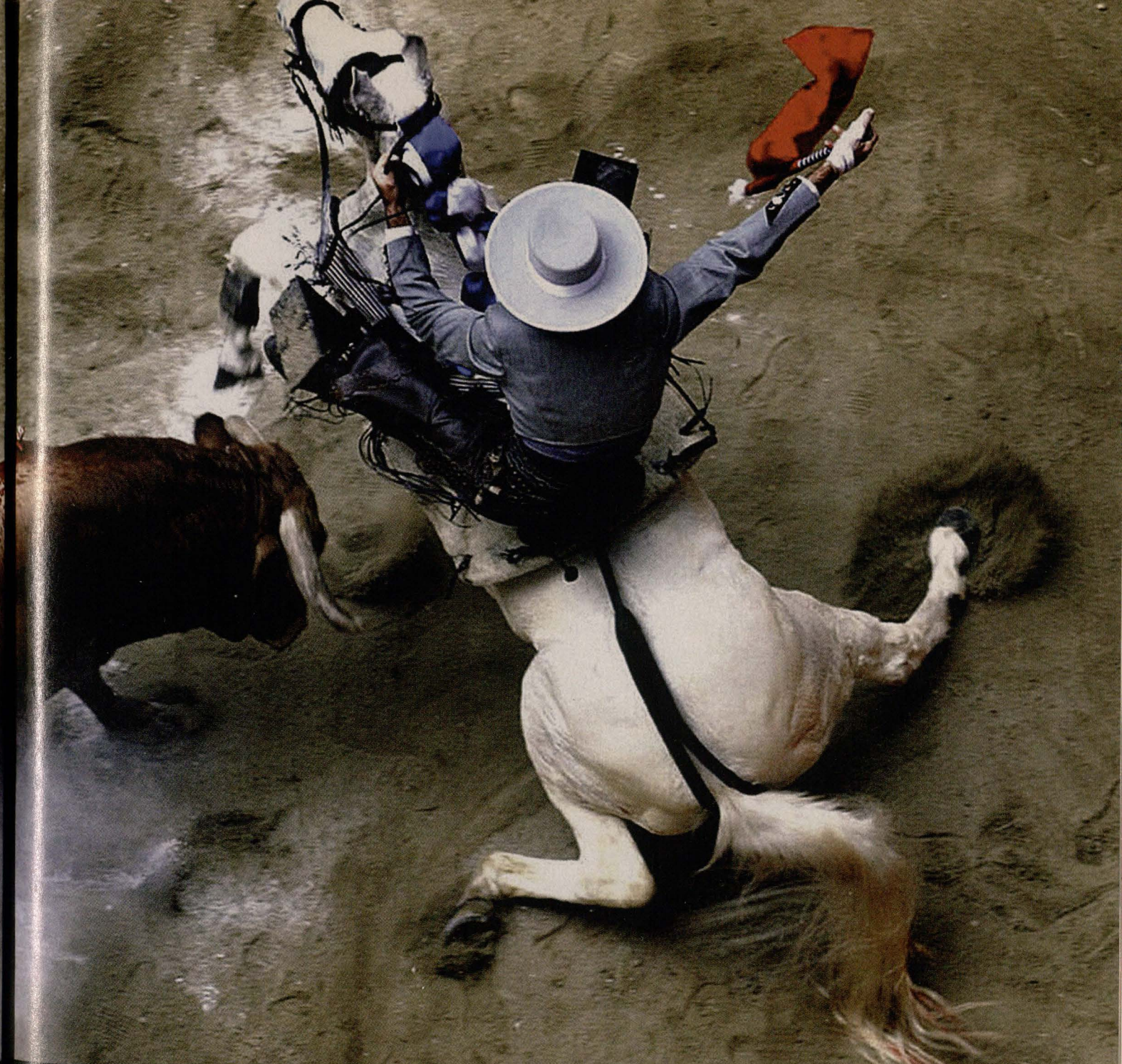
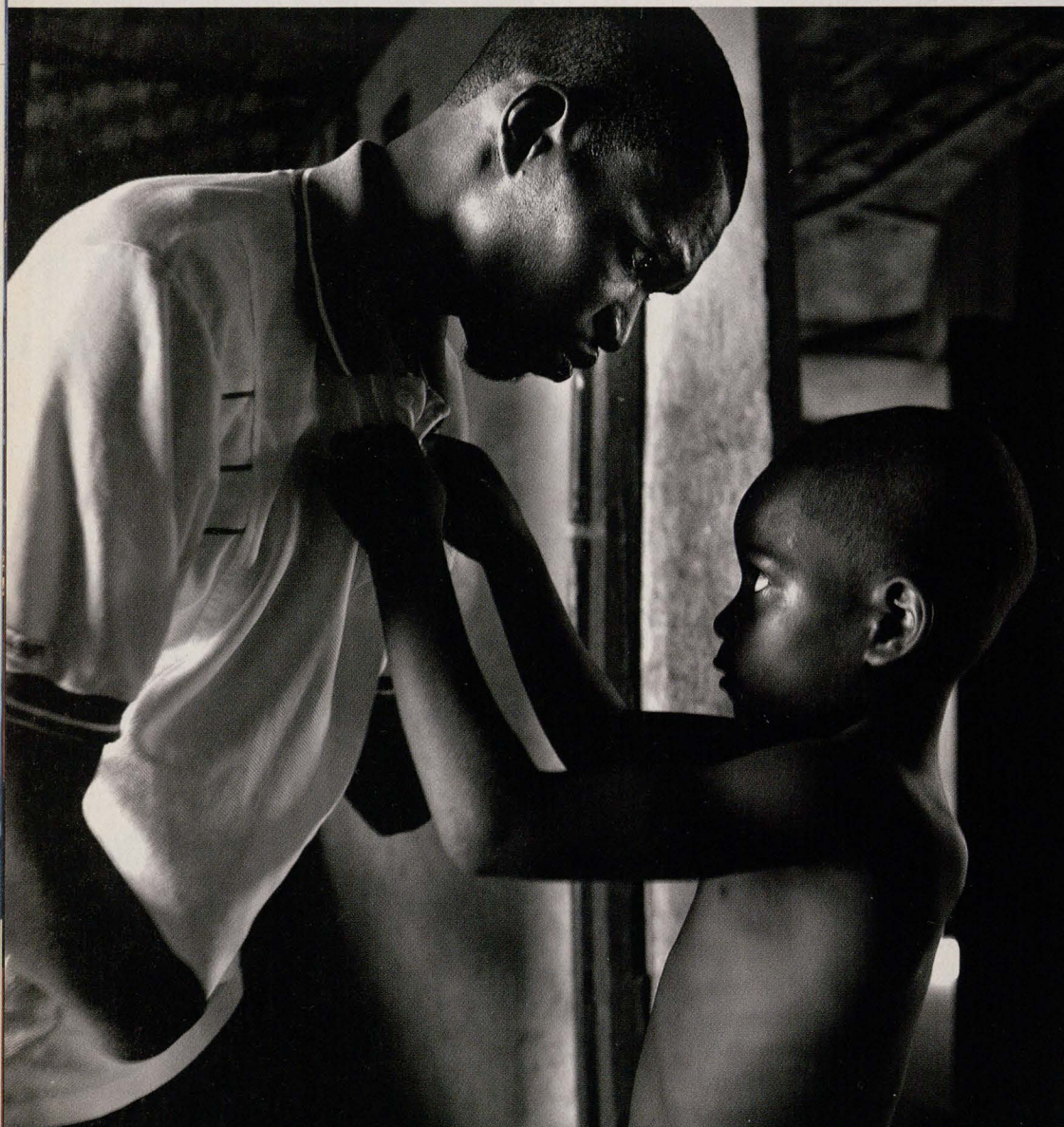


KYOICHI SAWADA
Amerykańscy żołnierze wloką ciało bojownika Wietkongu



Walka z bykami w obiektywie kolumbijskiego fotografa Henry'ego Agudela (dla „El Colombiano”). Pierwsza nagroda w kategorii sport/zdjęcie pojedyncze

Sierra Leone. Syn pomaga się ubrać kalekiemu ojcu – zdjęcie nagrodzone w kategorii sprawy współczesne/zdjęcie pojedyncze. Yannis Kontos, agencja Polaris



1967

1968

1969

1971

1972

1973

1974

1975

1976

1977



CO RENTMEESTER
Amerykański dowódca
w Wietnamie Południowym.
Zdjęcie początkowo
odrzucone przez redakcję
„Life’a”



EDDIE ADAMS
Oficer południowo-
wietnamskiej policji
dokonuje egzekucji
podejrzanego
o członkostwo
w Wietkongu



HANNS-JORG ANDERS
Irlandzki katolik w masce
gazowej pozuje przed
graffiti z napisem
„Chcemy pokoju”
w czasie zamieszek
w Londonderry



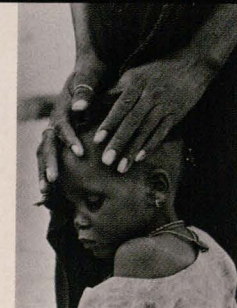
WOLFGANG PETER
GELLER
Strzelanina między
policją a uczestnikami
napadu na bank
w niemieckim
Saarbrücken



UT CONG HUYNH
Ucieczka cywilnych ofiar
pomyłkowego ataku
napalmem, Wietnam
Południowy



ZDJĘCIE
ANONIMOWE,
„THE NEW YORK
TIMES”
Prezydent Chile
Salvador Allende
na chwilę przed
śmiercią
w wojskowym
zamachu stanu



OVIE CARTER
Jedna z młodocianych
ofiar suszy (fragment serii
„Twarze głodu”)



STANLEY FORMAN
Ucieczka przez okno
z płonącego domu
w Bostonie



FRANCOISE
DEMULDER
Palestyńczy
uchodźcy w Bejrucie



LESLIE HAMMOND
Policja rozpędza gazem
łzawiącym demonstrację
w RPA

Konkurs World Press Photo nie do końca stanowi odbicie tego, co faktycznie dzieje się na rynku fotografii prasowej. To raczej wynikająca z ambicji i życzeń samych fotografów wizja tego, jak ten rynek powinien wyglądać. WPP to także – w dużej mierze – sposób na pokazanie światu reportaży, które nie mogłyby się ukazać na łamach zdominowanych przez reklamę kolorowych magazynów. Przykładem tego jest „Mia”, fotografowana przez Davida Hóghsholta historia narkomanki z Kopenhagi. Była nagradzana już dwa razy – poprzednio w kategorii sprawy współczesne/reportaż, a w tym roku – w kategorii portret/zdjęcia pojedyncze (fotografię nagrodzoną w tym roku pokazujemy obok). Mimo nagród materiał ten nie doczekał się publikacji w żadnym znaczącym czasopiśmie.



1978



SADAYUKI MIKAMI
Protesty przeciw budowie nowego lotniska w Tokio

1979



DAVID BURNETT
Kambodżanka z dzieckiem w obozie dla uchodźców w Sa Keo w Tajlandii

1980



MICHAEL WELLS
Misjonarz z Ugandy trzyma za rękę umierającego z głodu chłopca

1981



MANUEL PEREZ BARRIOPELRO
Członkowie Gwardii Cywilnej przetrzymują rządowych zakładników w Madrycie

1982



ROBIN MOYER
Masakra palestyńskich uchodźców w Bejrucie

1983



MUSTAFA BOZDEMIR
Turczynka nad ciałami pięciorga jej dzieci, które zginęły w wyniku trzęsienia ziemi

1984



PABLO BARTHOLOMEW
Ciało dziecka, ofiary wybuchu gazu w Indiach

1985



FRANK FOURNIER
Unieruchomiona (później zmarła) 12-letnia ofiara wybuchu wulkanu w Kolumbii

1986



ALON REININGER
Chory na AIDS Amerykanin z San Francisco

1987



ANTHONY SUAUI
Matka jednego z demonstrantów aresztowanych w czasie rozruchów w Korei Południowej

JAK ZROBIĆ ZDJĘCIE ROKU



Cztery dramaty rodzinne i cztery „płaczące madonny”. Cztery historie dziejące się przy okazji gorących konfliktów i katastrof, a zarazem cztery opowieści o konkretnych ludziach. Nagradzane w World Press Photo jako zdjęcia roku w różnych latach pokazują uniwersalne wymogi idealnej fotografii podsumowującej wydarzenia 12 miesięcy

1988 1989 1990 1991 1992



CHARLIE COLE
Student próbujący zatrzymać kolumnę czołgów na placu Tiananmen w Pekinie



GEORGES MERILLON
Rodzina oplakuje jedną z ofiar albańskich demonstracji w Kosowie

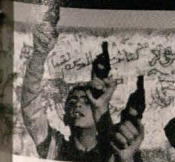


DAVID TURNLEY
Amerykański żołnierz oplakuje towarzysza, który zginął od przypadkowej kuli ostatniego dnia wojny w Zatoce

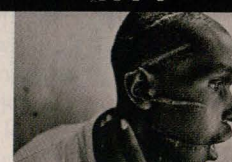


JAMES NACHTWEY
Matka niesie do grobu ciało swego dziecka, ofiary głodu w Somalii

1993 1994 1995 1996 1997



LARRY TOWELL
Palestyńscy chłopcy wymachują zabawkowymi pistoletami przed obiektywem fotografa



JAMES NACHTWEY
Mężczyzna Hutu z Ruandy okaleczony przez współplemieńców za sprzyjanie wrogim Tutsi



LUCIAN PERKINS
Czeczeński chłopiec w autobusie jadącym do Groznego w czasie konfliktu z Rosjanami



FRANCESCO ZIZOLA
Ofiary min lądowych w Kuito w Angoli



HOCINE
Kobieta pod szpitalem w Algierze oplakująca jedną z ofiar masakry w Benthali

DAVID TURNLEY
Ormianin oplakuje 17-letniego syna, ofiarę trzęsienia ziemi

1998

DAYNA SMITH
Krewni pocieszają wdowę
po członku Armii
Wyzwolenia Kosowa
zastrzelonym w czasie
patrolu

1999

CLAUS BJÖRN LARSEN
Ranny albański uciekinier
z Kosowa

2000

LARA JO REGAN
Rodzina meksykańskich
imigrantów w Stanach
Zjednoczonych

2001

2002

2003

2004

2005

ERIC GRIGORIAN
Chłopiec nad grobem
swojego ojca, który
zginął w wyniku
trzęsienia ziemi w Iranie

JEAN-MARC BOUJU
Ojciec z synem
w obozie dla
więźniów wojennych
w czasie wojny
w Iraku

ARKO DATTA
Hinduska kobieta
opłakuje krewnego,
który zginął podczas
tsunami

FINBARR O'REILLY
Tahoa (Niger).
Kobieta z dzieckiem
w miejscowym
centrum żywienia

ERIK REFNER
Ciało afgańskiego chłopca
zmarłego w wyniku
odwodnienia organizmu
w obozie dla uchodźców
w Pakistanie

O bóz dla ofiar głodu w Nigrze. Smutne oczy matki, wychudzona rączka dziecka dotyka jej ust. – To zdjęcie ma w sobie wszystko: piękno, grozę i rozpacz – mówi James Colton, przewodniczący jury konkursu World Press Photo, o zdjęciu roku 2005. – Ta fotografia prześladowa mnie, siedzi w mojej głowie, od kiedy zobaczyłem ją dwa tygodnie temu.

To już 48. konkurs World Press Photo i 48. zdjęcie roku, które w założeniu fundacji ma się stać wizualną ikoną, w jednym kadrze zamknąć najważniejsze problemy świata mijających 12 miesięcy. Tegoroczna fotografia autorstwa Kanadyjczyka Finbarra O'Reilly'ego została wybrana spośród ponad 83 tysięcy przysłanych na konkurs przez 4,5 tysiąca fotografów. Z roku na rok przybywa prac do wyboru.

Dlaczego właśnie to zdjęcie? Jaki jest przepis na wygranie najbardziej prestiżowego konkursu fotografii? Jakie reguły rządzą obradami jury? Co zrobić, żeby wygrać za rok? Posłuchajmy się statystyk. Jeśli ta nie kłamie, wystarczy kilka decyzji.

BYĆ W OGNIU WYDARZEŃ

Pierwsza rzecz, którą powinniśmy zrobić, jeżeli poważnie myślimy o wygranej, to wsiąść do samolotu i udać się w rejon konfliktu zbrojnego lub klęski żywiołowej. Żeby zdobyć nagrodę WPP, nie wystarczy tylko wyjść na ulicę i zrobić jedno szczęśliwe, ale przypadkowe zdjęcie. Trzeba być obok najważniejszych wydarzeń.

Aż 42 z 48 dotychczasowych zdjęć roku zostały zrobione właśnie w czasie konfliktów lub katastrof. Trzęsienia ziemi w Turcji (1983) i Iranie (2002), wyciek gazu w Indiach (1984), wulkan w Kolumbii, susza w Somalii, wojny w Iraku, Afganistanie i Wietnamie. Sześć pozostałych zdjęć – te, które nie pochodzą ze stref zapalnych współczesnego świata – to głównie wygrani z pierwszych edycji konkursu, w których zgłoszeń było mniej, a co za tym

Jeśli spojrzeć na 50 lat konkursu World Press Photo, łatwo dojść do wniosku, że zdjęcie roku w zasadzie można by zaplanować. Diabeł tkwi w szczegółach

idzie, większą rolę odgrywał przypadek. Mamy wśród nich wypadek motocyklisty na wyścigach (1955) czy malowniczą scenę rzutu wolnego w meczu pomiędzy drużynami z Pragi i Bratysławy (1958). Po prostu bardzo dobre zdjęcia, choć dokumentujące mniej ważne sceny. – To nieuniknione, zawsze jest tak, że mamy w ciągu roku kilka kluczowych wydarzeń i to właśnie spośród nich jury wybierze zdjęcie roku – komentuje Colin Jacobson, brytyjski teoretyk fotografii. – Trudno sobie wyobrazić, żeby takie sprawy, jak tragedia tsunami czy wojna w Afganistanie, pozostały z boku. Cała sztuka polega na znalezieniu równowagi pomiędzy wizualną jakością fotografii a doniosłością fotografowanego wydarzenia.

Wyjątki oznaczają wpuszczenie do konkursu świeżego powietrza – tak było z wybranym w 1986 roku zdjęciem Alona Reiningera, które przedstawia zwykłego Amerykanina chorego na AIDS – Kena Meeksa. Jacobson był wtedy członkiem jury: – Ten rok akurat nie obfitował w wyjątkowo spektakularne wydarzenia, otworzyła się więc furtka, szansa na pokazanie czegoś owszem, aktualnego, ale bardziej z boku, niż z głównego wydania wiadomości. To był czas apogeum epidemii AIDS i sam pomyślałem, że to najlepszy moment, żeby to zaznaczyć.

WYWALCZYĆ UPÓR JURORÓW

Finałowy etap obrad jury (dziewięciu fotografów i szefów fotoedycji znanych gazet), odbywający się co roku w lutym w Holandii, to ciągnące się długo w nocy rozmowy o konkretnych zdjęciach i przekonywanie się nawzajem do swoich racji. Kiedyś ocenianie prac zajmowało im tydzień, ostatnio nawet i 12 dni. To proces czasochłonny, obejmuje cztery rundy głosowań. Sławny jest sposób selekcjonowania zdjęć, które wyświetla się na ekranie w ciemnej sali, a członkowie jury świecą na ekran latarkami – w zależności od tego, ile latarek rozbłysło, zdjęcie jest kwalifikowane do dalszej rundy bądź odrzucane.

– To trochę takie siłowanie się – mówi Jacobson. – Kiedy jury ma do czynienia tylko z kilkumastoma bardzo dobrymi fotografiami, to, która z nich zostanie wybrana, zależy przede wszystkim od asertywności, pewności siebie i siły argumentów poszczególnych jurorów. Najlepsze zdjęcia często przegrywają dlatego, że ktoś za słabo przy nich obstawał. Mnie w 1986 roku udało się wywalczyć swoje.

ODWOŁAĆ SIĘ DO EMOCJI

Trafić w miejsce konfliktu to jedno, ale co zrobić po wyjściu z samolotu? Wbrew powszechnej opinii wcale nie chodzi o to, by zrobić zdjęcie krwawe, brutalnie szokujące. Choć o emocje.

Przed wszystkim według statystyki należałoby poszukać najlepiej dziecięcych bohaterów. Aż na 20 spośród wszystkich nagrodzonych w historii konkursu zdjęć widać dziecko. Malutka czarna rączka w pewnej i pomocnej białej dłoni na zdjęciu Michaela Wellsa, małe stopy wystające spod rękawa kambodżańskiej kobiety w obozie dla uchodźców, chłopiec kurczowo ściskający spodnie zmarłego w trzęsieniu ziemi ojca, iracki więzień przytulający syna.

– Zdjęcia roku muszą odwoływać się do uniwersalnych emocji. Tak działają ikony – mówi Witold Krassowski, juror i fotograf nagradzany w konkursie. – Miejsce dla niuansów i bardziej wysmakowanego podejścia pozostaje w dalszych kategoriach, ale nie przy wyborze tego.

Gdyby ktoś uparł się, by zaufać statystyce, powinien prócz dzieci fotografować również płaczące kobiety – te występują aż na 15 spośród zdjęć roku. Wszyscy pamiętamy „płaczące matki” z Czeczenii, Kosowa czy Palestyny. Rodzinne emocje związane ze stratą bliskich, ceremonie pogrzebowe z jednej strony rozgrywają się na tle wielkich konfliktów, a z drugiej – wprowadzają te ostatnie do kameralnego wymiaru, przedstawiają nam losy pojedynczych bohaterów. Pod tym względem fotografie wybrane w ostatnich latach wydają się wręcz modelowe.

MIEĆ WŁAŚCIWĄ PERSPEKTYWĘ

Kolejna ważna rzecz, na którą, niestety, w ogóle już nie mamy wpływu, to nasze miejsce urodzenia. Tylko sześciu spośród dotychczasowych zwycięzców nie pochodziło z Europy lub z Ameryki Północnej. Nad konkursem od wielu już lat wisi słuszny do pewnego stopnia za-

rzut: oto świat „pierwszy” przygląda się biedzie i tragediom Trzeciego Świata.

– Organizatorzy konkursu doskonale zdają sobie z tego sprawę – mówi Jacobson. – Od kilku lat podejmowane są kroki, aby tej sytuacji zapobiec. Jury konkursu dobierane jest spośród przedstawicieli wielu kultur, jego członkowie pochodzą z różnych kontynentów – ma to zapewnić zderzenie różnych punktów widzenia, przeciwdziałać faworyzowaniu wydarzeń ważnych z punktu widzenia małego tylko fragmentu świata i uniemożliwiać granie na egzotyce.

– Ta sytuacja zmienia się na naszych oczach – dodaje Krassowski. – Patrzenie tylko na zdjęcie roku bywa tu mocno mylące. W tej kategorii słabiej widać powolne zmiany. Dopiero kiedy przyjrzymy się innym, zobaczymy wyraźne zmiany.

Faktycznie. W tym roku pierwsze miejsce w kategorii Spot News zdobył Mohamed Azakir

z Libanu, trzecie w General News Rafiq Maqbool z Indii, coraz częściej zwycięża inny, nieeuropejski punkt widzenia.

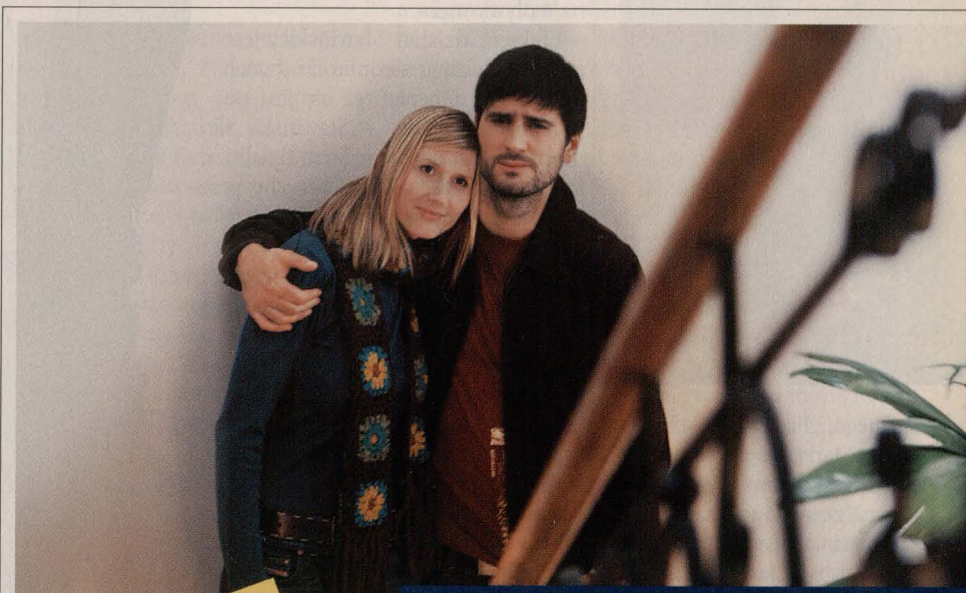
POZA STATYSTYKĄ

– Statystyka statystyką – mówi Krassowski. – To, że coś te zdjęcia ze sobą łączy, że wpadają w pewne kategorie, nie znaczy jeszcze, że istnieje przepis na wygranie World Press Photo. Co roku jest inne jury. Tak nieprzewidywalne jak świat, który nas otacza.

Potrzebujemy więc jeszcze tylko jednego – szczęścia.

KUBA DĄBROWSKI
AUTOR JEST FOTOGRAFEM I FOTOEDYTOREM
„PRZEKROJU”

ZDJĘCIA DZIĘKI UPRZEJMOŚCI FUNDACJI
WORLD PRESS PHOTO



Kupuj teraz!
UniStoProcent Plus^{RO}
nawet
16,31%
zysku!

Jak duży jest zysk w funduszu UniStoProcent Plus^{RO}?
Powiemy to otwarcie:

w ciągu roku zarobiliśmy 16,31%!

Cenimy sobie bezpieczeństwo, a UniStoProcent Plus^{RO} dąży do ochrony naszych oszczędności. Ogranicza ryzyko i zarabia na wzrostach cen akcji. Świetnie z nim zarabiamy...

Też tak chcesz? Nie czekaj!

O fundusz UniStoProcent Plus^{RO} pytaj w bankach i biurach maklerskich.

Zarabiaj z Union Investment – najlepszym w Polsce Towarzystwem Funduszy Inwestycyjnych*.

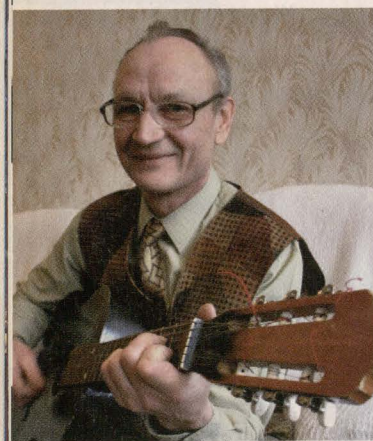
ulgowa infolinia: 0 801 144 144
www.union-investment.pl

Union Investment

16,31% – stopa zwrotu w okresie 31.12.2005 – 31.12.2004 r. Prezentowane wyniki są oparte na historycznej wycenie funduszu i nie stanowią gwarancji na przyszłość. Indywidualna stopa zwrotu zależy od dnia zbycia i dnia odkupienia jednostek uczestnictwa przez fundusz oraz od pobranych opłat manipulacyjnych. Wskazane przeliczenia dotyczące wyników finansowych funduszu są przeliczeniami własnymi towarzystwa. Informacje o ryzyku inwestycyjnym znajdziesz w prospekcie informacyjnym oraz w skrócie prospektu informacyjnego funduszu, dostępnych w internecie: www.union-investment.pl, towarzystwie oraz w sieci sprzedaży. Przedstawione prognozy zysków w wyniku inwestycji dokonanej w fundusz, są prognozami własnymi towarzystwa. Fundusz, zgodnie ze statutem, może lokować więcej niż 35% wartości swoich aktywów w papiery wartościowe emitowane, poręczane lub gwarantowane przez Skarb Państwa albo Narodowy Bank Polski, kraje należące do OECD wskazane w prospekcie informacyjnym funduszu, a także papiery wartościowe emitowane, poręczane lub gwarantowane przez międzynarodową instytucję finansową, której członkiem jest Rzeczpospolita Polska lub co najmniej jedno państwo członkowskie, pod warunkiem, że papier wartościowy, emitent, poręczyciel lub gwarant posiada co najmniej rating inwestycyjny nadany przez co najmniej jedną z renomowanych agencji ratingowych. * Ranking „Rzeczpospolitej” z dnia 20.10.2005 r.

MIROSLAW GORSKI Miś już nie ludowy

Był rok 1970. Mirek w woj-sku, stęskniony za mną i naszym dwuletnim synkiem siedział sam w koszarach zwolniony z ćwiczeń z powodu otarcia nóg. Napisał wtedy piosenkę. Tytułowym „białym misiem” był nasz syn Andrzej, który miał wtedy białe włosy – tak powstanie najsłynniejszego szlagieru we-



Fot. SE/EAST NEWS

selnego, „Białego misia”, opisuje Maria, żona Mirosława Górskiego. Ten mieszkaniec Pizy, z zawodu ślusarz, z zamiłowania gitarzysta i wokalista, założył z kolegami zespół Dowcipnisie. Grywali „Misia” na weselach i dancingach. Gdy po pięciu latach zespół się rozpadł, piosenka, jak dziewczyna z tekstu, „poszła z innym”. Autorowi wystarczyła popularność utworu określanego jako „ludowy”. Teraz historię „Białego misia” na stronie www.piszanin.pl opisała Maria. Nie ukrywa, że przy niewielkich rentach małżeństwa (razem tysiąc złotych) przydałyby się im tantiemy. – Trudno oszacować, ile pan Mirosław mógłby otrzymać – mówi Dorota Tomczyk z ZAiKS, gdzie autor „Białego misia” zgłosił prośbę o rejestrację. – Musi jeszcze przysłać nuty, tekst, potwierdzić, że jest autorem.

– To nic trudnego, mamy pierwsze nagrania i świadków – mówi pani Maria. (AJ)

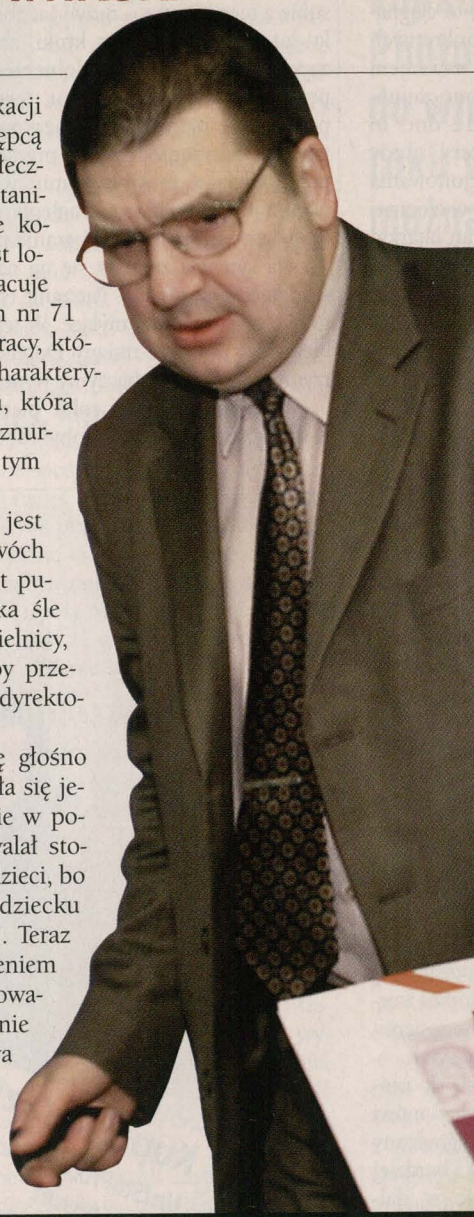
STANISLAW SLAWINSKI W służbie żony

Obecny wiceminister edukacji do grudnia 2005 roku był zastępcą dyrektora Biura Edukacji w stołecznym ratuszu. Z obu stanowisk Stanisława Sławińskiego skwapliwie korzysta jego żona Magdalena. Jest logopedką, od kilkunastu lat pracuje w Zespole Szkół Integracyjnych nr 71 w Warszawie. Jej koleżanka z pracy, która woli pozostać anonimowa, charakteryzuje ją tak: – Szara eminencja, która zza kulis pociąga za wszystkie sznurki w szkole. Powołuje się przy tym na wpływy męża.

Efektom działań Sławińskiej jest odejście w ciągu siedmiu lat dwóch dyrektorek. Obecna też nie jest pupilką logopedki. – Sławińska śle na nią skargi do burmistrza dzielnicy, któremu podlega ZSI. Chce, by przegrała zbliżający się konkurs na dyrektora – mówią nauczycielki.

O mężu logopedki stało się głośno na początku lat 90., gdy ukazała się jego książka „Spór o wychowanie w posłuszeństwie”, w której pochwalał stosowanie kar cielesnych wobec dzieci, bo „najsukuteczniej komunikują dziecku to, co powinny komunikować”. Teraz Sławiński pracuje nad utworzeniem Narodowego Instytutu Wychowania, którego zadaniem – zgodnie z zapowiedziami ministerstwa – będzie „na nowo nauczyć młodzież, czym są dobro, prawda i piękno”.

(GREG)



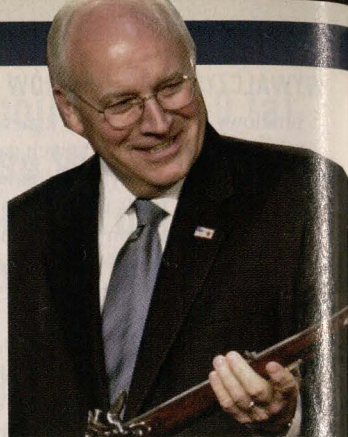
Fot. TOMASZ GZEL/PAP

KS. WIESLAW WOLOSZYN Inne powołanie

Wikariusz parafii Opatrzności Bożej w Stalowej Woli jest kapitanem polskiej reprezentacji księży. Drużyna zdobyła w Zagrzebiu srebrny medal na Drugich Halowych Mistrzostwach Europy Duchownych w Piłce Nożnej. Grały reprezentacje 10 krajów, polscy księża pokonali Włochy (2:1) oraz po 1:0 Bośnię i Hercegowinę, Rumunię i Hiszpanię. W półfinale wygrali z Portugalią 2:0. Porażkę po rzutach karnych ponieśli w finale z Chorwacją, która broniła tytułu. W ubiegłorocznych mistrzostwach w Austrii Polacy też zdobyli srebro. – Jeszcze jako kleryk występowałem w drużynie seminarium w Sandomierzu. Trzy razy byliśmy mistrzami kraju. Dzięki temu miałem rozeznanie wśród księży piłkarzy – mówi ks. Wiesław (rocznik 1972), który już od prawie trzech lat buduje piłkarską reprezentację, wysłał powołania do graczy, w PZPN załatwia narodowe stroje. Na co dzień gra w Bukowej Jastkowice – zespole klasy okręgowej



(V liga). Występuje w ataku i w obronie. Ks. Wiesław już myśli o przyszłorocznych mistrzostwach w Bośni i Hercegowinie. – Pojedziemy po złoto – zapowiada. Chciałby, aby Polska była gospodarzem turnieju w 2008 roku. Zaprosiłby zespoły z innych kontynentów i tym samym zorganizowałby I Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej Księżów. (KUC)



DICK CHENEY Upolował sponsora

Gdyby 78-letni prawnik i biznesmen Harry Whittington wiedział, jak zawodne oko ma jego partner od polowań, zapewne dobrałby sobie innych kompanów. W ostatnią sobotę republikanowski aktywista z Teksasu polował na ptaki z wiceprezydentem Dickiem Cheneyem. Gdy wynurzał się z krzaków ze zdobytą zwierzyną, powitały go strzały ze struty. Jeden ranił mu twarz, drugi klatkę piersiową. – Wiceprezydent namierzył ptaka, strzelił i okazało się, że Harry jest na linii ognia – mówiła agencji AP Katharine Armstrong, właścicielka rancza, na którym doszło do wypadku. Broniła strzeleckich umiejętności Cheney. – Mogłabym z nim polować zawsze i wszędzie – powiedziała telewizji CNN. Na miejscu była ekipa medyczna chorującego na serce Cheney, więc Whittington szybko znalazł się w szpitalu. CNN nie omieszkła dodać, że ofiara była jednym ze sponsorów kampanii wyborczej George’a W. Busha i Dicka Cheney. (KUC)

LUCYNA TURYK-WAWRYNOWICZ Sprzątanie na Manhattanie

Na nic przystojny hydraulik i piękna pielęgniarka, którzy mieli przetrwać zagranicznych pracodawców do polskich emigrantów. Dzięki 35-letniej Lucynie Turyk-Wawrynowicz kreowany mit pracowitości może runąć. Mieszkająca w Nowym Jorku gosposia i sprzątaczką w ze-



Fot. EAST NEWS

stłym tygodniu przyznała się – po ośmiu miesiącach zarzekania się, że jest niewinna – do kradzieży w domach swoich pracodawców. A czyściła domy Roberta De Niro, Candice Bergen i Isabelli Rossellini. W czerwcu 2005 roku żona De Niro Grace Hightower zauważyła brak diamentowych kolczyków wartych 95 tysięcy dolarów. Policja znalazła je w mieszkaniu sprzątaczką razem ze skórzanym płaszczem (tysiąc dolarów) i dwoma (drogimi) aparatami fotograficznymi, które ukradła Candice Bergen. Śledztwo wykazało, że wcześniej Lucyna 18 razy korzystała z karty kredytowej innej pracodawczyni oraz przywłaszczyła sobie numer ubezpieczenia socjalnego 13-letniej dziewczynki, aby móc legalnie pracować. Jedyną osobą, która uniknęła lepkich palców Turyk-Wawrynowicz, była Rossellini, która – według gosposi – jako jedyna traktowała ją z szacunkiem.

Wyrok zostanie ogłoszony 21 lutego, sprzątaczkę grozi kara trzech lat więzienia, a potem powitamy ją – deportowaną – w Polsce. (JO)

Mięso wyborcze

Poczułem, że rozsądza mnie pragnienie zemsty, i rozpocząłem prywatną wojnę z Prawem i Sprawiedliwością

Zyta Gilowska i Piotr Misztal zrobili ze mnie dumia. Gilowska – wiadomo, wicepremier. Misztal – nie ma nic wspólnego z posłem Samoobrony, tym od Hummera i kontrolowania dyskotek. To zupełnie inny Misztal – owszem, zdarza mu się zasiedzieć w klubie, ale to jedyne jego podobieństwo do imiennika-nazwistnika. Poza tym jest psychologiem przed trzydziestką, lekko podobnym do Małysza.

W piątkowy wieczór młodzieniec ów wciągnął mnie w dyskusję o polityce. Przyznaję, byłem już weekendowo rozluźniony, więc dałem się podejść. Rozmawialiśmy o rządzie. On, typ analityczny, raczej atakował, ja raczej broniłem. Jego niepokoił marazm w gospodarce, ja cmokałem nad Marcinkiewiczem. On krzywił się na pakt z Lepperem i Giertychem, mnie cieszyła dziarskość ministrów Dorna i Ziobry. Zgodziliśmy się, że jak tego ostatniego atakuje naraz kilkuset prawników, w tym stado profesorów, to facet musi mieć rację. Zgodziliśmy się też, że brak wiadomej koalicji to smutna wpadka, i rytualnie wylaliśmy kubekówkę pomyj na prawicowych polityków.

Mieliśmy już przejść do ciekawszych tematów, kiedy on postękał jeszcze na brak inicjatyw gospodarczych i stwierdził: – Zobaczysz, że oni nieprędko te podatki obniżą. Chociaż tak obiecywali.

Mnie coś podkuśiło. Postanowiłem popuścić się rolę znawcy sceny politycznej. – O, mylisz się, mój drogi – rzekłem protekcyjnie. – Spór o podatki był jedną z głównych osi kampanii wyborczej. PiS wygrał, przekonując ludzi, że jego dwustopniowa skala będzie dla nich korzystniejsza niż podatek liniowy Platformy Obywatelskiej. Przecież pamiętasz te spoty z zabawkami

i lodówką! Oni nie mogą się z tego wycofać, bo stracą twarz i wiarygodność. To była ich główna obietnica. Rozumiesz?

Pokiwał głową, że rozumie, a ja poczułem się przekonujący jak Demostenes.

To było w piątek. W sobotę do akcji weszła wicepremier Gilowska. Nie mam dowodów, że działała w porozumieniu z Misztalem. W każdym razie ogłosiła mnóstwo ważnych rzeczy, a mimochodem stwierdziła, że obniżenia podatków nie będzie, bo nas na to nie stać. Oblałem się rumieńcem, bo właśnie wyszedłem na idiotę. Ja – mentor! Poczułem, że rozsądza mnie pragnienie zemsty, i rozpocząłem prywatną wojnę z Prawem i Sprawiedliwością.

Wsparł mnie Jan Rokita (przy okazji – dziękuję, panie pośle!). Oznajmił, że PO zgłosi podatkowy projekt PiS jako własny. Ha! Smakowite posunięcie! Zacierając ręce, słuchałem smętnych wywodów nieszczęsnego Adama Bielana. Oczekuje on, że PO wskaże, skąd wziąć pieniądze, których zabraknie w budżecie po obniżeniu podatków. Jak to, to oni tego nie wiedzą? I mimo to głosili te pomysły? A to ci beczelny ten PiS!

Potem uświadomiłem sobie jeszcze jedną rzecz. Obecna wicepremier i minister finansów Zyta Gilowska, zanim została wicepremierem, była liderem Platformy Obywatelskiej. I ona, i cała PO machała sztandarem z napisem „podatek liniowy”. Cała moja wiedza ekonomiczna sprowadza się do tego, że trzeba wyciągnąć jak najwięcej kasy z Najsztuba za ten tekst. Ale na zdrowy rozum przy podatku liniowym dochody państwa byłyby jeszcze mniejsze. Czyli podatku liniowego też by się nie dało wprowadzić?

Toż oni nas traktują jak mięso. Nie armatnie, ale wyborcze.

IGOR ZALEWSKI



Fot. BOGDAN KRZEL



© MAREK RACZKOWSKI



Z pamiętnika szyderycy

Zaciskałem kciuki za Jarosława Kaczyńskiego, kiedy na półtorej godziny przed orędziem prezydenta siadał do stołu z Andrzejem Lepperem i Romanem Giertychem. Nagle przestraszonych lub – jak napisałby dziennikarz nieszyderyca – zaniepokojonych przyspieszonymi wyborami. Które prezydent miał wieczorem ogłosić lub nie ogłosić. I w ten sposób zagrozić parlamentarnemu żywotowi LPR i Samoobrony lub nie zagrozić. A więc prezes PiS wszedł do siedziby Samoobrony i miał przed sobą 45 minut chwil pięknych i szalonych. Sam na sam z pozostałymi Stabilizatorami. Którzy gotowi byli na wszystko albo raczej wszystko złożyć w hołdzie lennym pod stopami tego, za którego trzymałem kciuki. Czyli chwile – jak mówię – piękne i szalone. Kibicowałem mu, w duchu podpowiadałem: niech pan prezes każe im każde zdanie odtąd wypowiedziane z mównicy sejmowej kończyć frazą: „i jeśli powiem coś złego o PiS, to niech mi mózg uschnie” albo zaczynać każdą publiczną wypowiedź zawołaniem: „Na pohybel PO, zdrajcom narodu!”. Dreszczem przeszywała mnie myśl, że prezes zmusi Romana Giertycha, by odtąd podeszwy zakładał w okolicach kolan i poruszał się na klęczkach. Oczami wyobraźni (chorej i szyderycznej, oczywiście) widziałem już scenę, w której parlamentarzyści LPR i Samoobrony odrabiają sobie prawe ręce i deponują je w chłodniach PiS na czas trwania paktu stabilizacyjnego, po to by PiS mógł je podczas głosowań podnosić własnoręcznie, samodzielnie i dlatego z korzyścią dla Polski. Wreszcie prezes wyszedł. Wygrał, podpisali, co chciał, ale ja zawiedziony oklapłem. Zmarnowana chwila piękna i szalona. Podpisali tylko, że nigdy, w żadnej sprawie nie zagłosują inaczej niż PiS. Tylko tyle – polityka rozczarowuje.

PIOTR NAJSZTUB

Przyjaciel Busha

Jak na każdym imperialnym dworze w Białym Domu obowiązuje niepisany protokół klasyfikowania gości. Rangę sojuszników poznaje się po sposobie przyjęcia: tych najważniejszych prezydent USA zabiera na ranczo w Crawford, dla gości, na których mu zależy, wydaje kolację w Białym Domu, a cała reszta musi zadowolić się rozmową w Gabinetie Ovalnym i sesją fotograficzną przy kominku. Tam właśnie trafił podczas swojej pierwszej wizyty w Waszyngtonie prezydent Lech Kaczyński. Wizyta, którą część polskich mediów uznała za sukces, była w istocie koncertową kląpą. Kaczyński wszedł w Waszyngtonie w ciepłe kapcie Aleksandra Kwaśniewskiego i powieścił wszystkie jego błędy. Do Białego Domu poszedł z tymi samymi kompleksami i wiernopoddanym nastawieniem, a na powitanie wyciągnął dyżurny zestaw odgrzewanych polskich kotletów. Zgodnie z obowiązującym zwyczajem hojność polskich obietnic znalazła odbicie w skromności amerykańskiej oferty. W zamian za gotowość przedłużenia misji w Iraku do końca 2007 roku Kaczyński został nazwany „przyjacielem”, a George W. Bush podzielił się z nim „strategicznymi przemyśleniami”. Na tyle Waszyngton wycenił znaczenie Polski w świecie. Lech Kaczyński zmarnował doskonałą okazję, by zrzucić największy balast polskiej polityki zagranicznej i zapowiedzieć w Waszyngtonie wymarsz polskich wojsk z Iraku. Amerykanie nie zrozumieliby decyzję nowego prezydenta, niewykluczone, że znaleźliby nawet nową formułę dla coraz bardziej jałowej współpracy z Warszawą, a Polska pokazałaby, że wyciąga konsekwencje z własnych błędów. Ale prezydent zadowolił się rolą niemego sojusznika, który o nic nie pyta, pójdzie na wszystko, a w najgorszym razie każe sobie zapłacić. Tym razem polską flagę w Iraku wynajęto za 30 milionów dolarów pomocy dla armii. Jak to się ma do moralno-patriotycznej wizji polityki, którą propaguje PiS? Można oczywiście powiedzieć, że Lech Kaczyński wykazał się politycznym realizmem, ale jego postawa w Waszyngtonie niewiele ma wspólnego z polityką zagraniczną, jaką dwa tygodnie temu obiecywał jego brat Jarosław: „Zdecydowana i normalna polityka międzynarodowa, obrona polskiego interesu narodowego stanie się polską codziennością, a jednocześnie nasi partnerzy, którzy bardzo często do tej pory mogli liczyć na inną niż ta sytuację i wykorzystywali to, będą musieli to przyjąć do wiadomości. I z całą pewnością do wiadomości to przyjmą”. Ciekawe, co przyjął do wiadomości prezydent Bush?

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

MACIEJOWSKI



Wśród gorliwych zwolenników pewnej DOKTRYNY znalazł się LIBERAŁ. Wskaż go.

© MARCIN MACIEJOWSKI

TYLKO W VIVIE! WIELKA LOTERIA URODZINOWA

VIVA! CASINO

SETKI
EKSKLUZYWNYCH
NAGRÓD

TERAZ GRAM
z VIVĄ!
Borys Szyc

WIELKA LOTERIA URODZINOWA

199 ZŁ

NAJPIĘKNIEJSZY 2005! PAWEŁ MAŁASZYŃSKI

KUP VIVĘ! Z KARTĄ I WYGRYWAJ!

TISSOT

WALENTYNKOWY KONKURS „PRZEKROJU” ROZSTRZYGNIĘTY

Może właśnie ty
jesteś autorem
WALENTYNKOWEGO SMS-a
ROKU, któremu podarujemy
samochód CITROEN C3,
lub wygrasz
VOUCHER DLA DWOJGA
NA PRZELOT W DWIE STRONY
liniami Germanwings

Nagroda główna
dla WALENTYNKOWEGO
SMS-a ROKU:

Szantaż kulinarny: Serce obrane z niesmacznych błonek.
łyżka oliwy i świeży czosnek. Pęczek pietruszki, wytrawne
wino. Tak się przyrządzę, jak znajdziesz inną.



VOUCHER DLA DWOJGA NA PRZELOT
W OBIE STRONY liniami Germanwings:

1. „Przekrój” czytaj namiętnie i tak samo mnie kochaj!
2. Kochaj tak, żeby inni zrozumieli, że kochasz.
3. Kocham Cię Jak Przekrój Pnia Kornik Jak Komornik TV odbiornik Tyś Mi Tym Czym Dla Geodety Przekrój Planety, a Dla Atlety Widok Mety, i Kocham To Gdy We Dwoje Ślęczymy Nocą Nad Przekrojem
4. Jesteś dla mnie osoczem i hemoglobina. Błonnikiem i witaminami. Tlenem i azotem. Wszystkim. Tylko ładniej się nazywasz...
5. Pewien Maciek z Sanoka wpadł mi kiedyś do oka. Ja się w Nim zakochałam. Serce swoje Mu dałam. Lecz On patrzy wciąż na mnie z wysoka.
6. Bądź, tylko bądź, przez następne 30 lat.
7. Zakochałam się w Tobie i brnę dalej w to błoto... Czy wiesz, co ja robię...? Kocham Cię, Idioty. Walentynka.
8. Umarłem. Zmartwychwstałem. Kocham Cię, Ewuniu!
9. Miałem kłaść glazurę, gładzie czy tynki, przy Tobie ległbym w te walentynki.
10. „Przekrój mnie” – to hasło tak liryczne. „Przekrój mnie” – jakże to romantyczne! „Przekrój mnie”, aby zobaczyć, że... mam pełne miłości serce swe!
11. Niech Twym Aniołem Stróżem będzie święty Walenty, ale niechże nie będzie taki strasznie święty!
12. Kochasz psy, koty i jeże. Pokochaj także Mnie, wszak także jestem zwierzę.
13. Kocham cię i pragnę jak kania dżdżu wśród tropików jak hipopotam błota w nieznośnym upale jak pancernik swej pancernicy w miłosnym szale:-)
14. Komik, Oberżysta, Cesarz, Harcerz, Artysta, Mleczarz – nieważne, której blisko jesteś sfery, bo dziś i zawsze najważniejsze są tylko pierwsze tych sfer litery.
15. Kocham Cię jak: królowa – koronę, zakochani – Weronę, dusigrosz – monety, łakomczuch – kotlety, rajdowiec – zakręty. Mówię, co czuję, natchnął mnie WALENTY!
16. Kochanemu Edypkowi najlepsze życzonka – mamuśka.
17. Chłopcze ty mój ukochany, nie bądź taki zabiegany Bo zapomnisz.
18. Kocham Cię, Jolko! Wróć do „Przekroju” opuść Internet. Czekam kiosk czwartek rano. Serce szaleje, gdy czytam Twe wyznania. Czekam, tęsknię i bądźmy już razem!
19. Miej humor jak Materna od rana, a portfel grubości Wojciecha Manna!
20. Dla Ciebie. Wiek niewinności. Gorączka sobotniej nocy. Niebezpieczne związki. Ziemia obiecana. Zapach kobiety. Wielki błękit. Do utraty tchu...
21. Trudno nie wierzyć w nic: Miłość w czasach podkultury. Cud niepamięci. Myśli i słowa Na językach. Długość dźwięku samotności. Tak długo czekam. Kiedyś Cię znajdę.
22. Za Nami prawie trzydzieści lat. Kocham Cię ciągle, starzeje się świat. Ty zawsze piękna i uśmiechnięta, nieważne, jakie to właśnie święta. Kocham Cię, Halus.
23. Kiedy się „Przekroję”, będzie nas już dwoje. To idea jasna, pomnożona miłość własna.
24. Stoję na drugim piętrze moich marzeń. Z telefonem w dłoni marzę. W parku, dokarmiając wspomnienia, krzyczę: „Życzę Ci Siebie, Życzę Ci Siebie, Życzę Ci!”
25. Mój Walenty Nie Bądź Zawsze Taki Święty Pokaż Mi Swoje Odmęty Obnaż Się Cały Z Zachęty A Ja Cię Wprowadzę W Zakręty I Mój Kochany Walenty Nie Będziesz Już Taki Święty.
26. Jeśli kwestie uczuć zdefiniować według matematyki, to w miłości ułamku pragnę na zawsze stać się licznikiem, jeśli Ty, Kochanie, będziesz jego mianownikiem!
27. Najczarowniejsza sarenko, niech Cię moja miłość nie płoszy! – Zakochany koziołek.
28. Panie Boże, uczyni mnie krezusem finansowym, abym mógł nabyć balon, który uniesie kobietę luksusu i mnie w stratosferę uczuć. Tylko z Tobą. Nic bez Ciebie.
29. Mój mężu, życzę Ci, żeby udało Ci się nie pić i żebyśmy mogli poskładać nasze życie na nowo, kocham i wierzę, i boję się – Żona.
30. Jasna cholera! Ty paskudny egocentryku, przechodzony lwie salonowy, finansowy nieudaczniku. Masz mnie! Zakochałam się w Tobie i dla Ciebie obniżam poprzeczkę.

Z osobami, które wysłały zwycięskie SMS-y, skontaktuje się Dział Promocji Tygodnika „Przekrój” (tel. (0-22) 584 22 96)

Osoby biorące udział w konkursie biorą pełną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia majątkowych praw autorskich do utworów rozpowszechnianych przez Edipresse w ramach konkursu.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Edipresse Polska SA z siedzibą w Warszawie przy ul. Wiejskiej 19, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu do wglądu w siedzibie organizatora.

1 Ale głosuje pan?

– A jak pan to sobie wyobraża, że poważny człowiek, który był wicepremierem, nie chodzi na wybory? Zaraz by ktoś zadzwonił na jakiś czerwony telefon i byłaby afera! Ale proszę mnie nie wciągać. Jestem prywatną osobą i rozmawiam tylko o tym, co mnie interesuje. Gdyby mnie pan spytał o belcanto...

2 Bardzo proszę. Donizetti, Rossini?

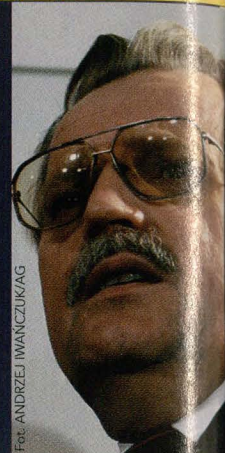
– Nie, Puccini. Urzeka mnie ta jego lekko rozkołysana kantylena. Prócz niego lubię „Aidę”, „Rycerskość wieśniacza”, ale najbliższe serca i tak jest „Straszny dwór”.

3 Nuci pan?

– Proszę pana, to moja prywatna sprawa, czy ja nucę, czy nie! Nie muszę panu o takich rzeczach opowiadać. Poza tym prowadzę kancelarię prawniczą i właśnie mam klientkę. To niegrzeczne przeszkadzać innym w pracy.



ROBERT MAZUREK



HENRYK GORYSZEWSKI

Podejdź no do multiplexu

– Ale się w Polsce porobiło! Kar-gul i Pawlak mają pomnik! – mówił Jan Pietrzak, gdy przecinając wstęgę sierpem, odsłonił przed jednym z kin w Toruniu rzeźbę z brązu. Kar-gul i Pawlak patrzą na budynek multiplexu z takim samym zdziwieniem jak w filmie „Kochaj albo rzuć”, gdy wylądowali na lotnisku w Chicago. Urzeczeni mieszkańcy Torunia natychmiast zaczęli robić sobie zdjęcia przy nowym pomniku. Początkowo jego twórca, Zbigniew Mikielewicz, miał uwiecznić bohaterów „Rejsu”. Na to nie zgodziło się miejscowe stowarzyszenie Komitet Rejs. Stowarzyszenie ma własny projekt monumentu, który też chce postawić w Toruniu, ale nad Wisłą. O ile ta lokalizacja wydaje się uzasadniona, o tyle wykorzystanie chłopów z kresów do promowania Torunia jest dość karkołomne. OZ

Lego w galerii



Pierwsza indywidualna europejska wystawa kreatywnego duetu The Little Artists będzie miała miejsce w poznańskiej galerii Stary Browar. Ich projekt zatytułowany „Art Craziest Nation” przedstawia minigalerię wypełnioną twórcami współczesnej sztuki i ich pracami. Brytyjczycy John Cake i Darren Neave z klocków lego tworzą reprodukcje znanych dzieł: rekina w formalinie Damiena Hirsta, łóżko Tracy Emin czy wiszącego wypchanego konia Maurizia Cattelana. W ich kolekcji znajdują się także figury piłkarzy Liverpoolu. Większość dzieł duetu Little Artists, podobnie jak ich pierwowzory, znajduje się w kolekcji znanego mecenasa sztuki współczesnej Charlesa Saatchiego. Wystawa w poznańskim Starym Browarze potrwa od 17 lutego do 12 marca. JO



CZŁOWIEK, KTÓRY ZAŻEGNAŁ KRYZYS W 3,5 MINUTY

PRZEZ SZEŚĆ GODZIN ROSŁO NAPIĘCIE. CAŁA POLSKA OCZEKIWAŁA, CZY PREZYDENT LECH KACZYŃSKI ROZWIĄŻE PARLAMENT. PO 3 MINUTACH I 37 SEKUNDACH ORĘDZIA OKAZAŁO SIĘ, ŻE NIE

W zimowy poniedziałek 13 lutego o godzinie 15.15 w Polskiej Agencji Prasowej ukazała się depesza: „***PILNA*** Prezydent jest bliski podjęcia decyzji o rozwiązaniu parlamentu – dowiedziała się PAP ze źródeł zbliżonych do kierownictwa PiS”.

Przez kolejne sześć godzin Polacy zamarli w oczekiwaniu. Za to uaktywnili się politycy. Najbardziej ci, którzy 11 dni wcześniej, podpisując pakt stabilizacyjny, uznali, że w ten sposób zapewnili sobie co najmniej kilkumiesięczny oddech. Pierwszy pękł Roman Giertych. Zapytany o możliwość rozwiązania parlamentu przez prezydenta Lecha Kaczyń-

skiego powiedział z przerażeniem: – Nie wierzę.

Lepiej trzymał się Andrzej Lepper, ale też był skołowany. Zwłaszcza kiedy z Giertychem musiał w tempie natychmiastowym stawić się u lidera PiS na podpisanie aneksu do umowy stabilizacyjnej. Teraz sygnatariusze paktu nie będą popierać poprawek do projektów ustaw, które nie będą zgodne z ich wspólnymi ustaleniami. Słowem, nie będą się wychylali. Zde-nervowany Lepper mówił: – Jeśli dobrze rozumiem to porozumienie, kończy ono to zamieszanie.

Ale wojna nerwów trwała nadal. Zapowiedziane na godzinę 20 orędzie prezydenta przesunięto o godzinę

i 10 minut. Dla wielu był to sygnał, że jednak będą nowe wybory. Widzowie Teatru Telewizji musieli pogodzić się z faktem, że zamiast spektaklu „Najwięcej samobójstw zdarza się w niedzielę” zaproponowano im spotkanie z ministrem Dornem, posłem Cymańskim czy wicemarszałkiem Olejniczakiem. Ten ostatni dla dobra sprawy przez cały godzinny program dzielnie tkwił przed kamerą w Sejmie.

Trudno powiedzieć, czy Teatr Telewizji byłby bardziej dramatyczny. Sędząc po bladeści i ogólnej nerwowości posła Giertycha, raczej nie, mimo obiecującego tytułu. Wreszcie zdezorientowani Polacy wraz z nie mniej skołowanymi politykami mogli zobaczyć, co ma do powiedzenia w specjalnym orędziu prezydent Lech Kaczyński. A choć przemawiał tylko 3 minuty i 37 sekund, zdążył dwa razy pochwalić partię swojego brata. I również dwa razy zaatakować Platformę Obywatelską. Co wytknął mu natychmiast Jan Rokita. Parlamentu nie rozwiązał, ale niechętnym tej instytucji zrobił pewne nadzieję.

– Polacy nie rozumieją, po co ta cała histeria. Nie rozumieją tej gry i dramatu – zauważył parę minut później Jan Rokita.

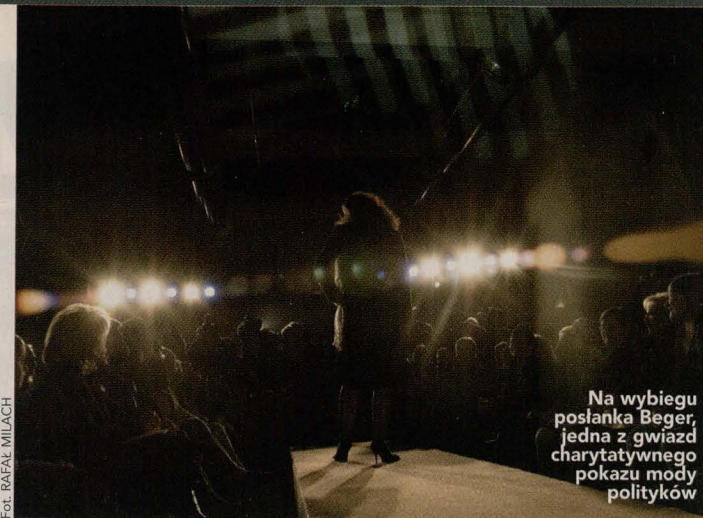
Czy potrzebny był autorytet prezydenta, by podpisać aneks powtarzający zapisaną już w pakcie zasadę jednomyślności podejmowania decyzji? Choć sam pakt nadal nie jest „ostatecznie podpisany”, bo jak głosi jego punkt 5., ma nastąpić to dopiero po uzgodnieniu szczegółów wszystkich projektowanych ustaw.

JULIUSZ ĆWIELUCH

NALOT NA PACZKI

POCZTOWYCH ZŁODZIEI CZEKA NIEMIŁA NIESPODZIANKA: GLINY W POCZTOWYCH MUNDURACH

Po ukazaniu się w „Przekroju” artykułu „Priorytet, nie kradnij!” o fali złodziejstwa na Poczcie Polskiej na reakcję nie trzeba było długo czekać. Z nieoficjalnych źródeł udało się nam dowiedzieć, że w ciągu najbliższego miesiąca ma zostać powołana specjalna jednostka podlegająca bezpośrednio dyrektorowi generalnemu Poczty Polskiej. – Byłoby to coś na wzór pocztowej policji o ogromnych kompetencjach. Mieliby prawo do niezapowiedzianych nalo-tów i kontroli każdej jednostki na poczcie – mówi nasz informator. Pomysłodawcy będą również zabiegali, żeby nowo powołana struktura miała prawo do prowokacji, zatrudniania podstawionych pracowników w takich neralgicznych miejscach jak sortownie. JUL



Na wybiegu posłanka Beger, jedna z gwiazd charytatywnego pokazu mody polityków

POSŁOWIE NA WYBIEGU

DWA MIESIĄCE PRZYGOTOWYWANO POKAZ, PONAD DWA TYGODNIE POSŁOWIE WYBIERALI UBRANIA, A SZEŚĆ GODZIN PRZED WYSTĘPEM POSŁANKI ZACZĘŁY SIĘ MALOWAĆ I FRYZOWAĆ

Ogoliłem się – tak swoje przygotowania do pokazu opisał Tadeusz Cymański, poseł PiS, występujący w stroju sportowym. Posłanka Renata Beger (strój biznesowy) pokazała pazurki. – Nie podobają mi się zaproponowane stroje. U siebie, w starej szafie mam już lepsze – mówi. Także fryzjerowi nie pozwalała na zbyt wiele. Ale stylistka przekonała ją do zmiany koloru i wyprostowania włosów. Cymański strojem był usatysfakcjonowany. – Polski garnitur,

użyty przez polską firmę z polskich materiałów. Czego chcieć więcej? Pokaz mody parlamentarnej zorganizowało Centrum Prasowe „Foksal”. – Wszystko w szczytnym celu. Zaprezentowane przez naszych parlamentarzystów ubrania zostaną sprzedane na aukcji internetowej, a pieniądze przekazane na jeden z domów dziecka – wyjaśnia dyrektorka centrum Ewa Popławska. W pokazie udział wzięło 17 parlamentarzystów ze wszystkich klubów. SYLV

Nie takie tanie markety

SPRZĘT ELEKTRONICZNY W HIPERMARKETACH JEST DROŻSZY NIŻ W ZWYKŁYCH SKLEPACH

To wynik badania przeprowadzonego przez branżowy magazyn komputerowy „CRN”. Czasopismo w grudniu ubiegłego roku porównało ceny 40 towarów: aparatów fotograficznych, słuchawek, głośników, myszek komputerowych i odtwarzaczy mp3. Sprawdzano markety elektroniczne (Media Markt, Saturn, ElectroWorld, Mega Avans),



hipermarkety wielobranżowe (Auchan, Carrefour, Géant), sieci salonów komputerowych i małe sklepy dilerkie. Okazało się, że w większości przypadków najtańszym miejscem zakupów są te ostatnie – małe sklepy detaliczne.

Przykładowo: aparat cyfrowy Canon PowerShot A520 w najtańszym hipermarkecie kosztował 840 złotych, podczas gdy w sklepie detalicznym – 679 złotych. Za głośniki Creative Inspire G380 w Media Markt w Warszawie przy ulicy Ostrobramskiej trzeba było zapłacić 219 złotych, zaś w stołecznym sklepie detalicznym THSystem 147 złotych. – Badaliśmy tylko produkty polecane w okresie świątecznym przez opiniotwórcze magazyny komputerowe. Na podstawie takich rekomendacji klienci podejmują decyzje o zakupie sprzętu – mówi Tomasz Gołębiowski, koordynator badania. Skąd biorą się tak zaskakujące wyniki testu? – To proste. W hipermarketach dużo tańsze od produktów rynkowych są tylko te towary, które trafiają na billboardy i do reklamy telewizyjnej – ocenia Gołębiowski. Co w takiej sytuacji pozostaje klientom? Sprawdzać każdą cenę po 10 razy. SZCZEP

ĆPAŁEŚ, NIE JEDŹ

POLICJA DROGOWA SZYKUJE SIĘ DO WOJNY Z NAĆPANYMI KIEROWCAMI. PLANUJE ZAKUP PONAD STU TYSIĘCY NARKOTESTÓW

Problem ćpania za kierownicą w policyjnych statystykach nie wygląda imponująco. W 2005 roku policja postawiła zarzuty popełnienia przestępstwa drogowego pod wpływem narkotyków 283 osobom. Wobec ponad 188 tysięcy kierowców, którzy siedli za kierownicą po kieliszku, to niezbyt dużo. – Jednak skala problemu jest znacznie większa, niż wynika z oficjalnych statystyk. Złapanie pijanego jest znacznie łatwiejsze. Tylko dobrze wyszkolony policjant zorientuje się, że kierowca jest pod wpływem narkotyków – mówi Mariusz Jędrzejko z Wyższej Szkoły Humanistycznej imienia Aleksandra Gieysztora, który prowadził pilotażowe badania dotyczące spożywania narkotyków przez kie-



Oprócz dmuchania baloników kierowców czeka niebawem lizanie testerów narkotyków

rowców. Z jego analiz wynika, że wśród młodych kierowców jazda pod wpływem marihuany to zjawisko niepokojąco częste. Coraz częściej zdarza się również, że po narkotyki sięgają kierowcy zawodowi. – Dotyczy to szczególnie tirowców, którzy używają amfetaminy i paranarkotyków, takich jak efdryna, do wydłużania czasu pracy – mówi Jędrzejko. 3,2 procent badanych przez niego osób przyznało się, że w ciągu ostatniego miesiąca przynajmniej raz prowadziły samochód pod wpływem narkotyków.

Dłatego pierwszy raz w historii policji w tym roku ma zostać ogłoszony centralny przetarg na zakup ponad stu tysięcy narkotestów. Dzięki nim w ciągu czterech minut od poślinienia testera wiadomo będzie, czy kierowca ćpał, czy nie. Nadal każdy złapany będzie musiał przejść jeszcze badania krwi, bo wyniki testów nie mogą być dowodem w sądzie. Według polskich przepisów za kierowanie samochodem pod wpływem narkotyków grozi taka sama kara jak za jazdę pod wpływem alkoholu. JUL

AGNIESZKA JĘDRZEJCZAK
GRZEGORZ RZECZKOWSKI

RZECZPOSPOLITA SALONOWA

**Z prezydentem, postem,
premierem dyskutują
przy wódce lub winie.
Nie na oficjalnych rautach
i przyjęciach, ale na salonach
wykuwają się polityczne
elity III jeszcze RP**

S

obota, godzina 19. Boczna uliczka przy secesyjnej willi na Saskiej Kępie wypełnia się samochodami. Adres Saska 101 znają wszyscy prasy tak-sówkarze, którzy dowozili tu niejednego ambasadora i premiera. W drzwiach gości wita gospodyni oraz Dante – rudo-biały husky. Zamiast biletu wstępu jedni niosą mi-ski z sałatkami, inni butelki dobrego wina. – Albo wypatrzone „na staro-ciach” bibelot, lampę, figurkę kota. Głodni artyści przynoszą wiersze, a malarze obrazy – opowiada Małgorzata Bocheńska, dziennikarka i operatorka filmowa, gospodyni najstarszego warszawskiego salonu – Salonu 101 – który właśnie obchodzi 20. urodziny.

CHARYZMA GOSPODARZA

– Nie ma jednoznacznej definicji salonu, bo salon się zmieniał. Dystyngowany był w międzywojniu, dysydencki w PRL – mówi Piotr Stasik, który historii salonu poświęcił pracę magisterską obronioną na Uniwersytecie Warszawskim.

– Nie wystarczy mieć sto metrów przestrzeni, postawić na stole wino i zaprosić młodego artystę, by zagrał Chopina, jak się wydaje niektórym nowobogackim paniom – szydzi Małgorzata Bocheńska. – To tylko warszawka, ale na pewno nie salon.

Więc co to takiego salon? Piotr Stasik wylicza: – Wbrew pozorom to nie miejsce, choć często i ono jest konstytutywną częścią salonu, ale osoba gospodarza tworzy salon. Nie powstałby bez jego lub – najczęściej – jej charyzmy i poświęcenia. Gospodarz decyduje, kogo zaprosi. Ustala rytuały: dni, w które salon się odbywa, jak się rozpoczyna i kończy, a nawet to, co jedzą goście.

I tak do założonego przez Henrykę Bochniarz Klubu 22 należeć mogą tylko panie, a Klub Piwny, kierowany przez Piotra Adamczewskiego, skupia wyłącznie mężczyzn. W Salonie 101, mimo że nie ma on z założenia charakteru prawicowego, nie spotkamy raczej żadnego postkomunisty. Na „sabatach” u Sławomira Sierakowskiego schodzi się z kolei lewica, a u redaktora Bronisława Wildsteina ludzie, którzy, jak zapewnia gospodarz, „myślą różnorodnie i niekoniecznie według narzuconego przez dominujący nurt schematu”.

Gospodarze zgodnie zapewniają, że ich salony powstały ze zwykłej ludzkiej chęci spotkania się, bycia ze sobą, dyskusowania. Zdecydowanie odrzucają sugestię, że chcą przez nie wpływać na rzeczywistość.

SALONOWE LWY I LWICE

Najczęściej spotyka się Salon 101 – w czwartki lub soboty, a w każdy piątek dodatkowo na szabasie. „Polityczne sabaty” u Sierakowskiego

odbywają się co dwa tygodnie, a nie rzadziej niż raz w miesiącu obradują Klub 22 i Klub Piwny.

Najtrudniej ustalić skład Salonu 101. Na każde spotkanie przychodzi około 70 osób, a przez 20 lat przewinęło się ich tysiące. Na początku lat 90. salon opanowali politycy, prym wiodli premier Jan Olszewski i ówczesny mąż Bocheńskiej, były minister obrony narodowej Jan Parys. Potem zdominowali go malarze i poeci. Dziś bywa tu obecny ambasador polski w Brazylii Jacek Perlin i Paweł Szapiro, historyk Holocaustu. W fotelach w kuchni siada piosenkarka Urszula Dudziak i znany projektant Paco Rabanne. – Przekrój ludzi od prawa do lewa, zawodów od dyplomaty do hydraulika – komentuje Bocheńska.

Klub 22, który szefowa Polskiej Konfederacji Pracodawców Prywatnych założyła 13 lat temu, niedługo po tym jak przestała być ministrem przemysłu, skupia kobiety sukcesu. – W czasie ministrowania poznałam wiele interesujących kobiet, a potem chciałam te kontakty utrzymać – opowiadała Bochniarz kilka lat temu dziennikarzom „Nowego Państwa”. Gdy członkini było 22, salon nazwano Klubem 22. Od trzech lat pań jest 30. – Postanowiliśmy nikogo już nie przyjmować, bo dyskusje nad nowymi kandydaturami przeradzały się w awantury – mówi Bożena Wawrzewska, była wicenaczelnia „Rzeczpospolitej”, obecnie szefowa własnej firmy PR. Ostatnia do klubu weszła Magdalena Środa, filozof, minister w rządzie Marka Belki. Najbardziej prominentną członkinią jest była premier, a obecnie ambasador w Watykanie Hanna Suchocka. Do klubu należą również dziennikarki – Danuta Zagrodzka z „Gazety Wyborczej” i Janina Paradowska z „Polityki” – a także Hanna Gronkiewicz-Waltz, unijna komisarz Danuta Hübner, piosenkarka Kora Jackowska, rzeźbiarka Magdalena Abakanowicz, reżyser Olga Lipińska.

Warszawski Klub Piwny tworzą z kolei sami facyci. Jest ich tylko ośmiu, znają się co najmniej od 30 lat. Założycielem klubu jest Piotr Adamczewski, redaktor „Polityki” i autor książek kucharzskich. Wśród członków: znany z roli Grigorija w „Czterech pancernych” aktor Włodzimierz Press, historyk Andrzej Paczkowski i minister spraw zagranicznych Stefan Meller. – Jesteśmy raczej amatorami win, ale w klubie pijemy piwo, bo wprowadza nas ono w stan bardzo przyjazny dla otoczenia – wyjaśnia Adamczewski. Nieformalną siedzibą klubu jest warszawska restauracja Elefant. Klubowicze siadają zawsze przy tym samym stoliku, przy oknie z widokiem na Ogród Saski.

W warszawskim mieszkaniu Bronisława Wildsteina przy Czerniakowskiej przy dobrym winie i tym, co przyrządzi żona, dyskutuje się o sprawach wstydliwych i niewygodnych, o których, jak twierdzi gospodarz, nie toczy się prawdziwa debata publiczna, lecz tylko pozorowana

Małgorzata Bocheńska „szyje historię salonu”. Gospodyni warszawskiego Salonu 101 z siedmioma tomami kronik dokumentujących jego 20-letnią działalność





Członkinie Klubu 22 w pełnym składzie spotykają się tylko na oplatku i na wielkanocnym jajku. Od prawej: Bożena Wawrzewska, Henryka Bochniarz, Kora Jackowska i Lena Kolarska-Bobińska



Stolik z widokiem na Ogród Saski w warszawskiej restauracji Elefant to stałe miejsce spotkań Klubu Piwnego. Panowie zaczynają od irlandzkiego piwa, a kończą na kieliszku wiśniówki

– na przykład o lustracji. Bywa tu między innymi senator PiS filozof Ryszard Legutko, socjolog Zdzisław Krasnodębski czy pisarz Waldemar Łysiak.

Z kolei trzon bywalców wrocławskiego salonu profesora Józefa Dudka stanowią uczeni, ale wśród zaproszonych do dyskusji gości bywali prezydent Lech Wałęsa, Władysław Bartoszewski, Leon Kieres, Andrzej Zoll, biskup Tadeusz Pieronek, Jan Rokita i Jan Nowak-Jeziorański.

Łódzki świat biznesu, polityki i kultury zamieszkuje w salonie spotyka się „w ogrodzie”. Na im-

prezach, które od 1995 roku w podłódzkiej wsi Buczek organizuje Stanisław Staniszewski, właściciel sieci restauracji Raz na Wozie..., bywa między innymi były premier Leszek Miller. Atrakcją jest nie tylko jedzenie (gospodarz sam gotuje dla gości), ale i przemyślana oprawa – kiedyś gości wnosili do ogrodu w lekturze wynajęci do tego czarnoskórzy studenci Uniwersytetu Łódzkiego.

Na „sabatach” u naczelnego „Krytyki Politycznej” Sławomira Sierakowskiego spotyka się około 20–30 osób, głównie redakcja „Krytyki” oraz po-

litycy lewicy. Do stałych bywalców domu przy ulicy Lawendowej w podwarszawskiej Radości zaliczają się: szef SLD Wojciech Olejniczak, krytyk literacki Kazimiera Szczuka, feministka i pisarka Kinga Dunin oraz działacz partii Zielonych Krystian Legierski. Tu przy butelce wódki dyskutuje też zwalczający się na co dzień publicyści Marek Beylin i Cezary Michalski. Wpadają reżyser Jan Klata i pisarka Olga Tokarczuk. Choć sąsiedzi Sierakowskiego często mają pretensje o „zbyt głośne” debaty salonu, to gdy na balkonie Olejniczak ze Szczuką trącają się kieliszkami, w oknach okolicznych domów robi się tłoczno.

CICHO!

– Mój salon nie jest dziś tak rozpolitykowany jak kiedyś – mówi Bocheńska. Wprawdzie nadal odbywają się w nim spotkania ambasadorów (tu nastąpiło jesienne nieoficjalne pożegnanie nowego nominowanego korpusu dyplomatycznego), ale premier Olszewski nie kłóci się już z Jadwigą Staniszkis o kształt przyszłej konstytucji. Za to Adam Hanuszkiewicz urządził tutaj prapremierę „Romea i Julii” i obchodził 75. urodziny. Salon odwiedzili Rosjanin Władimir Bukowski, autor książki „I powraca wiatr”, i poeta Ernest Bryll. – Od tego, kto pojawi się w danym tygodniu i zdominuje salon, zależy kształt imprezy – tłumaczy gospodyni.

Spotkania Klubu 22 koncentrują się wokół zaproszonego gościa. Najczęściej jest to mężczyzna. Byli już prawie wszyscy premierzy, prezydent Aleksander Kwaśniewski, Lech Kaczyński (jeszcze jako prezydent Warszawy), Leszek Balcerowicz.

Odmówił nam tylko Marek Belka. Stwierdził, że się boi. Bo tyle bab... – mówi Wawrzewska.

Pytane o szczegóły spotkań z politykami członkinie klubu milczą jak grób. Wiadomo jednak, że Lech Kaczyński po spotkaniu odwiózł do domu Magdaleny Środę. Z kolei Aleksander Kwaśniewski zupełnie nie miał głowy do dyskusji, bo akurat podczas przyjęcia rozgrywany był ważny mecz piłkarski i co chwila ochraniał relacjonował do prezydenckiego ucha przebieg wydarzeń na boisku.

Gdy na balkonie Olejniczak ze Szczuką trącają się kieliszkami, w oknach okolicznych domów robi się tłoczno



Na spotkaniach u Sławomira Sierakowskiego (pośrodku w fioletowej koszuli) dominuje młoda lewica. Średnia wieku: 30 lat

Choć ostatnio klub zrezygnował z zapraszania gości, panie zarzekają się, że nie spędzają czasu na plotkach, a dyskusje polityczne wciąż są gorące. – Kłócimy się, i to bardzo. Najczęściej używanym słowem podczas spotkań jest „cicho” – przypomina była wicenaczelną „Rzeczpospolitą”.

Dwu-, trzygodzinne debaty Klubu Piwnego dotyczą czasem literatury. Piotr Adamczewski pamięta, że ostro spierali się o twórczość Doroty Masłowskiej. Od polityki jednak nie uciekają. – Wiadomo, że jak jest zamieszanie w IPN, to będziemy dręczyć Paczkowskiego, a jak coś się dzieje w polityce zagranicznej, to mówić będzie Meller – zdradza Adamczewski. – Kłócić się wolno, czasem używamy brzydkich słów, choć staram się kolegów hamować.

Tematyka „politycznych sabatów” również zależy od obecnych gości. W wąskim redakcyjnym gronie dyskutuje się o „Krytyce”, o Habermasie, o radykalnym projekcie demokracji. Wiadomo jednak, że kiedy pojawi się Wojciech Olejniczak, dyskusja zejdzie na politykę.

KUŹNIE ELIT

Choć żaden z sabatowiczów nie powie tego głośno, wieść niesie, że właśnie na Lawendowej nabiera kształtów nowa polska lewica. – Bez Sławka Wojtek nie podejmie żadnej ważnej decyzji ideologicznej czy programowej – mówi anonimowo jeden z członków sabatu. Nieoficjalnie wiadomo, że tu, przy dobrej wódce, doszło do pierwszych rozmów na temat przyszłej koalicji wyborczej między szefem SLD i wiceszefem SdPi – Michałem Syską.

Gospodarze zaprzeczają tezie, jakoby ich salony miały wpływać na rzeczywistość. Można jednak przypuszczać, że nieformalne dyskusje mogą zaowocować formalnymi sojuszami.

Klub 22 nazywany jest „babską mafią” lub „masonerią w spódnicach”. Ci, którzy tak mówią, twierdzą, że klubowiczki wzajemnie się wspierają, załatwiając różne interesy. Jako przykład podają błyskawiczną karierę bankową męża Anny Formalczyk, byłej szefowej Urzędu Antymonopolowego, która to kariera nie byłaby możliwa bez życzliwości prezesa NBP Hannu Gronkiewicza-Waltza, czy wygrany przez firmę Nikom Henryki Bochniarz przetarg na doradztwo Banku Zachodniego. – Słyszałam nawet, że niszczyliśmy niewygodnych ludzi. To nieprawda – mówi Bożena Wawrzewska. – Po prostu jeśli możemy, to się wspieramy. Gdy Małgorzatę Niezabitowską oskarżono o współpracę z bezpieką, wszystkie podpisałyśmy list w jej obronę. A ostatnio wspierałyśmy Nikę Bochniarz podczas jej kampanii prezydenckiej.

To nie był pierwszy skok klubu na fotel prezydenta. W wyborach 2000 roku kandydatką była popierana przez Unię Wolności Olga Krzyżanowska. Członkinie Klubu 22 zdradziły wtedy prasie: – Mamy już gotowy plan poparcia dla niej, rozpisany na każdą z nas.

– Salon nie działa, ale czasem interweniuje – mówi Bocheńska. Interwencja jej salonu spowodowała zaangażowanie Polski w poparcie walczących o niepodległość państw bałtyckich. – 10 stycznia 1991 roku do Wilna wjechały czołgi, następnego dnia gość salonu, litewski poseł Czesław Okińczyc, dzięki poparciu salonowicza Romana Bartoszcze prosił w Sejmie o pomoc dla Litwy – opowiada. Salon zbierał też dary dla powoźnian, a ostatnio dla ofiar tragedii katowickiej.

Często zapomina się, że salony są prawdziwą kuźnią elit. – Mój stryj, dominikanin ojciec Innocenty Józef Maria Bocheński polecił odbudować polskie elity. Wykonałam to zadanie – ocenia gospodyni. Młodzi ludzie, którzy w jej salonie nabierali towarzyskiej ogłady, jak Wiesław Walendziak czy obecny szef MON Radek Sikorski, nie zapominają o korzeniach. „Dzieci salonu” ciągną za sobą kolejnych. – Jakbym miała polecić młodego człowieka do dyplomacji, wybrałabym kogoś z salonu. Miałabym pewność, że umie się zachować – mówi Bocheńska, która wierzy, że w jej salonie znów mogą pojawić się politycy. Deklaruje, że znajdzie się tutaj stolik, przy którym Kaczyński i Tusk mogliby spokojnie porozmawiać.

KACZKA Z BRZOSKWINIAMI I SMALEC

– Stale grono salonowiczów łączy bardzo silne więzi, są ze sobą w ciężkich chwilach – tłumaczy Piotr Stasik. – Gdy wróciłam w 1984 roku z Afryki do kraju z gromadką dzieci, nikogo tu nie miałam – wspomina Bocheńska. Jej salon ma na koncie sześć ślubów i dziewięć dzieci urodzonych ze związków powstałych w salonie. Zdrad i rozwodów trudno się doliczyć. W suterenie willi przy Saskiej mieszkali studenci filozofii, litewscy dysydenci i znani jazzmani. Salon pomagał też samej gospodyni. – Gdy w 1995 roku wyrzucili mnie z telewizji, „salonowicze” kar-

mili mnie i moje dzieci, płacili rachunki za prąd. Rodzinna atmosfera pogłębia wspólne biesiadowanie. W Krakowie, wśród bywalców domu Krzysztofa Kozłowskiego, szefa działu krajowego „Tygodnika Powszechnego”, do rytuału należy picie nalewek. – Moja żona robi je ze wszystkiego – chwali się redaktor. Goście – wśród nich Leszek Kołakowski i ksiądz Adam Boniecki – szczególnie cenią sobie wiśniówkę.

Małgorzata Bocheńska z dumą prezentuje wielki kocioł, w którym ona sama gotuje dla gości bigos lub fasolkę po bretońsku, a uzdrowiciel Teo Wieliczkowski przyrządza barszcz ukraiński. – Taką porcją można nakarmić 30 osób – chwali się gospodyni. Tradycją Saskiej 101 są chleby wielkości młyńskiego koła, pieczone na specjalne zamówienie przez zaprzyjaźnioną szwajcarską piekarnię. Pije się wina i dobrą angielską herbatę. – Goście sami ją sobie parzą i bez pytania ogłaszają swoją lodówkę, co tylko świadczy, że mój dom jest też ich domem – mówi Bocheńska.

Mało wybredni są goście „politycznych sabatów” – jada się na nich głównie sałatkę, śledzika, jakąś pastę. Goście rzadko przynoszą jedzenie, raczej napitki. Sławomir Sierakowski policzył, że po ostatnich urodzinach (na których bawiło się około 200 osób) zostało 30 litrów czystej. Sabat pił je przez kolejne pół roku.

Członkinie Klubu 22 zaczynały skromnie. Pierwsze spotkania odbywały się w biurach i gabinetach, a jedyną pozycją w menu była pizza. Dziś jada się lepiej, ale nie za dużo, bo większość pań się odchudza. Choć Bożena Wawrzewska pamięta wielką ucztę, która odbyła się w jej domu: – Zdecydowałam, że będzie na ludowo. Podałam smalec, ogórki kiszzone i oscypki. Tak im się spodobało, że zażądały wódeczki.

Ostatnio u Janiny Paradowskiej dyskusję o koalicji PiS z Samoobroną i LPR urozmaiciła kaczka z brzoskwiniami, makaron ze szpinakiem oraz wyśmienity makowiec z restauracji sejmowej.

Członkowie Klubu Piwnego jedzą zawsze to samo – najpierw mule duszone w białym winie, następnie krewetki w czosnku. – Żony wyganiają nas potem z sypialni, bo połączenie piwa z czosnkiem jest mało sympatyczne – przyznaje Piotr Adamczewski.

KOTY SIERAKOTY

Godzina czwarta nad ranem. Dom Bocheńskiej pustoszeje. W Radości na Lawendowej dyskusja wciąż trwa. Goście zaczynają się rozchodzić o 10 rano. Pokoje, których jedyny wystrój to piętrowe się do sufitu stosy książek oraz tabuny krzesel, urozmaicają teraz na wpół opróżnione butelki po wódce i opakowania po pizzy. Trzy koty gospodarza wskakują na stół, przewracają puste szklanki po kawie. Pobjawisko jak po zwykłej prywatce. Za dwa tygodnie znów będzie salon.

Szczuka: – Ile wyniesiesz z salonu, tak naprawdę zależy wyłącznie od ciebie. Możesz wyjść z tych spotkań mądrzejszy lub tylko bardziej pijany albo z kotem „sierakotem”. Kotka Sławka wciąż je rodzi, a on rozdaje znajomym.

AGNIESZKA JĘDRZEJCZAK
GRZEGORZ RZECZKOWSKI



SPD

SOJUSZ PRAWICY DEMOKRATYCZNEJ

JAROSŁAWOWI KACZYŃSKIEMU UDAŁO SIĘ TO
NA CZYM OD LAT ŁAMALI SOBIE ZĘBY SOLIDARNOŚCIOWI POLITYCY

– STWORZYŁ PRAWICOWĄ ODMIANĘ SOJUSZU LEWICY DEMOKRATYCZNEJ

Tajemnicą sukcesów postkomunistów było połączenie ideowej wielobarwności z silnym przywództwem politycznym. Tam każdy znał miejsce w szeregu. Ale szereg ów mienił się kolorami tęczy: byli dawni PZPR-owcy grający na sentymentach sierot po PRL. Byli „liberałowie” puszczający oko do centrowego elektoratu i „Gazety Wyborczej”. Był beton nęcący utrwalaczy władzy ludowej, ale i feministki broniące przed państwem wyznaniowym. Byli nauczyciele z ZNP i związkowcy z OPZZ, ale też elastyczni technokraci w rodzaju Marka Borowskiego. A kiedy trzeba było powalczyć o głosy, znajdowało się nawet miejsce dla socjalnych radykałów z PPS w rodzaju Piotra Ikonowicza. Ten jednak miał tę wadę, że już w Sejmie zwykle urywał się ze smyczy.

SLD przypominał wędkarza stosującego różne przynęty i łowiącego rozmaitymi metodami. Ale połów wędrował do jednego kosza. Wędkę trzymała wąska grupa partyjnych liderów, przynętą były rozmaite frakcje, odłamy i nurty, które w gruncie rzeczy nie odgrywały samodzielnej roli. Postkomuniści charakteryzowali się bowiem iście konserwatywnym poczuciem hierarchii, które zagubili dopiero w XXI wieku. SLD był monolitycznym kolosem z jednym centrum decyzyjnym, którego linii nikt nie kwestionował. Tę spoistość można było utrzymać nie tylko ze względu na korzenie postkomunistów („centralizm demokratyczny” mieli w genach), ale i letniość poglądów rozmaitych środowisk. A czasem wręcz ich brak. Na krótką metę przynosiło to efekty, ale gdy ostatnio Sojusz popadł w kryzys, spod pękniętej skorupy monolitu wychynęła ideowa pustka.

KACZYŃSKI, BRAT BALCEROWICZA

Prawica próbowała stworzyć podobną maszynę po swojej stronie sceny politycznej. Bez większych rezultatów. Najbliższy ideału był Marian Krzaklewski ze swoim AWS – zlepkiem wszelkich możliwych i niemożliwych środowisk. O kłesce tej formacji zdecydowała kiepska jakość liderów oraz nadmierna ideowość poszczególnych grup. Narodowi katolicy nijak nie mogli porozumieć się z liberałami.

Teraz na naszych oczach w prawicowy SLD przeistacza się PiS. Przez długie lata środowisko Jarosława Kaczyńskiego było monotematyczne i przez to bardzo wyraziste. Idée fixe braci stanowiło uzupełnienie ekonomicznego przełomu roku 1989 przełomem politycznym. Uzupełnienie – mówiąc symbolicznie – Balczerowicza Kaczyńskim. Stąd antykomunizm, program przyspieszenia, lustracja. Z upływem lat dobiegały do tego nowe kwestie będące owocem pesymistycznych diagnoz – walka z korupcją oraz przestępczością. W lapidarnym skrócie cel, do którego dąży PiS, to

wzmocnienie państwa. Osłabionego – zdaniem braci Kaczyńskich – nie tylko wielkimi przemianami historycznymi oraz moralnym kryzysem elit, ale też defensywną filozofią twórców III RP.

Co ma wspólnego cel Kaczyńskich z budowaniem lustrzanego odbicia SLD? Sporo. PiS bowiem będący w istocie partią jednego celu uznał, że jego osiągnięcie uświęca środki. Kaczyński z grubsza myślał mniej więcej tak: żeby naprawić państwo, trzeba rządzić. Żeby rządzić, trzeba mieć silną partię. Żeby mieć silną partię, trzeba dorobić jednogłemu stworowi, jakim był PiS, kolejne nogi. Jakie? To mało ważne, bo najważniejsze jest osiągnięcie podstawowego celu.

I PiS zaczął pęcznieć. Na samym początku PiS tworzyli tylko ludzie Kaczyńskiego, czyli dawnego Porozumienia Centrum. Słynący z nieufności lider zrobił jednak miejsce dla narodowych katolików z ZChN (Marek Jurek, Marian Piłka) oraz gospodarczych liberałów w rodzaju Kazimierza Ujazdowskiego, Wiesława Walendziaka. Obecnego premiera Kazimierza Marcinkiewicza zaliczyć można do obu tych grup.

Ale to był dopiero początek. W kampanii wyborczej i zaraz po niej ekspansja PiS znacznie się wzmogła. Niegdyś Jarosław Kaczyński był wrogiem Radia Maryja, które oskarżał o – delikatnie mówiąc – prorosyjskość. Ale lider PiS wykalkulował, że jego postzetchaenowskie skrzydełko jest zbyt wątłe, by przyciągnąć do jego partii katolickich wyborców. Bez oporów usadowił się zatem w mediach ojca Rydzyka, ofiarowując mu w zamian antygejowskie hasła i wstęp na polityczne salony, a przy okazji wypompowując Lidze Polskich Rodzin elektorat, który – mogło się wydawać – należał jej się jak psu kość.

Z drugiej strony Kaczyński wzmacniał też skrzydełko liberalne, wyciągając posłów z PO, dekorując je barwnym piórem Zyty Gilowskiej i stawiając na czele rządu Marcinkiewicza mającego dobre układy z biznesem. Ekspansja PiS podąża w jeszcze jedną stronę. Już w trakcie wyborów partia braci Kaczyńskich bezapelacyjnie wygrała na wsi. Teraz chce umocnić tam swoją pozycję. Do Kaczyńskiego już garną się secesjoniści z PSL, ale niewykluczone, że uda mu się zgarnąć łup znacznie obfitszy. Słabnący z miesiąca na miesiąc ludowcy mogą wkrótce stać się po prostu wiejską odnogą PiS.

NIEOMYLNÝ PREZES

Kaczyńskiemu sprzyjał oczywiście wynik wyborów, który wystraszył słabsze partie stojące na drodze jego ekspansji. Ale też PiS za pomocą rozmaitych ustępstw stara się przekonać wyborców wiejskich czy katolickich, że jest ich partią. Becikowe czy biopaliwa może nie spełnią pokładanych

w nich nadziei, ale na pewno pomagają PiS stać się potęgą na miarę dawnego SLD. To się opłaca.

Wydaje się, że Kaczyński zmienił nieco swe plany. Budowę IV Rzeczpospolitej przełożył na czasy po zbudowaniu potężnego PiS. Ze średniej partii ehadeckiej uczynił już dziś formację wielonurtową. Ale – by funkcjonowała równie sprawnie jak SLD – musiał wyposażać ją w silne przywództwo. Inaczej nie byłby prawicowym Sojuszem, tylko kolejnym AWS.

U postkomunistów o dyscyplinę było łatwo – wysłali ją z mlekiem partyjnych instruktorów. Prawica jednak zawsze cieszyła się słuszną opinią orientacji warcholskiej. Tam pan na zagrodzie (czyli w małej partyjce) równał się wojewodzie (czyli szefowi większej partyjki). Tymczasem w PiS jak dotąd nie ma śladu sarmackiej fanfaronady. Dlaczego?

W środowisku najbliższym Kaczyńskiemu – wśród ludzi dawnego PC – dogmat o nieomyślności prezesa nie jest kwestionowany. Im dalej od Kaczyńskiego, tym wiara w jego moc jest mniejsza, ale okoliczności nakazują głęboko ukryć ten sceptycyzm. Lider PiS zawdzięcza swą mocną pozycję dwóm efektywnym zwycięstwom wyborczym, których nikt się przecież nie spodziewał. Sam prezes jest czczony jak bóstwo, które zapewnia dostatnie życie.

I będzie tak czczony, dopóki nie przestanie odnosić sukcesów. Do tych łatwo się przyzwyczaić. Wie to dobrze każda kobieta, która sprawiła sobie lepsze kosmetyki od tych, których poprzednio używała. Powrót do asortymentu z niższej półki jest bardzo bolesnym przeżyciem.

Póki zatem Kaczyński zapewnia kosmetyki lepszej jakości, może liczyć na lojalność nawet tych, którzy za nim nie przepadają (a na prawicy imię ich Milion). Gdy przyjdą porażki, będzie mu trudniej. Zresztą już raz – w latach 90. – jego formacja posypała się, gdy skończyły się jej złote czasy. Tym razem jednak Kaczyński próbuje zbudować konstrukcję znacznie trwalszą. Raz – bardziej demokratyczną niż PC, bo komitet polityczny PiS nie jest tylko dodatkiem do prezesa. Dwa – bardziej bezwzględna wobec wewnętrznej opozycji. Tolerowane nie są nawet sensowne przecieki głosy posła Mężydły o ustawie medialnej.

Kaczyńskiemu sprzyja upływ czasu. Wydaje się, że w drodze ewolucji naturalnej prawicowe środowiska tracą rozbudowaną ponad miarę ideowość, zastępując ją wyrachowaną socjotechniką podlaną sosikiem z wyrachowanego populizmu. I to też szkoła postkomunistów. Poglądy liczą się mniej niż kiedyś, ważniejszy stał się sukces.

Ewolucji tej sprzyja to, że najwięksi prawicowi radykałowie zostali wypchnięci na margines sceny politycznej, a stamtąd ich ostrzegawcze okrzyki o zdradzie i Targowicy będą słabo słyszalne.

A zatem PiS podobnie jak SLD łowi różne ryby na różne przynęty. Ma coś dla liberałów i antykomunistów, narodowych katolików i związkowców.

I ma silny ośrodek decyzyjny, który powoduje, że ta różnobarwna paleta nie zamienia się w wieżę Babel. Czy zatem nie różni się niczym od SLD? Wszak stał się maszyną do zdobywania władzy, stosuje podobną socjotechnikę, jest podobnym monolitem, podobnie walczy o zagarnięcie jak największego terenu. Z okazji stu dni rządu Marcinkiewicza liderzy PO Jan Rokita i Donald Tusk mówili nawet, że PiS zależy wyłącznie na władzy dla władzy. A to również była cecha postkomunistów, którzy chętnie sprawowali władzę, ale trudne reformy zostawiali następcom.

TEAM AMERICA OSTRZEGA

Między PiS a SLD zachodzi jednak istotna różnica. Kaczyński ma główny, wskazany wcześniej cel. Jest nim owo wzmocnienie państwa, nad którym pracują dwa resorty: MSWiA (to przez konflikt o to kluczowe ministerstwo nie doszło, niestety, do powstania koalicji z PO) oraz sprawiedliwości.

Do tego dochodzą jeszcze służby specjalne. W innych sprawach poglądy Jarosława Kaczyńskiego są jeśli nie letnie, to przynajmniej drugoplanowe. Co daje mu swobodę manewru, ale zarazem niesie zagrożenia.

Może być bowiem tak, że aby dotrzeć do wymarzonego celu, Jarosław Kaczyński i PiS niczym wielbłąd będą nakładać na swe barki coraz to nowe zobowiązania. Tu się dogadają z Samoobroną, ówdzie z LPR, to uchwalą ustawę o NBP, kiedy indziej usadowią koszmarnych ludzi w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji. Takich zginiłych kompromisów stabilizacyjnych będzie przybywać. Najtęższy wielbłąd może paść pod tym ciężarem. Co gorsza, budżet również.

Można teraz w Polsce obejrzeć na DVD film „Team America”. To doskonała i prześmieszna satyra kukielkowa (!) na amerykańską popkulturę, amerykańskiego ducha i amerykańską politykę. O dziwo, w filmie bardziej obrywają lewacy kapitulanci niż prawicowi imperialiści. Dziełko opowiada o przygodach kukielkowych superherosów zwanych się Policją Świata, którzy nieustannie ratują ów świat przed terrorystami. Tyle że przy okazji akcji w Paryżu rozwalają pół miasta, a w Egipcie puszczają z dymem nie tylko złoćców, ale i piramidy oraz Sfinksa. I nie bardzo rozumieją, dlaczego tubylcy nie okazują im wdzięczności.

Kaczyński stoi przed podobnym niebezpieczeństwem jak Policja Świata (zresztą – na mniejszą skalę – chce chyba odgrywać podobną rolę). Zajęty wzmacnianiem państwa i – mówiąc kolokwialnie – robieniem potrzebnego zresztą porządku może nie zauważyć spustoszeń, które czyni przy okazji.

IGOR ZALEWSKI

Więcej o politycznym zapleczu rządu w wp.pl
w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

Środowisko prawnicze wyraziło głębokie zaniepokojenie działaniami ministra sprawiedliwości. W liście podpisanym przez najwybitniejszych przedstawicieli środowiska zarzucacie ministrowi, że ignoruje rzeczywistą sytuację kraju i dorobek nauki, psuje prawo i narusza zasady demokratycznego państwa prawa. Na czym naprawdę polega konflikt między wami a ministrem Ziobrą?

– Odpowiedziałbym krótko, że na braku dialogu. Porozmawiajmy o konkretnym problemie. Minister Ziobro zaproponował, aby sądy wydawały wyroki w ciągu 24 godzin w sprawach pospolitego chuligaństwa. Powołano zespół czterech wybitnych prawników, którzy mieli tę koncepcję opracować. Wydali miążdzącą opinię. Negatywną. Co zrobił Ziobro? Odwołał profesora Wąłtosia, szefa komisji kodyfikacyjnej.

Może miał przekonanie, że jego pomysły jest dobry?

– Oczywiście, minister może nie godzić się z opiniami prawników, ale jakiś elementarny dyskurs powinien się toczyć. Minister Ziobro to młody człowiek, który po prostu nie miał czasu, aby zapoznać się z odpowiednią wiedzą.

O jaką wiedzę chodzi? Minister chce szybko karać chuliganów.

– Ano właśnie. W latach 70. już to przerabiano. Stosowano wobec wybrków chuligańskich specjalny tryb postępowania. Wszystko załatwiano biegiem, byle szybko, szybko ich ukarać.

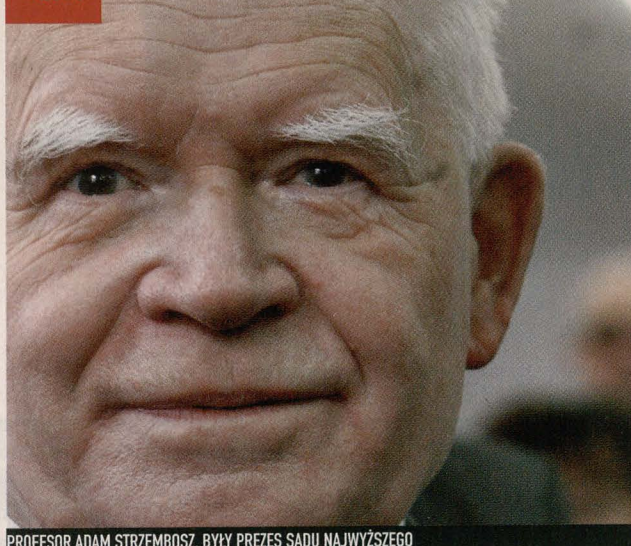
I rezultat był zły?

– Profesor Teodor Szymanowski przeprowadził wnikliwe badania nad tymi chuliganami, którzy podlegali specjalnemu trybowi, i nad tymi, którzy byli sądzeni w normalnym trybie. I wie pani, co się okazało? Ci objęci specjalnym trybem dwa razy wcześniej i dwa razy więcej popełniali przestępstw. Ludzie ci, poddani określonej presji, stawali się małym dynamitem. Po opuszczeniu więzienia bardzo szybko zawiódł i minister Ziobro powinien o tym wiedzieć. Trzeba się konfrontować z doświadczeniem z przeszłości. Dlatego mówię o dialogu ze środowiskiem prawników, bo dzięki temu nie dochodziłoby do powielania dawnych błędów.

Minister jest pełen entuzjazmu, młody i chce po prostu coś zrobić.

– Ależ ja to doceniam. Wszyscy doceniamy. Przecież my też rozumiemy i widzimy, że postępowania w sądach

PRZE
KROJ



PROFESOR ADAM STRZEMBOSZ, BYŁY PREZES SĄDU NAJWYŻSZEGO

DOBRE CHĘCI NIE ZASTĄPIĄ RACJI

PRZECIWKO
CZEMU
PROTESTUJĄ
PROFESOROWIE
PRAWA
KRYTYKUJĄCY
MINISTRA ZIOBRĘ?
– PROFESORA
ADAMA
STRZEMBOSZA
PYTA



KATARZYNA
KOŁENDA-ZALESKA
„FAKTY”, TVN

toczą się opieszale, za wolno, że firma zdąży upaść, zanim sąd gospodarczy zajmie się jej sprawą. Tyle tylko, że za wzorzec minister bierze Warszawę. Tu rzeczywiście wszystko dzieje się za wolno. Ale ja często jeżdżę do Radomia, jeżdżę do Rzeszowa. Tam jest zupełnie inaczej. Tam sprawy toczą się trzy-cztery miesiące.

Ale to może lepiej wziąć za wzorzec Warszawę, bo to, co jest tu, może szybko przenieść się gdzieś indziej.

– Mam wielu przyjaciół w sądach warszawskich i widzę, jak zmagają się z codziennymi problemami. Brakiem pomieszczeń, sal, brakiem sędziów. Nowy młody sędzia przychodzi i dostaje od razu 350 spraw do rozpatrzenia. Jak ma to zrobić rzetelnie, jak się z tym zapoznać? Sędziowie w sądach grodzkich kończą pracę po 22. Naprawdę, tak jak minister Ziobro, są pełni zapału i ambicji, tylko trudno im normalnie pracować. Mojej znajomej sędzi do zamknięcia sprawy brakuje tylko przesłuchania jednego świadka. I co? Nie ma sali. Będzie za pół roku. O tym niech też minister pomyśli, bo tu potrzeba wsparcia. Ja naprawdę na różne rzeczy patrzę krytycznie, mnie się też wiele rzeczy w naszym systemie prawnym nie podoba, ale przecież nie można zaczynać od połajane!

Odpowiedzieliście zarzutami o metody rodem z PRL-u.

– Wtedy łajanie, chłastanie sędziów było powszechnym zjawiskiem. Pamiętam, jak na posiedzeniu konferencji sędziów okręgu warszawskiego jeden młody sędzia powiedział, że jest niezadowolony. Ale łanie dostał, mówię pani...

Skąd u ministra taki ton? Chodzi o to, że sędziowie mają się zacząć bać?

– Tego nie wiem. Ale widzę, że odwołuje się tych, którzy nie przygotowują opinii zgodnie z oczekiwaniami ministra. Minister wybiera takich specjalistów, którzy napiszą opinie takie, jak on chce. A minister sprawiedliwości, droga pani, jest tylko i wyłącznie administratorem.

Minister bardzo ostro skrytykował decyzję sądu, który wydał kontrowersyjne orzeczenie w sprawie hali w Katowicach.

– A widzi pani, a ja bym się nie ośmielił mówić o wyroku sądu, że jest idiotyczny. Jeśli faktycznie sąd wykazał się rażącą nieznajomością prawa, to niech tym zajmie się sąd dyscyplinarny. Takie łajanie sędziów wydaje mi się... Takie młodzieńcze!

Ale on chce coś zrobić!

– Doceniam, doceniam. Ale widzi pani, ja też często wymyślałem sobie jakąś prawną koncepcję, a potem po przeanalizowaniu jej w szerszym gronie zdarzało mi się nawet z niej wycofać. Też byłem radykalnym młodzieńcem i powiem pani, że popełniłem z tego powodu wiele głupstw.

To jak pan widzi rozwiązanie tego konfliktu?

– Ja bym oczekiwał, że minister Ziobro pojawi się na posiedzeniu Krajowej Rady Sądowniczej i ustali, w prawnym dyskursie, co leży w kompetencjach władzy administracyjnej, a co w kompetencjach niezawisłych sądów. To wydaje mi się kluczowe. Najgorzej pracuje się w atmosferze nacisku, a coś takiego, niestety, obserwuję.

Minister Ziobro mówi, że środowisko wytoczyło takie działa, bo on chce ograniczyć immunitet sędziowski.

– Nie wydaje mi się, aby to był powód, choć nie przeczę, że immunitet może być trochę nadużywany. Ale ja bym w takim razie proponował reorganizację sądów dyscyplinarnych, którym się często zarzuca, że wydają orzeczenia, powiedziałbym, korporacyjne. No, to zmieńmy to, dodajmy ławników. Mnie chodzi o to, aby minister Ziobro zechciał rozmawiać, a nie tylko decydować, co jest słuszne. Bo te czasy już były.

VITA

NAJPOPULARNIEJSZY MAGAZYN O ZDROWIU I ZDROWYM STYLU ŻYCIA

Tablica do kolekcjonowania część 2

SPRAWDŹ, CO ZROBIĆ W PRZYPADKU

TWÓJ DOMOWY OPARZENIA

PORADNIK MEDYCZNY

Praktyczne wskazówki: jak pomóc sobie i rodzinie

SPÓSOB POSTĘPOWANIA ZALEŻY OD ROZLEGŁOŚCI ORAZ GŁĘBOKOŚCI RANY, CZYLI OD STOPNIA OPARZENIA

DIETETYKA: prawda o mikrofalówce

PSYCHOLOGIA: inteligencja seksualna mężczyzn

SMACZNIE I ZDROWO: obiad błyskawiczny

WIEKSZY format

NIŻSZA cena

WITA

MAGAZYN O ZDROWIU

Cholesterol nie jest zły

SPRAWDŹ, CZY NIE MASZ GO ZA MAŁO

ROŚLINNE KURACJE na poprawę pamięci, odporności i nastroju

WYBRALIŚMY DLA CIEBIE

Najlepsze

LEKI, KOSMETYKI, PRODUKTY SPOŻYWCZE

Schudniesz do wiosny

PRZYSPIESZ PRZEMIANĘ MATERII I SPALANIE TŁUSZCZU

NIE DAJ SIĘ ZŁAMAĆ

OSTEOPOROZIE

NIEWAŻNE, ILE MASZ LAT, MUSISZ SIĘ BRONIĆ

TYLKO 3,50 zł (w tym 7% VAT)

NOWA • WIĘKSZA • CIEKAWSZA

Prevention

MARZEC 2006

NR 03 (90)

www.vita.pl

Co i jak możesz zrobić na

Zasady pierwszej pomocy

Już w kioskach!

Roboty w teatrze

Nie ma aktorów niezastąpionych? O odpowiedzi zadecyduje sukces artystyczny sztuki „Heddatron” bazującej na dramacie „Hedda Gabler” Henryka Ibsena. Większość głównych ról obsadzono tu... robotami. – „Hedda Gabler” to rzecz o przekraczaniu granic, pragnieniu ucieczki od świata i niemożności wyrwania się z przeznaczonych nam społecznych ról. Roboty pasują tu więc idealnie – wyjaśnia producent przedstawienia Aaron Lemon-Strauss. Za pomysłem wpuszczenia na scenę zdalnie sterowanych maszyn (stworzonych przez kolektyw The Bomatrix) odpowiada grupa teatralna Les Freres Corbusier, od 8 lutego sztukę pokazuje nowojorskie HERE Arts Center.

AK



Przygotowania do przedstawienia z robotami
Fot. WWW.HIRONBOTMATRIX.COM

Lubimy te piosenki, które...

...lubią inni. A nie tylko te, które – jak twierdził inżynier Mamón – sami już słyszeliśmy. – Ludzie mają za dużo możliwości, dlatego wybierają to, czego słuchają inni – mówi Matthew Salganik, socjolog z Uniwersytetu Columbia i autor naukowego projektu, który pozwolił znaleźć odpowiedź na pytanie, co decyduje o popularności piosenek. Eksperymentowi poddano 14 tysięcy osób wybranych spośród użytkowników młodzieżowego portalu internetowego. Podzielono ich na dwie grupy. Pierwszej przedstawiono listę 48 utworów nieznanymi wykonawcami. Najpierw wybierali to, czego chcą słuchać, a potem oceniali daną piosenkę. Ulubione nagrania mogli zachować. Drugiej grupie dodatkowo pokazano listę tytułów wybranych przez poprzedników, co – jak się okazało – istotnie wpływało na decyzje jej członków.

AK

KOMISJA EUROPEJSKA ZAPEWNIŁA, ŻE WIELKIEJ BRYTANII, IRLANDII ORAZ SZWECJI POMÓŻE ZASTRZYK PRACOWNIKÓW ZE WSCHODU. ALE LONDYN, DUBLIN I SZTOKHOLM MAJĄ CORAZ WIĘCEJ WĄTPLIWOŚCI

HYDRAULIK PRZYTKAŁ UNIE?

Według raportu UE poświęconego analizie wpływu pracowników z nowych państw Unii na gospodarkę krajów członkowskich „starej” Unii imigracja zarobkowa nikomu nie zaszkodziła. „The Economist” twierdzi jednak, że raport został przez polityków podrasowany, aby uspokoić tarcia wewnętrzne w UE. Liczba osób z nowych krajów członkowskich szukających pracy przebiła 60 razy początkowe uspokajające wyliczenia rządu Tony’ego Blaira. Liczbę polskich przybyszów do Zjednoczonego Królestwa szacuje się już na 300 tysięcy. Podobny zalew

pracowników z naszego kraju przeżywa Irlandia. Fala taniej siły roboczej szturmującą też mimo obowiązujących okresów przejściowych Niemcy i Austria.

Nowe kraje członkowskie powtarzają, że emigranci nikomu chleba nie zabierają. Nie da się jednak ukryć, że coraz częściej „polski hydraulik” pracę komuś zabiera, bo zadowala się niższą płacą. Bezrobocie w Wielkiej Brytanii wzrasta od roku 2004, uderzając głównie w grupy już i tak najbardziej zagrożone. W sondażu „The Irish Times” 78 procent Irlandczyków opowiada się za przywróceniem systemu pozwoleń na pracę.

Wśród europejskich polityków i części związkowców panuje przekonanie, że fala imigrantów jest nie do powstrzymania, a skoro nie ma wyjścia, trzeba ją polubić. Do 30 kwietnia na temat otwarcia rynków pracy wypowiedzą się pozostałe rządy. Zgodnie z traktatem akcesyjnym po pięć dodatkowych lat blokady siły roboczej z nowych państw Unii zapowiadają już Niemcy i Austria. Większość innych państw UE rozważa tymczasem, tak jak Hiszpania i Finlandia, dalszą liberalizację przepisów i kontynuację eksperymentu z pracownikami z nowej Unii.

RW

TERRORYŚCI PUTINA

ROSJA PUTINA JEST GOTOWA ROZMAWIAĆ Z TERRORYSTAMI Z HAMASU MIMO BOJKOTU ZWYCIĘZCÓW PALESTYŃSKICH WYBORÓW PRZEZ UE I USA

Israel został wyprowadzony z równowagi, a ONZ, Stany Zjednoczone i Unia Europejska, które wspólnie z Rosją tworzą kwartet negocjujący pokój na Bliskim Wschodzie, poczuły się oszukane. Moskwa zapowiedziała, że nie przyłączy się do światowego bojkotu Hamasu, który wygrał palestyńskie wybory parlamentarne. – To nóż w plecy – powiedział izraelski negocjator Meir Sheerit.

Rosja gra jednak swoją kartę i kontynuuje znaną jeszcze od czasów ZSRR politykę popierania bliskowschodnich sił przeciwko naciskom Zachodu. W ten sposób stara się zwiększać wpływy w państwach arabskich. Zachód nie zrezygnuje ze współpracy z Rosją w ramach grupy G-8, bo przeważa chęć ułożenia dobrych stosunków z ekipą Putina.

JK

Luigi Cascioli dowodzi, że Chrystus to fikcja



DOWÓD NA ISTNIENIE JEZUSA

Jest wyrok w opisywanej przez „Przekrój” sprawie przed włoskim sądem apelacyjnym. Włoscy księża mogą spać spokojnie. Wolno im mówić o Jezusie Chrystusie. Dwa lata temu ateista Luigi Cascioli postanowił dowieść, że Kościół katolicki wymyślił postać Chrystusa. Na celownik wziął proboszcza ze swojej wioski Enrica Righiego. Doniósł prokuraturze, że duchowny szerzy bajki o Chrystusie, by „wykorzystać ludową pobożność dla własnej korzyści”. Zarzuty Casciolego zostały oddalone i ludzkość zyskała sądowy dowód na istnienie Boga. Brzmi on tak: ponieważ nie ma dowodów, że Syn Boży nie istniał, wolno twierdzić, że istniał. Sprawa trafi jeszcze przed Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu.

RW

ZAROBIĆ NA MAHOMECIE

WIELU REDAKTORÓW, KTÓRZY OPUBLIKOWALI RYSUNKI MAHOMETA, WYLĄDOWAŁO W WIEZIENIACH ALBO NA PRZYMUSOWYCH URLOPACH. INNI ŚWIĘTĄJĄ WYDAWNICZY SUKCES

Flemming Rose dowiedział się w ubiegłym tygodniu, że najlepiej zrobiliby, idąc na bezterminowy urlop. Dziennik „Jyllands-Posten”, w którym był szefem działu kulturalnego, jako pierwszy opublikował karykatury Mahometa i wywołał w świecie islamu eksplozję nienawiści wobec Zachodu. Sam padł w końcu jej ofiarą.

Światowy skandal zmienił też życie kilkudziesięciu innych dziennikarzy. To naczelnicy i redaktorzy około 60 gazet, które umieściły wizerunki twórcy islamu. Jacques Lefranc prowadzący wydanie we



„Tak, mamy prawo karykaturować Boga” – nadal twierdzi dziennik „France Soir”
Fot. ROESSLER/DPA/FORM

francuskim dzienniku „France Soir” stracił pracę, naczelnicy wielkiego norweskiego dziennika „Magazinet” dostał listy z pogróżkami, podobnie jak szefowa południowoafrykańskiego „Mail and Guardian”. Najgorzej oberwali dziennikarze w krajach muzułmańskich. W Indonezji jeden z naczelników znalazł się w areszcie, Malezja zamknęła gazetę „Sarawak Tribune”, aresztowania i za-

mykanie gazet miały także miejsce w Jemenie i Jordani.

Brytyjska BBC, która przesledziła losy „błuznierczych” mediów, twierdzi jednak, że część sprawców kryzysu ma się świetnie. Francuski tygodnik satyryczny „Charlie Hebdo” miał zwiększyć sprzedaż ze 100 do 320 tysięcy egzemplarzy, a „France Soir”, który wylał redaktora, nie tylko zanotował 40-procentowy wzrost sprzedaży, ale do tego chwali się, że „prowadzi walkę w obronie wolności słowa”.

Takie argumenty zyskały dodatkową wagę, kiedy okazało się, że protesty muzułmanów, które rozgorzały dopiero kilka miesięcy po publikacji rysunków 30 września, były inspirowane przez delegację duńskich islamistów, między innymi podczas spotkania Organizacji Konferencji Islamskiej. Duńscy muzułmanie w swoich doniesieniach częściowo wykorzystali fałszywki – nigdzie niepublikowane karykatury antyislamskie.

JK

Jest cieplej

Choć trudno w to uwierzyć w zasypanych śniegiem Europie i USA, naukowcy zapewniają: jest najcieplej od tysiąclecia. Według tygodnika „Science” w ostatnim 150-leciu na półkuli północnej odnotowano najwyższe temperatury od 1200 lat. Skąd te rewelacje? Naukowcy z uniwersytetu East Anglia zbadali zmiany w skamielinach, pnie drzew na Syberii i w Skandynawii oraz strukturę lodowców na Grenlandii. Dodatkowym źródłem informacji były pamiątki z ostatnich 750 lat. Timothy Osbron i Keith Briffa porównali temperatury w 14 różnych miejscach półkuli północnej z ostatnimi 150 lat z temperaturami, które występowały tam w różnych okresach historycznych od 800 roku naszej ery. Żadna anomalia klimatyczna – łącznie z ociepleniem we wczesnym średniowieczu – nie była tak głęboka jak współczesne ocieplenie.

RYB



Jedno z najlepszych biur na ziemi... nie jest na ziemi.

Bezprzewodowy Internet,
zasilanie laptopa
oraz super wygodny fotel

tworzą przyjemną atmosferę do pracy podczas lotu.

Warszawa - Nowy Jork

Business PLN 4 410

Warszawa - Chicago

Business PLN 4 560

Warszawa - Pekin

Business PLN 6 995

Ceny nie zawierają podatków i opłat za wystawienie biletu. Oferta ważna do 31 marca 2006. www.flysas.pl



Scandinavian Airlines

ŚWIAT NIE SPI

Dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Wielkie światowe koncerny działają dziś ze zdwojoną energią dzięki tanim pracownikom w Azji i Europie Wschodniej

Offshoring, czyli przenoszenie fabryk w tańsze rejony świata, nabrał zawrotnego tempa. W 1985 roku globalne koncerny wydały na zagraniczne zakłady i biura 50 miliardów dolarów, a w roku 2000 aż 1,3 biliona. Ale kilka lat temu rozpoczęła się inna wielka rewolucja – wirtualne delegowanie pracy za granicę, z początku głównie do Indii, dzięki stałym łączom internetowym. Dziś także Polska – ze względu na wciąż tanich, ale dobrze wykształconych i znających języki obce pracowników – jest jednym z liderów delokalizacji. Przed dwoma tygodniami Bill Gates chwalił w Warszawie naszych informatyków i zapowiedział budowę centrum informatycznego Microsoftu. Będzie tam docelowo pracować 200 osób.

TYGRYSI SKOK

Wszystko zaczęło się w jesienny wieczór 1999 roku. Randy Altschuler i Joseph Sigelman, pracownicy banku Blackstone w Nowym Jorku i oddziału Goldman Sachs w Londynie, zabrali się do przygotowania pilnej prezentacji. Podczas nocnej debaty telefonicznej zaświtał im w głowach zaskakujący pomysł: a gdyby tak pojechać do Indii, założyć własną firmę, zatrudnić tamtejszych ekspertów od finansów i komputerów, a potem samemu oferować zachodnim bankom przygotowywanie takich prezentacji za znacznie mniejsze pieniądze?

– Nasze rodziny patrzyły na nas jak na wariatów – wspominał Sigelman. Ale bankier ryzykant postawił na swoim. Rok później siedział w samolocie do Madrasu. Po kolejnych sześciu latach ciężkiej pracy zasiadł w fotelu prezesa wielkiej firmy OfficeTiger, którą założył w Indiach wraz z Altschulerem. OfficeTiger zatrudnia teraz ponad dwa tysiące pracowników i zgarnia wielomilionowe zyski.

Pomysł Sigelmana i Altschulera ekonomiści nazwali później uczenie „delokalizacją usług”

(po angielsku: *offshore outsourcing*). Wkrótce w ich ślady poszły dziesiątki firm. W ciągu ostatnich trzech lat świat ogarnęła gorączka outsourcingu. – Delokalizacja usług wzrosła aż o 50 procent – mówi „Przekrojowi” Joachim Betz, profesor ekonomii z uniwersytetu w Hamburgu.

Wielkie koncerny masowo „eksportują” etaty do Azji i Europy Wschodniej. Pomagają im w tym wyspecjalizowane koncerny, takie jak Accenture, Capgemini, ClientLogic czy Stream International. To specjaliści w błyskawicznym rozkładaniu korporacji na części – jak zabawki z klocków lego. Z ich pomocą można szybko stworzyć zespół indyjskich lub polskich fachowców i w odległym kraju stworzyć dowolny usługowy dział korporacji, nie zrywając nitki łączącej go z globalnym organizmem biznesu.

Pośrednicy tacy jak Accenture zarabiają miliardy dolarów i nie narzekają na brak nowych kontraktów. Ubiegły rok bił pod tym względem rekordy – wielkie korporacje zawarły niemal 300 wielkich umów outsourcingowych, 10 procent więcej niż w roku poprzednim.

ZMIENNICZY

Na ścianie siedziby firmy Infosys w Bangalurze ledwo mieści się długi rząd zegarów. Pokazują czas w różnych częściach świata: w zachodnich i wschodnich stanach USA, Wielkiej Brytanii, Indiach, Singapurze, Hongkongu, Japonii, Australii. Kiedy w USA i Europie Zachodniej po intensywnym dniu pracy kładą się do łóżek bankierzy, księgowi, inżynierowie i analitycy, przy biurkach i komputerach zasiadają ich indyjscy, chińscy czy filipińscy kolezdy po fachu. W Azji pracuje także druga, nocna zmiana, bo w ciągu dnia w Europie i USA apetyt na taną siłę roboczą jest nienasycony. Przy czym programista w Indiach zarabia jedną dziesiątą tego co jego odpowiednik w USA – 6, a nie 60 dolarów za godzinę pracy.

– W ciągu ostatnich trzech lat dokonana się rewolucja na miarę wynaleźnienia silnika parowego.

By pracować razem, nie trzeba wcale być blisko siebie – mówił BBC Ben Verwaayen, szef British Telecom. Szybkie łącza internetowe oraz oprogramowanie służące taniej telefonii gwałtownie zmniejszyły dystanse na naszym globie. Po kablach złożonych z milionów cienkich jak włos szklanych przewodów płyną cyfrowe sygnały. Koncerny mogą w ciągu nanosekund przysyłać pracownikom na odległym kontynencie nowe zadania: dokumenty, plany i bazy danych.

– Świat jest płaski – oznajmił triumfalnie publicysta „New York Timesa” Thomas Friedman, autor opatrzonego takim właśnie tytułem bestsellera o globalizacji. – Jeśli jesteś zdolny i sprytny, nie jest już ważne, gdzie siedzisz przy biurku: w Bostonie, Pekinie czy Bangalurze. Możesz grać ze światem jak równy z równym – mówił w styczniu na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos Bill Gates. Najlepsze ośrodki badawcze Microsoftu znajdują się w Pekinie i w Indiach. Kiedy Gatesowi przedstawiono niedawno 10 najlepszych pracowników jego koncernu, żartował, że za nic nie potrafi wymówić nazwisk 9 z nich.

RENTGEN DO ANALIZY

Delokalizacja usług to narkotyk dla wielkich korporacji. Potencjalnie mogą oszczędzić do 80 procent kosztów (choć zwykle oszczędności sięgają połowy tej wartości). Delegują więc na zewnątrz, zwykle do Azji i Europy Wschodniej, co się da – od obsługi klientów dzwoniących z reklamacjami po projektowanie samolotów. W nocy i w weekendy amerykańskie szpitale masowo wysyłają specjalistów w Indiach i w Australii zdjęcia rentgenowskie do analizy.

Amerykańskie koncerny farmaceutyczne przekazały część badań i testów klinicznych tanim firmom w Chinach i Rosji, indyjscy inżynierowie koncernu Cognizant testują nową generację bankomatów, a projektanci outsourcingowej firmy Tata zajmują się w Indiach nowymi modelami samochodów. W tym samym czasie jej specjaliści od dźwięku pracują nad animacją filmów dla Hollywood.

– Fala delokalizacji dopiero ruszyła – mówi „BusinessWeek” z nadzieją w głosie dyrektor firmy Tata Surya Kant. W 2003 roku Hindusi wypełnili 25 tysięcy oświadczeń podatkowych za obywateli USA. W rok później było ich sto tysięcy, a w ubiegłym roku pół miliona.

Uniwersytet Yale przekazał część badań wydziału biologii do Pekinu. W biurach Boeinga w Moskwie nad projektem skrzydeł nowego Boeinga 787 pracowała ekipa najlepszych rosyjskich inżynierów.

Dla wielkich koncernów bardzo się liczy szybkość działania. Znalezienie dobrego inżyniera w Kalifornii to kwestia paru miesięcy, działająca w Bangalurze firma HCL Technologies gwarantuje, że poradzi sobie z takim zadaniem w ciągu kilku dni. Dzięki delokalizacji wielki koncern może intensywnie pracować 24 godziny na dobę.

DALEJ DO ŚREDNIOWIECZA

Niemal trzymilionowy Bangalur, stolica indyjskiego stanu Karnataka, to skrzyżowanie zachodniej metropolii z Trzecim Światem. Kilometr

Telefony klientów z całego świata odbiera 245 tysięcy Hindusów w centrach obsługi takich jak to w Bangalurze

od galerii handlowych i kawiarni w stylu Starbucks znaleźć można biura aranżacji małżeństw i namiotowe miasteczko nędzarzy: bosi robotnicy pracują przy naprawie kanalizacji, a na rogu widać grupkę profesjonalnych żebraków bez dłoni i stóp.

Za Bangalurem w środku szczerego pola wyrasta nagle nowoczesny kompleks wybudowany przez Wipro – firmę outsourcingu usług komputerowych i komunikacyjnych. Wipro obsługuje 500 wielkich zachodnich koncernów. Na wszelki wypadek ma własną elektrownię – bez prądu cała bajka globalizacji pękłaby nagle jak mydlana bańka.

Wipro to jedna z plejady firm, które rosną jak na drożdżach w Bangalurze: Hindusi mówią po angielsku, są dobrze wykształceni i tani. Co roku na rynek pracy w Indiach trafia 2,4 miliona magistrów, 400 tysięcy z nich to inżynierowie.

„245 tysięcy Hindusów odbiera telefony klientów z całego świata i prowadzi telemarketing. W Indiach te prace cieszące się na Zachodzie niskim prestiżem stały się wysoko cenionymi etatami” – pisze Thomas Friedman. Praca za kilkaset dolarów miesięcznie to niekoniecznie wyzysk. – Bez wątpienia dzięki globalizacji w Indiach umacnia się nowa, zdrowa klasa średnia. Z czasem rosną też płace – uważa Brad Stone, dziennikarz ekonomiczny „Newsweeka”. Już teraz klasy średnie w Chinach i Indiach są liczniejsze (a zatem stanowią większy rynek) niż cała ludność USA. Wokół rozciąga się morze biedy.

„Dwie godziny jazdy od centrum Bangaluru cofa nas o 12 wieków w przeszłość” – przyznaje Thomas Friedman, przypomina jednak, że kilka lat temu podróż z centrum Bangaluru do głębokiego indyjskiego średniowiecza trwała niecały kwadrans.

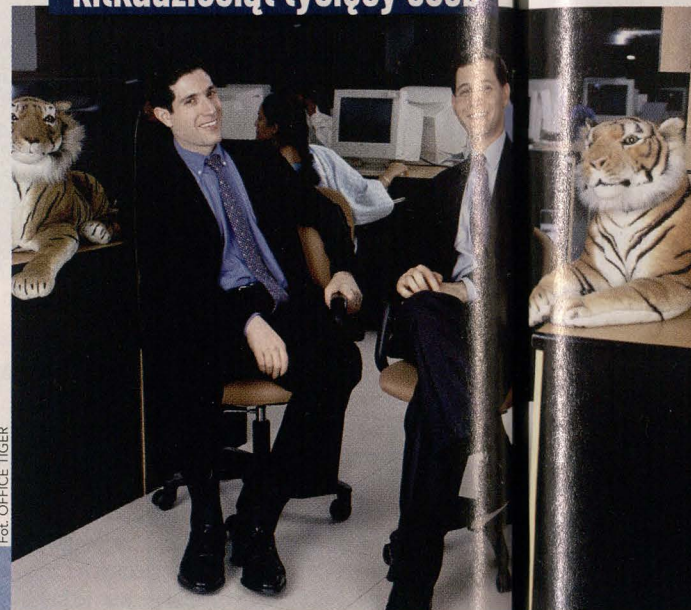
JEDNI ZYSKUJĄ, INNI TRACĄ

Vince Kosmac z Orlando na Florydzie oberwał od życia podwójnie. W latach 80. był kierowcą wielkiej ciężarówki w hucie stali. Kiedy firma zaczęła tracić zamówienia na rzecz walcowni w Chinach i Brazylii, Vince zrobił dyplom z informatyki. Przez 20 lat pracował jako programista. Niedawno globalizacja dogoniła go po raz drugi: stracił pracę w wyniku outsourcingu. – Podobno nie można komuś odebrać zdobytej wiedzy. Ja zostałem pozbawiony edukacji – narzeka Kosmac w rozmowie z dziennikarzem „Time’a”.

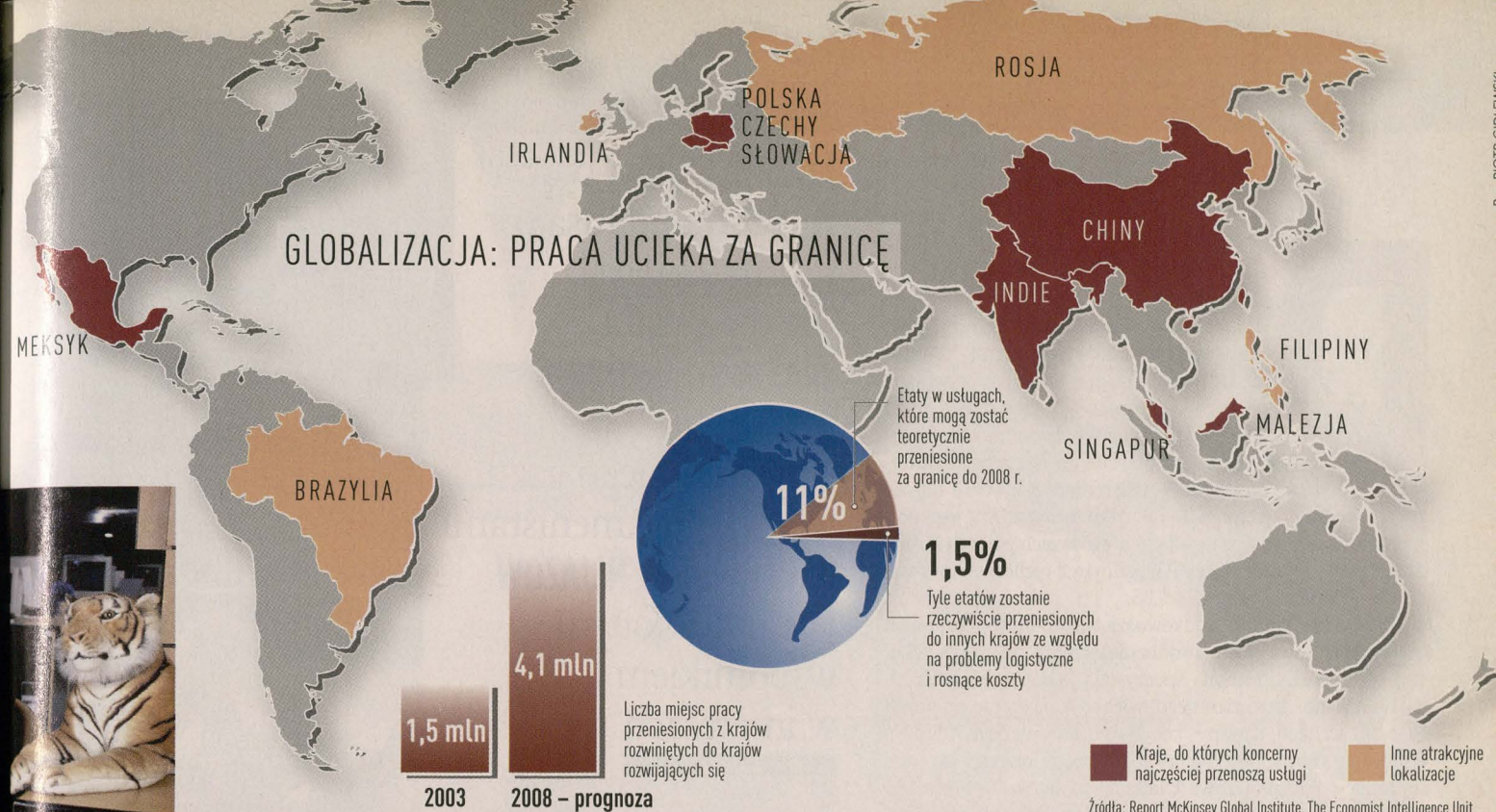
Nowe miejsca pracy w Azji oznaczają ryzyko bezrobocia dla tysięcy pracowników w USA i Europie Zachodniej. Według niektórych prognoz do 2015 roku USA stracą na skutek outsourcingu aż trzy miliony stanowisk w usługach i działach eksperckich wszystkich większych firm.

Delokalizacja ma jednak także drugą stronę. Pracownicy firmy produkującej opakowania w Greek Bay w stanie Wisconsin mają nadzieję na uniknięcie bankructwa dzięki przekazaniu prac projektowych 160 indyjskim inżynierom w Madrasie. Są nie tylko tańsi, ale i dużo szybsi niż mniejszy amerykański zespół. – Tylko dzięki outsourcingowi możemy walczyć o rynek i pró-

Indie, Chiny, Czechy, Singapur i Polska – to ścista czołówka krajów, do których przenosi się usługi. Dzięki delokalizacji pracę znalazło u nas kilkadziesiąt tysięcy osób



Obok: Randy Altschuler (z lewej) i Joseph Sigelman z OfficeTiger – szczęśliwi pionierzy delokalizacji usług



Mohali w stanie Pendżab. W Indiach siedziby wielkich korporacji outsourcingowych to wciąż wysepki luksusu w morzu biedy



bować chronić miejsca pracy w USA – mówi szef firmy Robert Chapman.

INDIE NIE NADAŻAJĄ

Z pracy w centrach telefonicznych na zmiany, pod czujnym okiem kamer rezygnuje coraz więcej młodych Hindusów, choć ostatnio płace wzrosły o 15 procent. Szwankuje jakość pracy, zdarzają się niezrozumiałe dla ludzi Zachodu opóźnienia w dostawach sprzętu i kłopoty z biurokracją. To skłoniło już kilka wielkich firm do powrotu do USA lub Europy. Jednak lokomotywa delokalizacji wciąż jedzie pełną parą. Tyle że chętniej w nowe rejony świata.

Za kilka lat w Indiach zacznie brakować wykwalifikowanej siły roboczej. W 2009 roku telefoniczne centra obsługi klienta będą potrzebować miliona pracowników, o jedną czwartą więcej, niż mogą zapewnić Hindusi. Czy lukę wykorzystają Rosjanie, Czesi i Polacy? W 770 polskich centrach obsługi pracuje już 30 tysięcy osób. Za trzy lata będzie ich 50 tysięcy, a placówek ponad półtora tysiąca. W call centre szczyńskiego oddziału amerykańskiej firmy Stream sto osób z doskonałą znajomością niemieckiego udziela klientom wsparcia technicznego.

RZECZPOSPOLITA PIĄTA

Według Joanny Bobak ze Stream Polska outsourcingowa atrakcyjność Polski polega przede wszystkim na dobrym poziomie wykształcenia i bliskości Niemiec.

W rankingu atrakcyjności outsourcingu na podstawie ankiety Economic Intelligence Unit (EIU) wśród 500 dyrektorów korporacji zaraz za Indiami i Chinami znalazły się Czechy, czwarty był Singapur, a piąta Polska. Pięć procent

kontraktów wielkich koncernów takich jak Boeing i Dell przyciągają Moskwa i Petersburg.

Zdaniem ekonomistów nadchodzi epoka egzotycznych, rozsiansych po świecie „wirtualnych korporacji”. Delokalizacja to także okazja dla mikrusów. Firma Los Altos z Kalifornii realizuje wielkie kontrakty marketingowe, choć na miejscu zatrudnia tylko 14 osób. Los Altos dzięki wyspecjalizowanemu kontaktom zleca badania pięciu tysiącom ekspertów na wszystkich kontynentach.

– Musimy nauczyć ludzi zarządzania wirtualną korporacją złożoną z pracowników, których mogą nigdy nie zobaczyć na własne oczy – mówi profesor Mohanbir Sawhney z Kellogg School of Management. Zdaniem profesora Joachima Betza z Uniwersytetu w Hamburgu cała zestawiana produkcja i duża część usług będą się odbywać w przyszłości wewnątrz firm z pracownikami rozrzuconymi po świecie.

Globalizacja to światowe targowisko innowacji i talentów: bez paszportów, wiz i urzędników imigracyjnych. Tyle że długo pozostanie ono dostępne tylko dla wybrańców. Większość ubogich mieszkańców Trzeciego Świata nie wykonała w życiu nawet jednego telefonu. Ale to będzie się zmieniać. „Kiedyś mówiło się dzieciom, by jadły obiad, bo w Azji panuje głód” – pisze Thomas Friedman. Dziś jego zdaniem powinniśmy je namawiać, by odrabiały lekcje, bo apetyt na ich etaty mają dzieci z innych kontynentów, coraz częściej wpatrzone w ekrany podobnych komputerów jak ich rówieśnicy z „pierwszego” świata.

MAREK RYBARCZYK
WSPÓŁPRACA RAFAŁ WOŚ

KORZYSTAŁEM Z KSIĄŻKI „THE WORLD IS FLAT” („ŚWIAT JEST PŁASKI”) THOMASA FRIEDMANA ORAZ RAPORTÓW TYGODNIKÓW „BUSINESSWEEK” I „TIME”.

CZYNGAZ-CHAN

Pięć milionów Turkmenów dobrze zna oblicze swego wodza – Saparmurat Nijazow, czyli Turkmenbaszy Wielki, spogląda na nich z pomników, billboardów, rzeźb i obrazów, zdobi banknoty wszystkich nominałów, a dzieci raz do roku dostają zegarki z wizerunkiem prezydenta. – Gdyby mój prezydent dał mi wszystko, co mam, to nie tylko malowałbym jego portrety, ale jeszcze nosiłbym je na swoich plecach i ubraaniu – wyznał Nijazow w jednym z niezliczonych wywiadów amerykańskiej telewizji CBS.

Nijazow ma 66 lat, środkowoazjatyckim Turkmenistanem (za czasów sowieckich Turkmenia) rządzi od 1985 roku. Pod turkmeńską pustynią spoczywają jedne z największych na świecie złóż gazu ziemnego, więc nikt nigdy nie traktował ekscentrycznego satrapy jak wyrzutka międzynarodowej wspólnoty. Wręcz przeciwnie, zdaje się, że otaczają go sami sojusznicy. Pomarańczowa Ukraina i putinowska Rosja biją się o jego względy i długoterminowe kontrakty na zakup gazu. Amerykański koncern Unocal, który chciał przed laty zawrzeć wielki kontrakt, zatrudnił do kontaktów z Turkmenbaszym Henry'ego Kissingera, a Donald Rumsfeld odwiedzał go potajemnie, pragnąc zapewnić Amerykanom jego przychylność dla interwencji zbrojnej w sąsiednim Afganistanie.

Gaz zapewnia Turkmenistanowi nie tylko wolność od zewnętrznej krytyki, ale przede wszystkim parę miliardów dolarów rocznie. Nijazow wydaje je na swoje hobby – jest nim władza. Jego prezydencka kadencja może trwać w nieskończoność, jego partia ma sto procent miejsc w parlamencie, od jego imienia zaczyna się hymn narodowy, a piosenkarze śpiewają pieśni o „wielkim wodzu zesłanym przez niebiosa”. Potencjalni opozycjoniści zostali wygnani lub gniją w więzieniach. Turkmenbaszy to jeden z największych dyktatorów świata. I jeden z najbardziej niezwykłych.

CZŁOWIEK, KTÓRY DOPEŁZŁ DO WŁADZY

Saparmurat Nijazow, rocznik 1940, nie pamięta swojego ojca, który zginął na samym początku wojny z Niemcami. Trzy lata po wojnie stracił również matkę i dwóch braci. W nocy z 5 na 6 października 1948 roku olbrzymie trzęsienie ziemi zamieniło stołeczny Aszchabad w morze gruzów, zginęło ponad 150 tysięcy osób. Nijazow odzyskał przytomność w ruinach swojego domu. „Na zawsze pożegnałem się z dzieciństwem, już nigdy więcej nie płakałem” – napisze po latach.

W oficjalnych biografiach przedstawiany jest jako sierota, który dzięki ciężkiej pracy skończył szkołę i studia inżynierskie w Leningradzie, a później bez żadnego poparcia zaczął robić partyjną karierę w ojczystej republice. Niektórzy twierdzą jednak, że z domu dziecka szybko trafił pod skrzydła wuja, bogatego dyrektora opolchozu, ale wciąż lubił brać ludzi na litość wzruszającymi opowieściami o trudnym dzieciństwie. Podobno właśnie w ten sposób podszedł komunistycznego przywódcę Turkmenii Muhammednazara Gapurowa, gdy pod koniec lat 60. jako młody inżynier oprowadzał go po fabryce, w której pracował. Gapurow zabrał go na swój dwór.

Nijazow ma najgorszą sowiecką cechę – bez cienia namysłu pada na kolana przed silniejszym i bez litości także słabszym

Jego duchowi bracia to Saddam Husajn i Kim Dzong Il. Ale dla świata Zachodu, który potrzebuje turkmeńskiego gazu, władca Turkmenistanu **SAPARMURAT NIJAZOW** jest hołubionym współnikiem w interesach

FOT. SIGNAR/ITAR-TASS/FORUM



Saparmurat Nijazow mianował się spadkobiercą huńskich wodzów, Czyngis-chana i osmańskich sułtanów. Turkmeni historycy dowodzili nawet, że jest potomkiem Aleksandra Wielkiego. Nic dziwnego, że otacza go chański przepych. Na zdjęciu: Obchody Dnia Flagi Państwowej. 19 lutego 2004 roku, Aszchabad

Turkmenbaszy to nie tylko dyktator ekscentryk, to typowy postsowiecki satrapa okrutny wobec przeciwników

FOR: RUSSIAN LOOK/POLARIS/EAST NEWS



padają na kolana przed sobą. Robił to, zarówno gdy parzył herbatę Gapurowowi, gdy w 1980 roku zostawał sekretarzem partii w Aszchabadzie, jak i później, gdy ściągnięto go na krótko do pracy w KC KPZR w Moskwie. – Miał zawsze nawyk otwierania drzwi wyżej postawionym – opowiadał zmuszony do emigracji wicepremier Chudajberdy Orazow gazecie „Moskowskij Komsomolec”. – Robił to nawet wtedy, gdy pracował w aparacie Komitetu Centralnego. Gdy tylko zobaczył, że ktoś z wysoko postawionych towarzyszy wychodzi, wyszturczał do niego jak z armaty i przytrzymywał mu drzwi, uśmiechając się i lekko skłaniając głowę.

BEZ MAKIJAŻU

W 1985 roku kariera partyjnego działacza gwałtownie przyspiesza. Do władzy w Moskwie dochodzi Michaił Gorbaczow, zaczyna się pierestrojka i wielka wymiana breżniewowskich kadr. Gapurow jako człowiek ancien régime'u traci władzę, Nijazow – sierota bez rodowego zaplecza – jest dla Gorbaczowa idealnym kandydatem na szefa prowincjonalnej republiki.

W czasie pierestrojki nie rzuca się w oczy. Nie wygłasza referatów, nie przedstawia koncepcji uzdrowienia państwa, nie jest ani reformatorem, ani twardogłowym komunistą. Służy Gorbaczowowi, ale gdy moskiewski pucz w sierpniu 1991 roku próbuje odebrać mu władzę, pręży się na baczność przed puczystami, by zaraz potem w przerażeniu zamknąć się w gabinecie i wyczekiwać na wieści z Moskwy.

W grudniu 1991 roku Związek Sowiecki przestaje istnieć. Turkmenia, teraz nazywana Turkmenistanem, zyskuje niepodległość. Nijazow nie wie, co robić. Apeluje o zjednoczenie pięciu repu-

blik Azji Środkowej w jedno państwo. Chce zawrzeć unie z Turcją, a nawet – według jednego z oponentów – rozważa oddanie się pod chiński protektorat. Ale z czasem zauważa, że niepodległość oznacza dla niego bezgraniczną władzę. Szybko ogłasza wieczystą neutralność i dzięki złożom gazu i korzystnemu położeniu geograficznemu do dziś sprawnie lawiruje między Moskwą, Waszyngtonem, Teheranem, Ankarą i Pekinem. Wyborcy dają mu 99,5 procent głosów, a parlament co kilka lat potwierdza dożywotniość jego prezydentury. Prezydent przyjmuje nowe nazwisko i tytuł Wódz Saparmurat Turkmenbaszy Wielki. Türkmen Başy to po turkmeńsku tyle co Wódz Turkmenów.

Imponuje mu inżynieria społeczna. Dekrety prezydenta regulują wszystko – zakazują noszenia bród i długich włosów, każą cudzoziemcom płacić 50 tysięcy dolarów za ślub z Turkmenką, likwidują biblioteki i parki narodowe, zakazują noszenia złotych koron na zębach, a telewizyjnym spikerom zabraniają korzystania z makijażu. Cyrylicę zastępuje łacińskim alfabetem, wprowadza nowe nazwy miesięcy (styczeń nazywa się Turkmenbaszy) i nowe dni tygodnia. Gdy chce ratować narodowe tradycje muzyczne, zabrania odzwierciedlania na weselach muzyki z magnetofonu, a na koncertach zakazuje używania playbaku.

W grudniu 2005 roku zirykowali go trzej ministrowie, których wysłał do Chin podpisywać kontrakt gazowy. Mieli problemy z dogadaniem się w jakimkolwiek języku. – Nawet Chińczycy znają angielski, a moi zastępcy ani słowa nie rozumieją – złościł się prezydent, rugając całą trójkę. Po czym kazał wszystkim ministrom nauczyć się angielskiego. W sześć miesięcy. – Macie mówić jak po swojemu! – gromił ich. Ktoś zauważył, że

trochę wcześniej jego dekret zabronił wwożenia do kraju jakiegokolwiek obcojęzycznej literatury.

TATA, MAMA I POMNIK

Złóża gazu, wedle niektórych szacunków trzecie-czwarte na świecie i warte być może kilkaset miliardów dolarów, dają mu pewność siebie. Prezydent otacza się klakierami, państwo staje się folwarkiem. Na transmitowanych posiedzeniach rządu wyrzuca ministrów za drzwi, każe im publicznie błagać o wybaczenie. – Wielki wodzu! Będę ciężko pracował dniem i nocą – przysięgał parę miesięcy temu wicepremier Amandurdy Muradkulijew, wdzięczny, że po wyrzuceniu go Turkmenbaszy dał mu stanowisko lokalnego gubernatora.

Ile jeszcze pozostało w Turkmenbaszym z człowieka? Nikt tego nie wie. Życie rodzinne to prawdopodobnie fikcja. Z żoną przez lata mieszkali osobno, on w Aszchabadzie, ona w Moskwie. Córką Irina – skłócona z ojcem – mieszka z mężem na Zachodzie. Syna Murata, którego wysłał na studia do Moskwy i szykował na następcę, pochłoniął hazard. Ojciec miał pewnego razu zapłacić za niego paromilionowy rachunek z kasyna.

Nijazow szukał dla swojego kraju jakiejś ideologii. Pogrywał krótko z islamem. – Kto zapominał o Bogu, nie ma prawa rządzić ludźmi – mówi. Ale sam woli zostać bogiem. Jego powstała w latach 1997–2001 „Ruhnama” („Księga Duchy”), skrzyżowanie autobiografii z wykładem turkmeńskiej mitologii, to dzieło quasi-religijne. Dzieci uczą się jej na pamięć, studenci analizują, a oficjalna prasa zawsze poprzedza jej nazwę za-rezerwowanym dla Koranu przymiotnikiem *mu-kaddes* (święty). Cytaty z niej zdobią na równi z cytatami z Koranu niektóre meczety – za co

Pomniki Wodza to stały element Turkmenistanu. Ten na zdjęciu pokazuje dłonią na dumę Turkmenbaszego – wielki meczet zbudowany w jego rodzinnej miejscowości Kypczak



Prezydent pogrążony w muzułmańskiej modlitwie w czasie otwarcia jednej z tłoczn na polu gazowym Korpėje

w wielu krajach muzułmańskich dostałby fatwę z wyrokiem śmierci. W „Ruhnamie” ojciec Nijazowa urasta nagle do rangi „najdzielniejszego z dzielnych”, matka staje się matką narodu. Obojgu każe wystawiać pomniki i muzea. W jednej z miejscowości tata i mama patrzą na siebie przez centralną ulicę, a obok mauzoleum swojej matki jej syn wznosi meczet za sto milionów dolarów. To bałwochwalstwo nie przeszkadza. Ludność republiki wyznaje sunnicki islam, ale religijność, na przykład w porównaniu z sąsiednim Uzbekistanem, nie jest szczególnie żarliwa.

PAŃSTWO NA HAJU

Rządzić może aż do śmierci. Władzę Turkmenbaszego może też zmieść wielki bunt, ale w narodzie przynajmniej się do spuścizny po Czyngis-chanie rodzi się on bardzo wolno. Większość Turkmenów odczuwa wobec prezydenta dziwną mieszaninę podziwu, strachu i uwielbienia. Pensje wypłacane są na czas (co wcale nie jest regułą w krajach postsowieckich) i choć wynoszą one zaledwie kilkadziesiąt dolarów, wielu to wystarcza. Wielu wpędza jednak w apatię. Turkmenistan leży na szlaku narkotykowym z Afganistanu do Europy. Opium i heroina występują tu na każdym kroku. Dane ame-

rykańskiego Instytutu Wojny i Pokoju (IWPR) mówią o 20 tysiącach ludzi handlujących w Aszchabadzie narkotykami, w niektórych rejonach narkotyki zastąpiły na weselach wódkę i wino, po raz pierwszy w historii w Turkmenistanie pojawił się nieznany dotychczas problem rozpadu rodziny, są wsie, gdzie heroina jest w każdym domu. Zdaniem ob-

serwatorów niemożliwe jest, by zysków z tak gigantycznego handlu nie czerpał reżim.

PAZURY TURKMENBASZEGO

Nijazow jest nie tylko ekscentrykiem. To okrutny postsowiecki satrapa. 25 listopada 2002 roku nieznani sprawcy ostrzelują jego konwój. W ciągu kilku dni zamienia państwo w łagier. „Sprawcy” przynajmniej się do winy, aresztowani są członkowie ich rodzin. Wśród 200 zatrzymanych jest były wicepremier Borys Szymuradow. Na ekranie telewizji pobity sypie jak z nut. – Stworzyliśmy grupę przestępczą, a naszym celem było obalenie porządku konstytucyjnego i zamach na prezydenta – mówi. – Prezydent Saparmurat Turkmenbaszy to dar z niebios – dodaje.

Do dziś nie wiadomo, co stało się z wieloma aresztowanymi. Nijazow nie przejął się też protestami OBWE. – Wszyscy spiskowcy przyznali się do winy i innych dowodów nie trzeba. W turkmeńskich więzieniach nie ma niewinnych ludzi – mówił w wywiadzie dla CBS.

– Jedyne, co mogę o nim dobrego powiedzieć, to że stara się na razie nie zabijać ludzi, wystarczy mu sadzanie do więzień – mówi Marc, Francuz, który przepracował kilkanaście miesięcy w Turkmenistanie. Zapamiętał głównie strach miejsco-

wych przy spotkaniu z cudzoziemcem i charakterystyczne nadstawianie uszu, gdy tylko pada nazwisko prezydenta.

Jego wizja i tak jest zbyt optymistyczna. Emigracyjna opozycja oskarża Nijazowa o tajemnicze zgony kilku zatrzymanych aktywistów. Do dziś nie wiadomo, co stało się z dawnym protektorem Nijazowa Muhammednazarem Gapurowem, którego w 1999 roku znaleziono martwego. Podobno zamierzał napisać książkę o Nijazowie.

Laura Kennedy, dawna ambasador amerykańska, wróciła do Stanów przerażona dwuletnim pobytom. – Obcowanie z Turkmenbaszym niczym się nie różni od obcowania z Kim Dzong Ilem czy Saddamem Husajnem – powiedziała później w wywiadzie telewizyjnym.

Turkmenbaszy potrafi zaskoczyć czarnym humorem. W ubiegłym roku nagle, ni stąd, ni zowąd zapowiedział, że w 2009 roku zorganizuje wybory. – Trzeba przygotować kandydatów – wymuskiło mu się. A czasem być może naprawdę przemawia przez niego szczere zmęczenie. W czerwcu 2004 roku miał być gościem uroczystego koncertu, ale gdy zobaczył, że wszystkie pieśni są o nim, nie wytrzymał. – Błagam, nie chwalcie mnie ponad miarę. Czy wiecie, jak ciężko jest człowiekowi słuchać cały czas piosenek o sobie? – apelował. W tym samym mniej więcej czasie zaczęła znikać część portretów, z których prezydent patrzył na mieszkańców. Zamiast nich pojawiły się hasła wychwalające naród turkmeński. – Ja tylko kieruję, to naród pracuje i tworzy – wyznał największy z Turkmenów.

JAKUB KUMOC

WIĘCEJ O TURKMEŃSKIM GAZIE NA NASTĘPNEJ STRONIE

GAZ TURKMENBASZEGO



Położenie Turkmenistanu umożliwia mu polityczne lawirowanie między Moskwą, Teheranem, Ankarą i Waszyngtonem. Sprawia natomiast kłopoty w eksporcie gazu. Jedyny duży gazociąg prowadzi do Rosji, a trudno znaleźć kogoś, kto sfinansowałby budowę przez Iran

RYS: REUTERS/FORUM

Władze Turkmenistanu twierdzą, że pod ich pustynnym krajem leży ponad 20 bilionów metrów sześciennych gazu. Jeżeli to prawda, są to trzecie co do wielkości złoża świata

ciąg prowadzony przez niestabilne rejony. Mógłby on przebiegać przez Iran, ale to spotkałoby się z niechęcią Waszyngtonu i potencjalnych inwestorów. Mógłby bieć pod dnem Morza Kaspjskiego, ale to nie po myśli Azerbejdżanu, który sam ma duże złoża gazu i nie jest w stanie dojść do porozumienia z Turkmenistanem w sprawie części złóż położonych na samym środku akwenu.

Długo trwały negocjacje z Iranem. Państwo ajatollahów ma złoża własnego gazu na południu, ale najbardziej uprzemysłowione rejony na północy. Teheran proponował transakcję związaną – Turkmenistan zapewniłby gaz północnemu Iranowi, zaś Iran oddałby Aszchabadowi zyski z eksportu z południowych pól.

O ile pierwsza sprawa nie jest problemem, o tyle druga jest bardzo trudna do realizacji. Iran musiałby wybudować drogi terminal i na dodatek znaleźć nabywców. W sytuacji gdy Islamska Republika jest pariasem wspólnoty międzynarodowej, trudno znaleźć gazochłonną gospodarkę,

która chciałaby się wiązać długoterminowymi dostawami z Iranem.

Jeden z projektów, który miał szansę realizacji w połowie lat 90., zakładał wielką rurę przebiegającą przez Afganistan, Pakistan i kończącą się w przeżywających okres dużego wzrostu gospodarczego Indiach. Projekt miał realizować amerykański koncern Unocal, ale i on nie okazał się realny. Po pierwsze, Afganistan jest zbyt mało stabilny, by zaryzykować budowanie w nim gazociągu, po drugie, Indie buntują się przeciwko uzależnieniu gazowemu od tranzytowego Pakistanu. Dopiero w 2002 roku podpisano pierwszy dokument w sprawie budowy Gazociągu Transafgańskiego. Ma prowadzić do Pakistanu z ewentualną budową nitki irańskiej i indyjskiej. Projekt wyceniany jest na trzy miliardy dolarów. Wciąż jednak trwają w jego sprawie rozmowy. Inwestorzy podważają realną wielkość złóż w turkmeńskim Dauletabadzie, gdzie miałyby się zaczynać wielka rura przenosząca rocznie 20 miliardów metrów sześciennych. Zdaniem wielu złoża te są niewystarczające dla tak dużego projektu, a jego koszty wzrastają, bo należy dokonać eksploracji kolejnych złóż i mocno przedłużyć rurę. Inwestycja bardzo zależy od stabilności państwa afgańskiego. Im silniejsza jest w nim centralna władza, tym większe szanse na budowę. Tym chętniej również do bram pałacu Turkmenbaszego Wielkiego pukać będą amerykańskie koncerny.

Na razie Saparmurat Nijazow Turkmenbaszy pozostaje sam z olbrzymimi złożami rozsianymi w kilku punktach kraju i kuszeniem rosyjskiego Gazpromu, który chciałby w całości przejąć kontrolę nad sprzedażą turkmeńskiego surowca.

W kwietniu 2003 roku Nijazow podpisał z Gazpromem ramowy kontrakt stulecia. Przez 25 lat, począwszy od 2010 roku, Turkmenistan przeciętnie ma dostarczać Rosji 100 miliardów

NAJWIĘKSZE ZŁOŻA GAZU ZIEMNEGO w m³

ROSJA 47 bilionów
IRAN 26,7 biliona
TURKMENISTAN 20,4 biliona (dane turkmeńskich władz), 15,2 biliona (według publikacji American University)
KATAR 14,4 biliona
ARABIA SAUDYJSKA 6,3 biliona
ZJEDNOCZONE EMIRATY ARABSKIE 6,1 biliona
USA 5,2 biliona
ALGERIA 4,8 biliona
WENEZUELA 4,2 biliona
NIGERIA 4 biliony
Kraje UNII EUROPEJSKIEJ łącznie 3,3 biliona
IRAK 3,1 biliona
KAZACHSTAN 3 biliony
TURKMENISTAN 2,9 biliona (według danych Międzynarodowej Agencji Energii)
INDONEZJA 2,5 biliona

Wielu ekspertów uważa dane na temat Turkmenistanu za trudne do oszacowania. Międzynarodowa Agencja Energii nie uznaje części danych turkmeńskich władz, które mówią, że posiadają aż 20 bilionów metrów sześciennych gazu (byłyby to trzecie rezerwy świata). Turkmenistanowi liczy jedynie potwierdzone złoża. 2,9 biliona metrów sześciennych dawałoby państwu Turkmenbaszego 13. miejsce na świecie.



Turkmeński satrapa chętnie przyjmowany przez możnych tego świata. Na zdjęciach: Z Władimirem Putinem, księciem Karolem i byłym prezydentem Iranu Mohammedem Chatamim

metrów sześciennych gazu rocznie i dostawać za to 4,4 miliarda dolarów.

Dla Rosjan to niezwykle korzystna transakcja. Formalnie oznacza ona ni mniej, ni więcej, tyle że nikt inny nie jest już w stanie kupować turkmeńskiego gazu idącego przez rosyjską sieć przesyłową, bo dodatkowy surowiec po prostu się nie mieści. Rosjanie nie wzięli jednak pod uwagę mentalności Nijazowa. W ubiegłym roku – nie bacząc na kontrakt z Gazpromem – ogłosił on sprzedaż ponad 40 miliardów metrów sześciennych Ukrainie. – Turkmenbaszy sprzedał dwa razy ten sam gaz – mówiono potem w Moskwie.

Nijazow nie jest uważany za wiarygodnego partnera. Ma opinię osoby, dla której umowa to jedynie świstek papieru. Nie ma możliwości zastosowania przeciwko niemu sankcji, a on sam ma nad swoim krajem władzę satrapy.

Mimo to w kolejce po turkmeński gaz ustawiają się coraz to nowe kraje, które mają kłopoty z Rosją i chcą balansować między dwoma dostawcami. Gruzja i Armenia chcą przez Iran zbudować gazociąg i uniezależnić się od Moskwy. Siła nabywcza tych krajów z punktu widzenia Turkmenistanu jest jednak słaba.

Najsilniejsza jest Rosja, która czyni wszystko, by z Turkmenistanu zrobić swój gazowy rezerwuuar. Wówczas może odkładać w czasie inwestycje w swój przestarzały system wydobywczy i eksploatację kolejnych złóż. Turkmenistan chce oczywiście sprzedawać gaz we wszystkich kierunkach samemu, ale tak czy inaczej – nawet po sprzedaniu go Gazpromowi – olbrzymie ilości gotówki co roku zapełniają budżet pustynnego kraju. A jego wodzowi zapewniają dożywną władzę.

JAKUB KUMOC

6 NOMINACJI - OSCARY 2006

GEORGE CLOONEY

przedstawia

GOOD NIGHT AND GOOD LUCK

KINO ŚWIAT

w kinach 24 lutego

Niewidzialne stygmaty otwierają się radnemu Koziółkowi zwykle na sesjach rady miejskiej. – Kiedy ktoś zaczyna kombinować przeciwko mnie, czuję klucie w dłoni lub w stopie – mówi radny. – Pan Bóg tak dalece to doprecyzował, że ból zależy od skali niechęci: czasem czuję, jak mi jeden gwóźdź wbijają, a czasem cztery. Przy panu odczuwam tylko małą wibracyjkę w ręce, co interpretuję jako lekką nieufność.

Najwięcej gwóździ wbili w radnego politycy, których do niedawna uznawał za swoich kolegów. A ukrzyżowali go 31 stycznia tego roku. Podczas tej sesji radny Koziółek poczuł w sobie cztery gwóźdź, otwartą ranę w boku, gorejące serce i koronę cierniową – przestał bowiem być wiceprzewodniczącym rady miejskiej.

– Został zagrożony główny plan Pana Boga wobec mnie, który zakładał moją obecność w polityce jako świętego – mówi Koziółek. – Politycy gasną przy mnie, więc szukając sposobu, by mi dopiec, mówią: „Koziółek, idź się lecz”.

PYTANIA O BADANIA

Kłopoty Jarosława Rafała Stanisława Koziółka zaczęły się dwa lata wcześniej, 13 stycznia 2004 roku. Dokładnie w 42. urodziny. Radny wstał rano, podszedł do kartki papieru i zapisał ją automatycznie od góry do dołu. Czuł wewnętrzną potrzebę uzewnętrznienia tego, co siedziało w środku. – Miałem świadomość, że Pan Bóg zleca mi jakąś ważną misję – wspomina. Rozdawał skserowaną kartkę z objawieniem i złożył zapytanie do prezydenta miasta: czy Stargard jest gotowy na przyjęcie Syna Bożego? „Jestem Synem Boga Wszechmogącego, jedynego i prawdziwego Boga Izraelitów” – odczytał oświadczenie i dodał, że Jezus Chrystus obdarzył go w pełni Duchem Świętym, by przygotował świat na jego przyjście. Szczegółów niezbędnych przygotowań nie zdradza.

– Wtedy chyba po raz pierwszy pojawiło się publicznie pytanie, czy ja jestem zdrowy psychicznie. Na szczęście miałem aktualne badania lekarskie, bo akurat starałem się o pracę w ochronie.

A zaświadczenie stwierdzało jasno: „Jarosław Koziółek posiada zdolność fizyczną i psychiczną do wykonywania zadań pracownika ochrony fizycznej”.

Innej reakcji rady niż co najmniej sceptyczna spodziewać się nie mógł. Bo zanim odczytał radnym swoje oświadczenie, był już z oświadczeniem u proboszcza. – Zanim trafię z tym do biskupa, chciałbym jako pierwszej osobie na drodze służbowej opowiedzieć o objawieniu księdzu proboszczowi – powiedział duchownemu Koziółek. Uczciwie przedstawił problem. Powiedział, że po Soborze Watykańskim II Kościół powinien brać pod uwagę objawienia osób świeckich. Dodał, że nigdy wcześniej, nie licząc drobnego incydentu sprzed 20 lat, gdy po przebudzeniu poczuł, że przy jego łóżku stoi Jezus Chrystus, coś tak cudownego mu się nie przytrafiło.

Ksiądz proboszcz powiedział tylko, że nie chce mieć z tym nic wspólnego. Po bliższym zapozna-



KOZIOŁEK OFIARNY

Radny **JAROSŁAW KOZIOŁEK** doznał objawienia – poczuł, że jest Synem Bożym. Takiej sytuacji nie przewiduje żadna ustawa, więc stargardzcy rajcy obradują w obecności natchnionego Duchem Świętym i dotkniętego mentalnymi stygmatami kolegi

niu się z objawieniami powiedział: – Jarek, jesteś chory. Przynieś mi zaświadczenie od lekarza, to może ci uwierzę.

Do biskupa od dwóch lat Koziółek mimo usilnych starań dostać się nie może.

– Dopiero gdy oświadczenie zanieś do mediów i poszło w Polskę, rozpoczęła się szeroka dyskusja – wspomina Koziółek.

NIC NIEPOKOJĄCEGO

Jednak media, zamiast skupić się na meritum, zbyt dużo miejsca poświęciły problemowi braku regulacji prawnych w wypadku pojawiania się objawień. Publicyści „Głosu Szczecińskiego” zauważyli, że jeśli radny doświadczający objawienia nie zagraża sobie ani innym osobom, to nie ma prawnej możliwości pozbawienia go mandatu. Wygaśnięcie mandatu jest możliwe tylko w przypadku odmowy złożenia ślubowania, zrzeczenia się mandatu lub skazania prawomocnym wyrokiem.

Gdy okazało się, że brak prawnych możliwości odesłania wiceprzewodniczącego na specjalistyczne badania, Aleksander Buwelski, szef klubu radnych PO, rozpoczął zbieranie podpisów pod wnioskiem o odwołanie Koziółka z funkcji.

Wniosek nie trafił pod obrady, bo wśród 23 radnych nie udało się zdobyć wymaganych sześciu podpisów poparcia.

Murem za Koziółkiem stanęli radni SLD. Nie pierwszy raz – dwa miesiące wcześniej Jarosław Koziółek, radny Prawa i Sprawiedliwości, działacz Solidarności i Katolickiego Zrzeszenia Kolarzy Polskich, kandydat na posła z list PiS, przyłączył się niespodziewanie do koalicji z SLD.

Dzięki temu Sojusz obsadził swoimi ludźmi komisję rady i stanowisko przewodniczącego. SLD razem z Koziółkiem miał 12 głosów w 23-osobowej radzie i mógł wygrywać wszystkie głosowania.

Radny Koziółek mówi, że nie miał innego wyjścia, jak przyłączyć się do lewicy.

Gdy zjawił się u niego komornik i zażądał spłaty 15 tysięcy pożyczki z biura pracy, którą podzyrował koledze, tylko przewodniczący powiatowego SLD Mirosław Dawidowicz gotów był pospieszyć mu z pomocą. Załatwił u SLD-owskiego starosty rozłożenie wierzytelności na raty i zaproponował stanowisko wiceprzewodniczącego rady miejskiej. Komornik Koziółka już więcej nie nachodził.

– Nikt nie miał wątpliwości – mówi Grzegorz Dąrzek, stargardzki dziennikarz „Głosu Szczecińskiego” – że w zamian za poparcie polityczne wykorzystano chorego człowieka.

– Nie zauważyliśmy niepokojących sygnałów w jego zachowaniu – twierdził po objawieniach Koziółka Dawidowicz. – Sojusz nigdy nie pytał swoich członków o to, jaką wiarę wyznają, nie mieszkamy się w tę kwestię.

Koziółka zaś wziął na stronę i powiedział: – Jarek, to jest twoja prywatna sprawa. Ja w to nie wnioskuję.

RZUCONY NA POŻARCE

Po śmierci papieża wiceprzewodniczący ponowił apel, by Stargard przygotował się na przyjście Syna Bożego. Wtedy przyjechał Polsat z kamerą. Radny Koziółek powiedział telewizji, że jego wiara jest tak wielka, iż mógłby zostać papieżem.

Ta wypowiedź nie wywołała już w mieście gniewu, tylko współczucie. – Gdy zrobiliśmy sondę uliczną, zwykli ludzie mówili, że trzeba pomóc choremu człowiekowi i należy go odizolować od polityki – mówi Grzegorz Dąrzek. – Radni Sojuszu upierali się jednak, że dopóki na sesji nie przeszkadza, to nie można interweniować. A po sesji ma prawo mówić, co chce, bo jest wolność słowa.

Do niedawna trudno było się oficjalnie dowiedzieć, co radni lewicy zamierzają zrobić z problemem Koziółka.

Adam Kisio, przewodniczący rady miejskiej z SLD, na każde pytanie o wiceprzewodniczącego odpowiada tak samo: – Nie będę wypowiadał się na temat Jarosława Koziółka. To i tak duży postęp, bo kilka miesięcy temu, gdy pytano go o to samo przed kamerami, w ogóle nie odpowiadał, tylko kręcił przecząco głową.

Dopiero teraz, w styczniu, gdy radny Koziółek ogłosił na konferencji prasowej, że został przez Boga namaszczonej na premiera, radni lewicy odwołali go z funkcji wiceprzewodniczącego (przy trzech głosach przeciwnych i trzech wstrzymujących się).

– Wykalkulowali, że lepiej go teraz odwołać, niż za kilka miesięcy tłumaczyć się z tego podczas kampanii wyborczej – mówi redaktor Dąrzek.

– Zresztą Koziółek przestał być dla nich sterowalny i nie mieli żadnego wpływu na to, jak on głosuje.

WYBORCY DECYDUJĄ

Zdaniem Aleksandra Buwelskiego, radnego PO, przykład Jarosława Koziółka pokazuje, że prawo powinno regulować rozwiązywanie tego typu problemów. – Nie twierdzę, że opinia psychiatry ma być ważniejsza od tysiąca głosów wyborców – mówi Buwelski. – Ale przecież nie można jej zupełnie ignorować.

Zwłaszcza że Koziółek cztery lata temu ubiegał się o stanowisko prezydenta Stargardu i w wyborach zdobył bardzo duże poparcie, zajmując trzecie miejsce. – Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby został prezydentem – zastanawia się Buwelski. – W imieniu miasta mógłby zaciągać wielomilionowe zobowiązania i można by go usunąć tylko w drodze referendum.

To i tak lepiej niż teraz, bo pojedynczego radnego w ogóle nie można pozbawić mandatu.

– Objawy wskazują na zaburzenia psychotyczne – twierdzi Marek Juraszek, szczeński psychiatra, chociaż bez zbadania pacjenta nie podejmuje się postawić jednoznacznej diagnozy. – Chorzy cierpiący na tego typu schorzenia mają urojenia, omamy i często doznają zdarzeń nadprzyrodzonych. Najprostszym sposobem odsunięcia od władzy osób chorych byłby przepis wprowadzający obowiązkowe badania psychiatryczne, co od lat postuluję – mówi doktor Juraszek.

Przeciwnikiem majstrowania przy ustawie jest profesor Michał Kulesza, twórca prawa samorządowego. Jego zdaniem przykład Stargardu pokazuje, jak ważny jest każdy głos.

– Każdy wyborca musi odpowiedzieć sobie na pytanie, czy chce, by reprezentował go Syn Boży, czy facet znający się na problemach miasta. I ponosić odpowiedzialność takiego wyboru – mówi profesor Kulesza. – Ośmieszylibyśmy się, gdybyśmy wprowadzili przepis, że każdy kandydat powinien przejść badania psychiatryczne.

CZEKAJĄC NA CUD

Jarosław Koziółek mimo przykrości, które go spotykają, nie żałuje decyzji o ujawnieniu się. Choć rodzina wstydzi się go, przez co radny czasem musi mieszkać poza domem. I choć brat chce zmienić przez niego nazwisko. I mimo że wytykają go palcami na ulicy, to wie, że jako radny nie może sobie niczego zarzucić.

Z optymizmem patrzy w przyszłość. Choć ma pewne obawy związane z najbliższymi wyborami samorządowymi. Na pewno nie wystartuje z list PiS. Na pewno nie z list SLD.

– Jedyna sensowna partia, z którą mógłbym się związać, to LPR – mówi Koziółek.

Lecz musiałby się zdarzyć cud, by LPR zaprosiła go na swoje listy. Bo przecież trzech radnych Ligi głosowało za jego odwołaniem.

– Nie będę w to ingerował – mówi Koziółek. – Nie mam zamiaru robić cudów na zamówienie. Cud zgodnie z regułą teologiczną musi być wpisany w logikę zdarzeń.

CEZARY ŁAZAREWICZ

Podyskutuj o tym na **onet.pl**



Jak sie nie psewróćis, to sie nie naucys

– pocieszają początkujących narciarzy górale. To samo mogliby powiedzieć poobijanym amatorom giełdy

Ludzie szaleją. Na rynek papierów wartościowych płyną miliony. Jedni pożyczają tysiące na zakup akcji w nadziei na szybki zysk. Kupują papiery małych spółek, by potem szybko je sprzedać. Jednym słowem, spekulują.

Inni zwabieni możliwościami niebotycznych giełdowych zarobków niosą wszystko, co mają, do akcyjnych funduszy inwestycyjnych. Nie ma się co dziwić, jeśli słyszą, że tylko w ostatnim roku z jednej złotówki zainwestowanej w spółkę Gant można było wyjąć 25 złotych, co oznacza roczny zysk dwa i pół tysiąca procent! Nieważne, że od początku roku spółka straciła ponad połowę z tego zysku. Liczy się fakt wcześniejszej zwyczajki. I wyobraźnia pracuje: a dlaczego to ja nie miałbym na tym zarobić? Jeśli nie mam pojęcia o giełdzie, niosę pieniądze do funduszu. W ten sposób w ostatnim roku niemal podwoiła się kwota odana w zarządzanie wyspecjalizowanym firmom (asset management) i ulokowana w funduszach inwestycyjnych, osiągając wartość 100 miliardów złotych. I z miesiąca na miesiąc rosnąc o kilka procent. Napór na giełdę i fundusze trwa.

Tak jest zawsze. Na każdym szczycie hossy. Tak było w roku 1994, kiedy kończył się pierwszy cykl horrendalnych zwyczajek. Tak było sześć lat później, w roku 2000, na szczycie hossy wywołanej zwyczajkami spółek wysokich technologii. Tak jest także teraz. Znowu dokładnie po sześciu latach – w lutym. Już dwukrotnie szczyty i koniec hossy przypadły właśnie na koniec lutego. Wszystko wskazuje na to, że także teraz szczyt przypadnie na luty. Bo rynki poruszają się w określonych cyklach. Bessy i hossy. Najczęściej cykle te powtarzają się w podobnych odstępach. Od skrajnego niedowartościowania, kiedy akcje są tanie jak barszcz, do skrajnego przewartościowania, kiedy papiery są bardzo, bardzo drogie. Obie te sytuacje są irracjonalne. Skrajne niedowartościowanie nie ma uzasadnienia ani w złych wynikach gospodarki, ani spółek. Pojawia się po panice, w którą wpadają umęczeni długotrwałymi spadkami inwestorzy. Nerwy puszczają i uczestnicy rynku wyzbywają się papierów, by ratować resztki kapitału. To niechybny znak, że bessy się kończą.

A wypoczęci, doświadczeni inwestorzy, którzy pozostawali w harmonii z cyklem hossy i bessy i pozbyli się papierów na szczycie, teraz przejmują akcje od spanikowanych. Oni płacą cenę za brak doświadczenia i poddawanie się emocjom. Tymczasem

trend się odwraca. I trwa dopóty, dopóki nie pojawi się na giełdzie tłum, który uwierzy w jego trwałość. Dochodzi do skrajnego przewartościowania, które wcale nie świadczy ani o nadzwyczajnej koniunkturze w gospodarce, ani o nadzwyczajnych wynikach spółek.

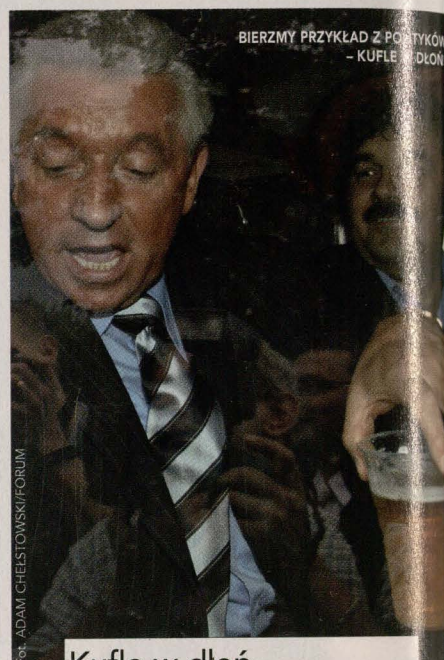
Jest raczej konsekwencją chciwości i owczego pędu ludzi, którzy w pewnym momencie przestają liczyć się z jakimkolwiek ryzykiem. Pojawia się euforia. Tłum kupuje wszystko, jak leci. Odpręża się i czeka na zyski. Od niego nie ma już jednak kto kupić, bo stare giełdowe rekiny dawno są już poza rynkiem i leżą gdzieś pod palmami. Zaczyna się odwrót. Bessa. Nowicjusze cierpią. Patrzą, jak ich akcje tanieją, ale nie chcą sprzedawać. Czekają na zwyczajkę, aby osiągnąć chociaż cenę zakupu. Tymczasem akcje tanieją, tanieją, aż pojawi się panika. Wtedy pozbędą się swoich papierów. Jedni poturbowani odejdą z giełdy na zawsze. Inni z sińcami, pomni doświadczeń wrócą z wiedzą, że zostali ograni, i będą próbować ogrywać innych. Nowicjuszy.

Bo jak sie nie psewróćis, to sie nie naucys – pocieszają górale z Zakopanego początkujących narciarzy zrażonych pierwszymi upadkami i stłuczeniami tylnej części ciała. I nie ma możliwości, aby to kto inny przejął od potencjalnego narciarza jego stłuczenia i kontuzje. Zanim dojdzie do perfekcji, musi się poobijać, czasem bardzo boleśnie. Tak samo jest na rynkach finansowych. Inwestycyjne żółtodzioby zawsze albo prawie zawsze dostają w kość. Przechodzą katorgę psychiczną, która wywołuje fizyczne cierpienie. Nie potrafią pojąć, jak to się dzieje, że tracą pieniądze, skoro wszyscy dookoła mówili i nawet w gazetach pisali, że na giełdzie jest hossa i powinni zarabiać.

I zawsze jest tak samo. Ludzie na rynkach finansowych nie chcą uczyć się na cudzych błędach. Przemocna chęć zysku wyzwala iluzję, że tym razem będzie inaczej. Ale nie będzie inaczej. Będzie tak samo. Bo tu nie rządzi rozum. Tu rządzi psychologia. Wygrać mogą jedynie ci, którzy to wiedzą i potrafili pokonać samych siebie. Swoją chciwość, która odbiera rozum. Oni wiedzą, że zwyczajki robią to, czego nie robią przegrani. Kupują, kiedy wszyscy sprzedają. Sprzedają, kiedy wszyscy kupują. Nie na odwrót.

TADEUSZ A. MOSZ

AUTOR MAGAZYNU EKONOMICZNEGO
„PLUS MINUS” W TVP1



Fot. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Kufle w dłoń

Jeszcze sporo nam brakuje do piwoszy niemieckich i czeskich. Tamci pochłaniają rocznie tyle piwa, że daje to ponad 100 litrów na obywatela kraju. U nas to dopiero 80 litrów na głowę. A to już średni wynik europejski, który jeszcze niedawno wydawał się mało realny. Na razie pod względem spożycia zajmujemy 10. pozycję na świecie i piątą w Europie. Ale browary, które są jednymi z najnowocześniejszych na naszym kontynencie, mają sporo wolnych mocy produkcyjnych, toteż liczą, że nasi dzielni piwosze nie ustaną i rychło dogonią rekordzistów. Już dziś nie byle jakie zyski ze sprzedaży piwa osiąga państwo. Według szacunków w ostatnim roku tylko z tytułu akcyzy do budżetu wpłynęło 2,5 mld zł. Gdy doliczy się do tego VAT, CIT i podatki lokalne, to w sumie browary zasilily fiskusa kwotą około 6 mld zł. No, proszę. Im więcej wypijemy piwa, tym pewniejsze pieniądze na becikowe, senioralne, rodzinne, alimenty dla dzieci osób bezrobotnych. I wpływy rekompensujące ewentualne obniżki podatków dla przedsiębiorców i podwyżki progów, od których płaci się podatek, co zgłosiła Samoobrona. A zatem: Obywatele, kufle w dłoń!

BIERZMY PRZYKŁAD Z POLITYKÓW – KUFLE W DŁOŃ

Warszawa awansuje

Nie wiadomo, czy to dobrze, czy źle? Rok temu w rankingu 130 najdroższych miast świata opracowanym przez „The Economist Intelligence Unit” Warszawa zajmowała 78. pozycję. W najnowszym rankingu awansowaliśmy na 63. pozycję, a to znaczy, że zagraniczni menedżerowie, dla których przygotowuje się ranking, pracując w Warszawie, powinni otrzymywać więcej na najem mieszkań, transport, łączność telefoniczną, rekreację i rozrywkę. Po raz pierwszy od 14 lat najdroższym miastem świata nie jest już Tokio, lecz Oslo. Chociaż punktem odniesienia są ceny w Nowym Jorku, to nie miasta amerykańskie stanowią czołówkę drożyny. Bo w pierwszej trzydziestce najdroższych miast świata większość to miasta europejskie. Mało tego, aż osiem z pierwszej dziesiątki to także miasta europejskie. Spośród państw postkomunistycznych rekordy drożyny bije Moskwa, która zajmuje 29. pozycję. Z drugiej strony jest Belgrad, który jest relatywnie miastem tanim – 107. miejsce. A kto chce, aby w stolicy było tanio jak barszcz, czyli najtaniej, powinien pojechać sobie do Teheranu.



WARSAWA. GDZIEŚ MIĘDZY OSŁO A TEHERANEM

Fot. JACEK WALCZAK/REPORTER

Drogi Duńczyk

Duńczyk jest najdroższym pracownikiem w UE. Za godzinę pracy dostaje przeciętnie 19,76 euro, czyli 6,2 razy więcej od Polaka, otrzymującego za taką samą pracę 3,18 euro. Ale żeby nie było nam aż tak przykro, trzeba powiedzieć, że Duńczyk ma aż 13 razy więcej od Łotysza, który zarabia przeciętnie 1,52 euro na godzinę. Średnia stawka godzinowa w całej UE wynosi według Eurostatu 12,56 euro. A płacowa przepaść nie przebiega tylko według podziału na stare i nowe państwa UE. Także pomiędzy krajami starej Unii różnice są ogromne. O ile Szwed, Niemiec, Luksemburczyk, Irlandczyk i Brytyjczyk

mogą liczyć na płace od 15 do 18 euro na godzinę, to już Portugalczyk, Grek czy Hiszpan od nieco ponad 5 do ponad 8 euro. Widać po tym, że są bariery, których nie przeskoczmy z dnia na dzień, czyli poziom rozwoju, i musimy odczekać swoje w kolejce po lepsze płace. Tak czekają jeszcze kraje Południa, które także nie są najstarszymi i najlepiej rozwiniętymi krajami Wspólnoty.



Fot. JACEK WALCZAK/REPORTER

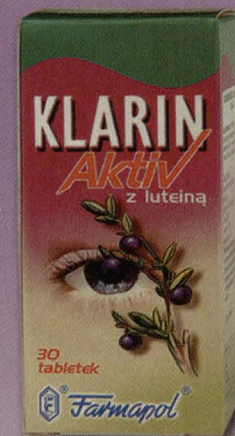
Szczęścia nie będzie

Miała być rewolucja w budownictwie mieszkaniowym, ale jak na razie na nią się nie zanoszą. Propozycja, by połowę odsetek od kredytu na pierwsze mieszkanie dla rodziny przez osiem lat spłacał Skarb Państwa, może zachęcić kredytobiorców do większego zainteresowania kredytami w złotych, a nie frankach szwajcarskich. Ale niekoniecznie. Bo gdyby pożyczył dziś na 25 lat 150 tys. zł w CHF i taką samą kwotę w PLN i skorzystać z proponowanych ulg odsetkowych, to i tak we frankach spłaciłbyśmy o prawie 33 tys. zł mniej niż w złotych. Zatem dla potrzebujących mieszkań istotniejsze od samych ulg jest chyba sprawić, by setki tysięcy, a może i miliony ludzi odzyskały w ogóle jakąkolwiek zdolność kredytową. Nie mają jej, bo albo muszą pracować na czarno, gdy pracodawcy nie chcą ponosić zbyt wysokich kosztów zatrudnienia, albo zatrudnieni są na umowy zlecenia czy w niepełnym wymiarze i część wynagrodzenia dostają oficjalnie, część pod stołem. Nie wystarczy jednak wyzwoić tylko popyt na mieszkania. Z popytem musi spotkać się coraz więcej nowych mieszkań. A ich nie będzie szybko przybywać bez ułatwień w pozyskiwaniu gruntów i załatwianiu wszelkich formalności związanych z budową domów i osiedli. Jeśli tego nie rozwiążemy, sytuacja w budownictwie mieszkaniowym przypominać będzie po trosze socjalistyczne polowanie na papier toaletowy, z którego brakami państwo nigdy sobie nie poradziło. Poradził sobie dopiero rynek. Dziś jest go do wyboru, do koloru. I to w najróżniejszych cenach.

Farmapol
www.farmapol.pl
NOWY BOGATSZY SKŁAD

zadbaj o swoje oczy

KLARIN
Aktiv
z luteiną

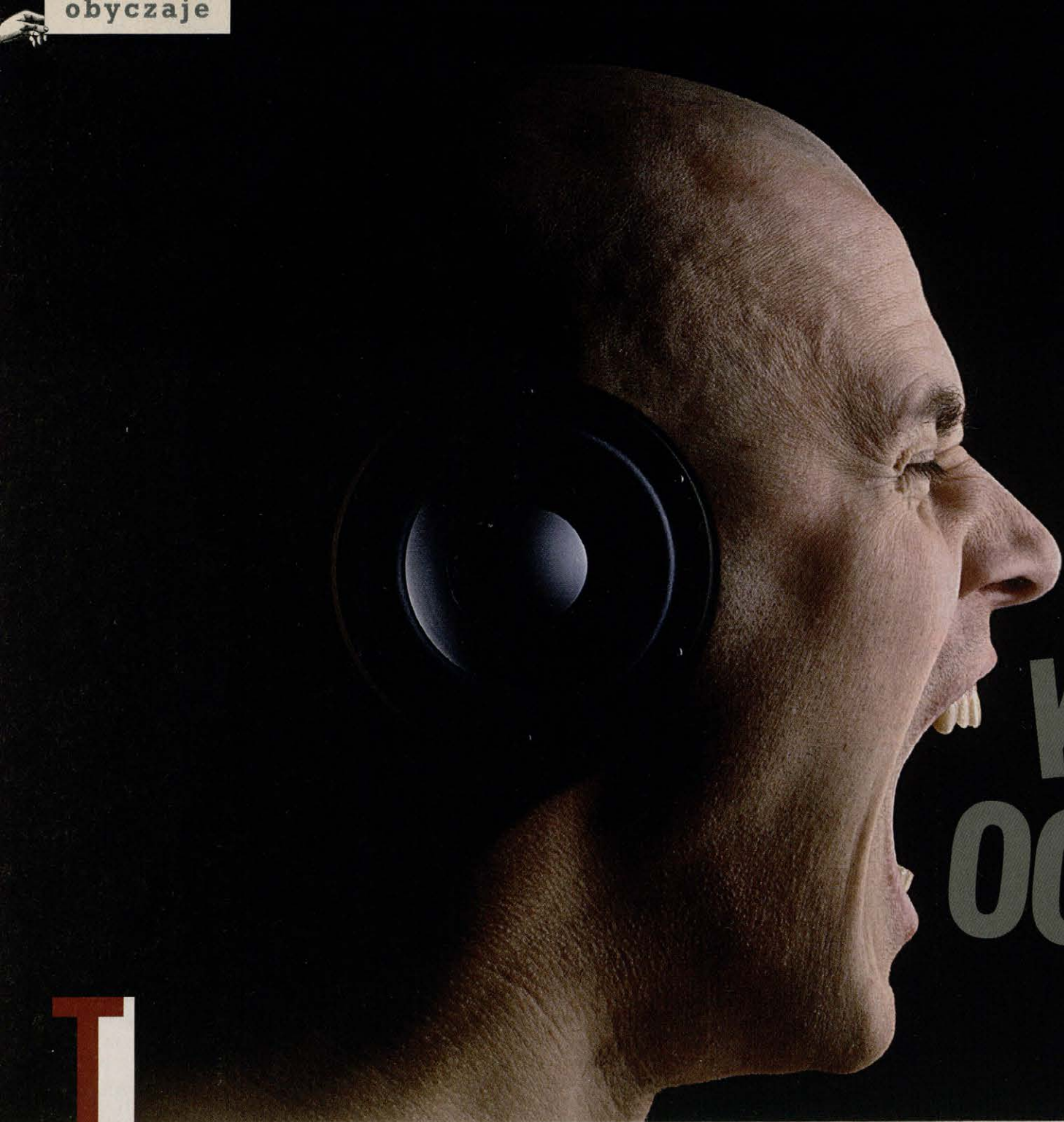


TABLETKI dla osób:

- pracujących przy komputerze, oglądających TV
- prowadzących wiele godzin samochód (zwłaszcza nocą)
- z zaburzeniami widzenia o zmierzchu
- pomocniczo w schorzeniach wzroku

NATURALNY SUPLEMENT DIETY

Skład: sproszkowany owoc borówki czernicy, ekstrakt z owoców borówki czernicy (25% antocyjanów), witamina E, beta-karoten, luteina.



To było na jednym z koncertów w warszawskim klubie Fugazi w połowie lat 90. Występował zespół, którego nazwy dziś nikt nie pamięta, ale grał tak głośno, że mogło to zaszkodzić na zawsze. Na sali zostało kilkanaście osób. Czyli – w nomenklaturze rockowej – sami najtwardsi. Po wyjściu z sali dzwoniło mi w uszach. Następnego ranka też. Dzwoniło również po południu i, niestety, również kolejnego dnia. Potem wreszcie przestało.

Gdyby szum lub dzwonięcie nie ustąpiły w ciągu 48 godzin, powinienem iść z tym do lekarza. Mogłoby to oznaczać trwałe uszkodzenie słuchu. Pocięszające jest to, że Moby też na to

cierpiał, gdy wrócił z punkrockowego koncertu – tyle że on od tej pory zawsze ma przy sobie zatyczki. Chris Martin z grupy Coldplay też się zabezpiecza. I James Hetfield z Metaliki. Muzycy wkraczają do akcji i chcą chronić pokolenie od-twarzaczy mp3.

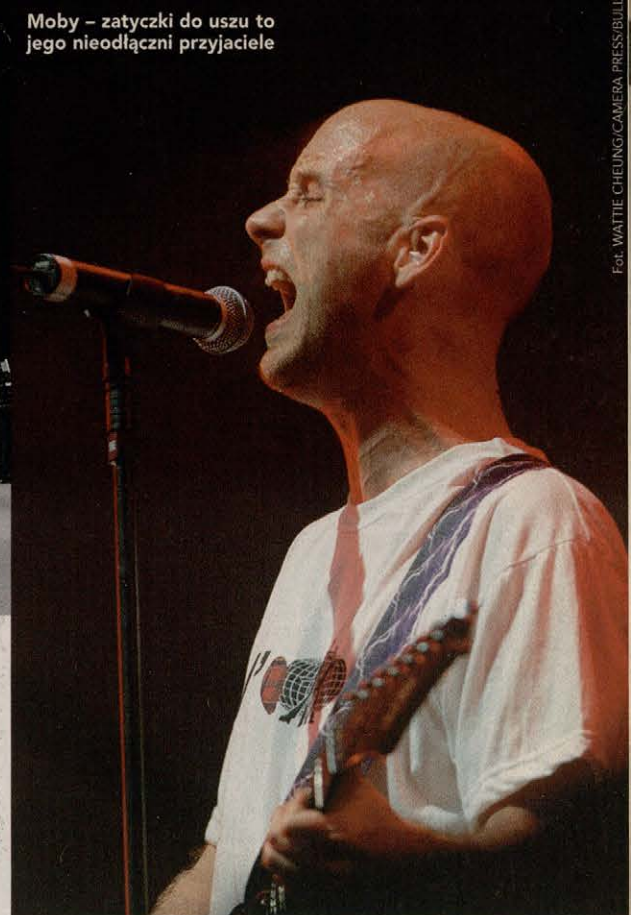
Triumfalny powrót rockowej grupy The Who to jedno z kulturalnych wydarzeń 2006 roku. Ale problemy ich 57-letniego gitarzysty Pete'a Townshenda ze słuchem to już regularny temat doniesień prasowych ostatnich tygodni. Otóż legendarny gitarzysta, niegdyś regularnie rozwalający swój instrument w finale koncertu, przyznaje dziś, że przyczynił się do popularności

gatunku, który doprowadził wiele osób do głuchoty. – Dzwoni mi w uszach – mówi muzyk, który w czasie nagrywania nowej płyty musiał robić sobie 36-godzinne przerwy na regenerację słuchu. – To głośne dzwonięcie. Winne są przede wszystkim słuchawki, których używałem w studiu nagraniowym.

Czy szum i dzwonięcie w uszach (opisywane przez medycynę terminem *tinnitus*) stały się już chorobą cywilizacyjną ludzi słuchających muzyki i chodzących do kina? I czy wzrost cywilizacyjnego hałasu jest tak nieodwracalny jak sama utrata słuchu? Specjaliści tym razem nie tyle biją, ile raczej szepczą na alarm.



The Who na scenie. Pete Townshend (z prawej) niszczy instrument. Ten zespół wytwarzał na żywo 120 dB hałasu. Natężenie dźwięku mierzy się nie w skali linearnej, ale logarytmicznej, koncert jest więc nie dwa razy, lecz milion razy głośniejszy od zwykłej rozmowy (60 dB)



Moby – zatyczki do uszu to jego nieodłączni przyjaciele

KULTURA OGŁUSZA

**Muzycy przyznają,
że doprowadzają
do uszkodzeń
słuchu u ludzi.**

**A lekarze ostrzegają,
że w pokoleniu mp3
aparat słuchowy może
stać się tak
powszechny
jak okulary**

BARTEK CHACIŃSKI



TO JEST HAŁAS

30 lat temu The Who zapisali się w Księdze rekordów Guinnessa jako najgłośniejsza grupa rockowa, kiedy zmierzono poziom hałasu na ich koncercie. Od tamtej pory wielu wykonawców z całą pewnością grało głośniejsze, ale pomiar natężenia hałasu na takich imprezach to niecodzienna praktyka. Za zwyczajowe natężenie dźwięku na koncercie przyjmuje się wartość The Who – 120 decybeli. I ostrzega się na biletach przed możliwym uszkodzeniem słuchu, bo bezpiecznie możemy obcować z takim dźwiękiem przez godzinę (jeśli mamy w uszach zatyczki) albo dwie minuty (bez zabezpieczeń).

W latach 70. wszystko jednak wyglądało nieco inaczej. Do legendy przeszedł Keith Moon, niesforny perkusista tej samej grupy The Who. Siedział pewnego dnia w hallu amerykańskiego hotelu i słuchał przenośnego magnetofonu kasetowego rozkręconego na cały regulator. Leciła muzyka The Who. Po pewnym czasie, gdy ludzie z hallu się rozeszli, a magnetofon wciąż grał równie głośno, obsługa poprosiła Keitha, żeby trochę przykręcił ten hałas, ale on ani myślał. W końcu menedżer hotelu zagroził, że jeśli hałas się nie skończy, sprowadzi policję. Wtedy Moon wstał i zapytał, czy tamten odprowadzi go do pokoju. Pojechali na dziewiąte piętro. Moon przeprosił na chwilę, zniknął za drzwiami, po czym z pokoju rozległ się dźwięk wybuchu (perkusista The Who woził materiały wybuchowe, które wykorzystywał w czasie koncertów). Po czym w kłębach dymu Moon wyszedł, mówiąc: – To jest hałas, mój drogi. A tamto to była muzyka.

Z punktu widzenia lat 70. Keith Moon, dziś już nieżyjący symbol rockandrollowego trybu życia,

może i miał rację. Z punktu widzenia XXI wieku był osobą skrajnie nieodpowiedzialną. To między innymi on doprowadził do głuchoty Townshenda, wysadzając w powietrze (!) w czasie koncertu swój zestaw perkusyjny tuż nad uchem kolegi.

PILNIE STRZEŻONA TAJEMNICA

„To jeden z najpilniej „skrywanych brudnych sekretów przemysłu muzycznego” – napisał „Rolling Stone” o chorobach słuchu. Bo dlaczego George Martin, słynny producent zwany „piątym Beatlesem”, zakończył karierę muzyczną? W wyniku utraty słuchu. Dlaczego wokalista i perkusista Phil Collins nie gra regularnie koncertów? Bo mogłoby to tylko pogorszyć jego stan, odkąd zaczął głuchnąć na lewe ucho. Uszkodzenia słuchu mają bowiem to do siebie, że są nieodwracalne. Problemy ze słuchem mają też Neil Young, Paul McCartney i Sting, u nas przyznał się do nich Maciej Miecznikowski z grupy Leszcze. Rzecz dotyczy zresztą nie tylko muzyki rozrywkowej – na *tinnitus* cierpiał Beethoven, a co trzeci muzyk grający w orkiestrach symfonicznych ma poważne kłopoty.

Zmieniło się jednak podejście do problemu. – Używam takich samych zatyczek jak Radiohead. Uszy mam w porządku, gorzej z wątroba – chwali się Jon Harper z rockowej grupy Cooper Temple Clause. Jest jednym z uczestników akcji, którą w ubiegłym roku rozpoczęto w Wielkiej Brytanii. Popierają ją także didżeje i inne gwiazdy rocka – w tym wspomniani Moby i Phil Collins. Solidaryzują się z nimi radiowcy – kolejna grupa wysokiego ryzyka. Rzecz odbywa się pod auspicjami tamtejszego Royal National Institute for Deaf People (RNID). Hasło akcji? „Don't Lose The Music”, czyli „Nie utrac muzyki”.



**Wywołana hałasem
utrata słuchu narasta
tak powoli i jest
tak zdradliwa,
że gdy można ją
zauważyć, jest za późno
– mówią audiolodzy.
Ich zdaniem hałas
naszego otoczenia
podwaja się co 10 lat**

Z kolei w USA do muzyków i słuchaczy apeluje organizacja HEAR (Hearing Education and Awareness for Musicians), którą Pete Townshend wsparł ostatnio datkiem 10 tysięcy dolarów. Pierwotny cel HEAR to pomoc osobom najbardziej dotkniętym uszkodzeniami słuchu, czyli muzykom i fanom hałaśliwej muzyki rockowej, którzy w wieku dojrzałym okazują się inwalidami. Cztery lata temu organizatorzy koncertu Oasis w Niemczech musieli wypłacić odszkodowania kilku fanom, którzy wyładowali w szpitalu z bólem uszu, ale takie sytuacje zdarzają się rzadko. Dlaczego? – Wywołana hałasem utrata słuchu pogłębia się tak powoli i jest tak zdradliwa, że gdy możemy ją zauważyć, z reguły jest już za późno – mówi „Rolling Stone” audiolog Brian Fligor.

Ale może być jeszcze gorzej. Kanadyjscy specjaliści z Musicians’ Clinic of Canada obliczają natomiast, że w ciągu ostatnich 20 lat co dekadę podwajał się hałas w naszym otoczeniu. A wszyscy, łącznie z polskimi specjalistami, zgodnie przewidują, że w czasach przenośnych odtwarzaczy mp3 problem może się tylko wzmacniać.

PONAD POZIOM DŹWIĘKU

W Stanach Zjednoczonych mamy już pierwszy proces. Mieszkaniec Kalifornii pozwał firmę Apple, producenta iPoda – oskarża ją o brak stosownych ogłoszeń mówiących o szkodliwości jej urządzenia dla słuchu. Według pozwu iPod może wytwarzać hałas o natężeniu nawet 115 decybeli, a codzienny kontakt z takim natężeniem dźwięku może doprowadzić do utraty słuchu.

W rzeczywistości 42 miliony iPodów sprzedane na całym świecie podlegają oczywiście pewnym regulacjom technicznym. iPod w wersji europejskiej ma ogranicznik poziomu emitowanego dźwięku na poziomie 100 decybeli (co odpowiada

da hałasowi młota pneumatycznego z odległości pięciu metrów). Model amerykański jest bardziej liberalny – ma blokadę na 104,5 decybeli. Bez większych kłopotów znajdziemy jednak w Internecie program GoPod, który pozwoli nam z europejskiego iPoda zrobić amerykańskiego. – Czuję się tym bardzo zaniepokojony – mówi Brian Lamb z RNID. – Jeśli fakt łamania tych limitów się potwierdzi, problem stanie się powszechny.

Tyle że fakt już się potwierdził – w sieci można też bez trudu znaleźć wskazówki, jak zdjąć ograniczniki głośności w przenośnych odtwarzaczach innych producentów. A nawet jeśli nie potrafimy złamać naszego, można przecież sobie dorobić lub dokupić wzmacniacz słuchawkowy.

Jak stwierdzić, że już jest za głośno? – Jest na to prosta metoda – mówi Susan Duncan z RNID. – Jeśli słuchamy muzyki na słuchawkach i nie jesteśmy w stanie zrozumieć tego, co mówi

do nas ktoś obok normalnym tonem, to znaczy, że już przesadziliśmy z głośnością.

DIDŻEJE – GRUPA ZAGROŻENIA

W Europie poziom hałasu, przy którym pracodawcy są zobowiązani zadbać o odpowiednie zabezpieczenie pracowników, wynosi 90 decybeli. W klubach i dyskotekach, gdzie także pracują ludzie, hałas osiąga 110 decybeli. Oprócz operatora młota pneumatycznego specjalne ochraniacze powinni więc nosić bramkarze, kelnerzy i barmani. Nie mówiąc już o didżejach – oni nie tylko przebywają w hałasie, ale dodatkowo, aby słyszeć, co grają, potrzebują odsluchu (jeden lub dwa głośniki pozwalające usłyszeć utwór, który leci w danej chwili na sali) oraz dobrych słuchawek, żeby słyszeć utwór, który mają zamiar puścić.

Zagraniczni didżeje, jak Gilles Peterson, LTJ Bukem czy John Digweed, a od kilku lat także polscy używają technologicznie zaawansowanych zatyczek dla profesjonalnych muzyków. Robione są na zamówienie na podstawie dokładnego odlewu kanału usznego, dokładnie tak jak wewnętrzne aparaty słuchowe. W środku mają filtr, który – według życzenia – obniża natężenie dochodzących do ucha dźwięków o 9, 15 lub 25 decybeli. Norbert Borzym (DJ Bert) od ponad dwóch lat nieprzerwanie korzysta z profesjonalnych zatyczek dla muzyków ER15 zrobionych w Londynie. Według niego rozkręcanie do maksimum głośności odsluchu, słuchawek i głośników, a tym samym potęgowanie obecności najwyższych i najbardziej szkodliwych dla ucha dźwięków, jest problemem wśród młodych, niedoświadczonych didżejów, którzy tym samym szkodzą sobie i publiczności. Z zatyczkami polskiej produkcji gra także DJ Adamus, który za główny mankament



Ten nowy projekt aparatu słuchowego przygotowany dla RNID może się przydać. W końcu słuch mamy już tak zepsuty jak wzrok



JAK CHRONIĆ SŁUCH?

★ Robić sobie przerwy w słuchaniu. Dotyczy to zarówno słuchawek, jak i przebywania w klubie lub na koncercie. Żeby po kilku godzinach spędzonych w dużym hałasie słuch odpoczął, trzeba kilkunastu godzin.

★ Obniżyć głośność, nawet odrobinę – bo nawet kilka decybeli może mieć znaczenie dla słuchu.

★ Unikać prób zagłuszenia za pomocą słuchawek hałasu otoczenia. Zwykły ruch uliczny to 80 decybeli, a otaczające nas dźwięki w metrze mogą mieć natężenie nawet do 95 decybeli – nie sposób zagłuszyć ich bez uszczerbku dla własnego słuchu. Można też kupić droższe słuchawki izolujące nas akustycznie od otoczenia albo specjalne nakładki na słuchawki (jak na zdjęciu powyżej).

★ Używać zatyczek do uszu. Te zwykle, dostępne w aptekach od ręki, zmniejszą obciążenie naszych uszu o 15–20 decybeli. Te droższe, przygotowywane na specjalne zamówienie, sprawiają, że będziemy mogli słuchać muzyki na koncercie bezpiecznie i bez strat estetycznych.

★ Obserwować oznaki przeciążenia hałasem – takie jak obniżenie progu słyszalności lub dzwonienie w uszach – i na nie reagować.

★ Rzucić palenie, bo przez wpływ na układ krwionośny utrudnia odpoczynek po obcowaniu ze zbyt głośną muzyką, dwukrotnie zwiększając ryzyko uszkodzeń słuchu.

(według www.rnid.co.uk, www.dontlosethemusic.com, „Rolling Stone”)

klubów również uważa brak dbałości o profesjonalne nagłośnienie. Maciek Kasprzyk (DJ Lexus) miał problemy ze słuchem w wyniku wirusowej infekcji. Dziś po imprezach czasem słyszy szum i dzwonienie, ale bardziej niż kiedyś kontroluje głośność muzyki w słuchawkach i odsluchu oraz regulowanie stosuje specjalne świeceki do uszu (świecowanie uszu doraźnie przywraca utraconą wrażliwość słuchu).



Takie specjalnie dopasowywane zatyczki nadają się w równej mierze dla pilotów i dla zawodowych muzyków

Problem utraty słuchu wśród didżejów pojawił się w brytyjskim filmie „It’s All Gone Pete Tong”. Główny bohater DJ Frankie Wilde, gwiazda największych imprez na Ibiza, po latach przebywania w hałasie traci słuch. Film – jak większość bajek – ma szczęśliwe zakończenie, ale w rzeczywistości dla wielu osób z uszkodzonym słuchem przygoda z hałasem dobrze się nie skończy.

GUSTOWNY APARAT SŁUCHOWY

Badania brytyjskiego RNID przeprowadzone na grupie ludzi w wieku 16–34 lat wykazują, że kłopoty ze słuchem deklaruje 62 procent osób regularnie chodzących do klubów (ci są wystawieni na hałas na poziomie 100–110 decybeli) i 72 procent uczestników koncertów. Inne badanie pokazało, że w ciągu ostatnich 10 lat w Norwegii odsetek 18-latków, którzy mają problemy ze słuchem, wzrósł z 15 do 35 procent.

Z praktyki profesora Henryka Skarżyńskiego z Międzynarodowego Centrum Leczenia Słuchu i Mowy w Kajetanach pod Warszawą wynika, że gdy współczesna młodzież osiągnie wiek około 40 lat, będzie miała słuch dzisiejszych 60-latków, a wśród tych ostatnich co druga osoba ma jakieś dolegliwości związane z narządem słuchu. – Obecnie prowadzimy badania dotyczące zmęczenia słuchowego u młodzieży słuchającej muzyki – informuje profesor Skarżyński. – Dokładne dane będą znane za trzy miesiące i zostaną przedstawione na międzynarodowej konferencji.

Brytyjczycy w ramach swojej akcji rozdają masowo zatyczki do uszu na letnich festiwalach. – Rozdaliśmy 120 tysięcy takich zatyczek na imprezach muzycznych – mówi „Przekroju” Susan Duncan z RNID. Kampania „Don’t Lose The Music” trwa już trzeci rok, ale jej skuteczność mogą potwierdzić badania dopiero za 10–15 lat.

RNID promuje też modę na aparaty słuchowe, twierdząc, że dobrze zaprojektowane nie powinny się wydawać niczym gorszym od okularów. Ba, mogą wyglądać tak gustownie jak słuchawki do iPoda lub inny sprzęt do słuchania muzyki. – To modele wzorcowe – mówi Susan Duncan.



– Chcemy przekonać producentów, żeby trochę zmienili swoje podejście estetyczne do takich urządzeń, by uczynili je piękniejszymi. Wtedy dopiero może przyjść zainteresowanie klientów.

MUZYKA TO NIE WSZYSTKO

Problemów przysparza również telewizja – poszczególne kanały nie są nadawane z jednakową głośnością, więc przy przechodzeniu z kanału na kanał nasz słuch jest atakowany. Głośniejsze wydają się także reklamy, choć to już kwestia subiektywnego odczucia słuchacza – dźwięk w spotach reklamowych przygotowany jest nieco inaczej, poddany mocniejszej kompresji, przez co reklamy wydają się głośniejsze.

Widzowie w salach kinowych też nie mogą się czuć bezpieczni. Ścisłych norm dotyczących natężenia dźwięku nie ma, a zapytana o nie firma zajmująca się wyposażaniem kin w aparaturę audio odpowiedziała, że owszem, stosuje się do norm – ale tych pochodzących z laboratorium Dolby w Stanach Zjednoczonych.

Profesor Henryk Skarżyński uważa, że głośnie reklamy w kinie to jeden z pierwszych sygnałów, że zmiany są konieczne. – Te reklamy grożą osobom wrażliwym nawet nagłą utratą słuchu – twierdzi profesor, podkreślając jednocześnie, że tu podzielać może edukacja, a nie ograniczenia nakładane na wytwórców sprzętu audio. – Należy wykorzystać media, by uświadomiły, jakie są problemy ze słuchem, jak negatywną rzeczą jest hałas – i ten uliczny, i ten, który sami sobie fundujemy – mówi profesor Skarżyński.

A sami możemy sobie zafundować kino domowe, które podobnie jak zestaw hi-fi może wytworzyć dźwięk o natężeniu ponad 130 decybeli (ekwiwalent dźwięku uderzenia pioruna!). Instalowanie w samochodach potężnych systemów audio jest jeszcze bardziej niebezpieczne – obliczono, że napędza je moc, jaką jeszcze niedawno wykorzystywali The Rolling Stones, żeby nagłośnić cały koncert.

Kultura ogłusza, choć zarazem jako antidotum na hałas otoczenia, z którym stykamy się w ciągu dnia, lekarze polecają słuchanie muzyki relaksacyjnej. Kultura z jednej strony rodzi hałas, ale też udowadnia, że prawdziwa cisza nie istnieje – jak John Cage w słynnym utworze „4’33””. Teraz ta sama kultura, która doprowadziła wiele osób do głuchoty – w osobie Pete’a Townshenda z The Who – ma szansę stać się symbolem walki o ciszę.

BARTEK CHACIŃSKI
WSPÓŁPRACA JOANNA OZDOBIŃSKA

sluchaj audycji **PRZEKROJOWA SPRAWA**

ANTY RADIO

94 FM Warszawa, 106.4 FM Katowice

W czwartek **16 lutego** o godzinie **21.00**
Tomek Kin zaprasza na program pod tytułem
„KULTURA OGŁUSZA”

ELEKTRYCZNY NISZCZYCIEL

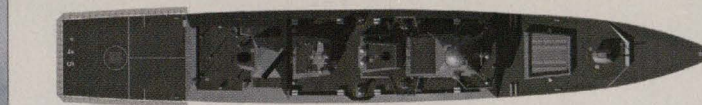


ŁADOWISKO

Pokład śmigłowcowy niszczyciela przygotowano dla helikopterów przenoszących torpedy zwalczające okręty podwodne. Jest jednak tak duży, że może na nim lądować nawet 22-tonowy, dwuwirnikowy śmigłowiec transportowy Chinook.



Zastanawiałeś się kiedyś, jak będzie wyglądała broń przyszłości? Właśnie tak – oto zwodowany 1 lutego niszczyciel, który ma służyć brytyjskiej marynarce przez następnych 50 lat. Jest tani, inteligentny i uzbrojony jak żaden inny okręt wojenny



Niszczyciele klasy Type 45 zostały zaprojektowane przede wszystkim do obrony jednostek sojuszniczych przed atakami z powietrza.



Uzbrojenie okrętu i systemy sterowania ogniem pozwalają na śledzenie i atakowanie 32 samolotów i helikopterów w ciągu minuty. Okręt może zniszczyć obiekt wielkości piłki golfowej poruszający się z trzykrotną prędkością dźwięku i znajdujący się w odległości ponad 300 kilometrów.

WŁAŚCIWOŚCI TECHNICZNE:

Wyporność: 7350 ton
Długość: 153,2 metra
Prędkość maksymalna: ponad 27 węzłów
Zasięg: 13 000 kilometrów
(odległość Londyn–Nowy Jork–Londyn)
Ciepłota: 190 osób



DZIAŁO ŚREDNIEGO KALIBRU
Sterowane automatycznie działo służy do zwalczania dużych celów nawodnych oraz ostrzeliwania lądu. Może też być stosowane do odpierania ataków lotniczych. Jego kaliber to 4,5 cala (114 milimetrów).

DZIAŁO MAŁOKALIBROWE

Automatyczne działo o kalibrze 30 mm sterowane jest przez komputerowy system kierowania ogniem i służy do zwalczania niewielkich, bliskich celów: łodzi, kanonierek, pontonów czy śmigłowców.

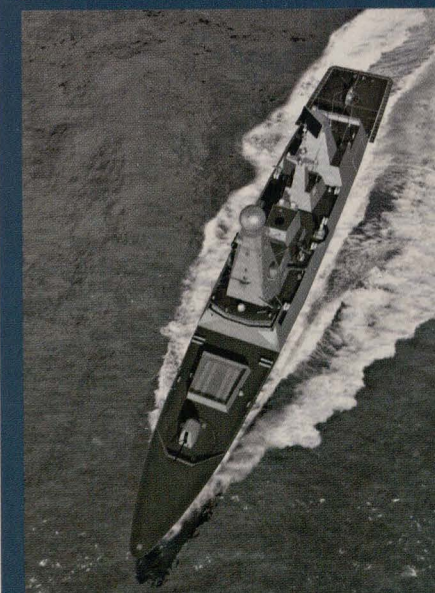
1. Pokład śmigłowcowy
2. Radar nawigacyjny
3. Radar bojowy sprzężony z systemem identyfikacji „swój-obcy”
4. Maszt z urządzeniami łączności radiowej i satelitarnej
5. System powietrznych celów pozornych DLH
6. 30-milimetrowe automatyczne działo małokalibrowe
7. Radar wielofunkcyjny SAMPSON
8. System kierowania ogniem
9. System morskich celów pozornych DLF
10. Wyrzutnia Sylver mieszcząca 48 pocisków Aster krótkiego i dalekiego zasięgu
11. Główne działo okrętowe średniego kalibru
12. Sonar MFS-7000 umieszczony pod kilem

BAE SYSTEMS

Nowoczesny okręt wojenny ma być szybki, skuteczny, niewykrywalny, a przy tym wszystkim tani. Konstruktorzy nowej klasy okrętów Type 45, które do służby wejdą w 2009 roku, zdecydowali się na nietypowe rozwiązanie – w pełni elektryczny napęd. Taki system bardzo upraszcza konstrukcję okrętu – znikają ogromne sprzęgła i przekładnie, które zajmowały mnóstwo miejsca i najczęściej się psuły. Cichszy mechanizm, który emituje mniej ciepła, sprawia, że jednostkę znacznie trudniej wykryć z powietrza i wody.

Była Type 45 została zaprojektowana tak, aby zminimalizować możliwość zlokalizowania okrętu przez wroga. Większość wyposażenia znajdującego się na pokładzie osłonięto elementami ustawionymi tak, by nie tworzyły kątów prostych i rozpraszaly promienie radaru. Type 45 wyposażono też w urządzenia „ogłupiające” pociski i samoloty wroga oraz utrudniające trafienie przez torpedę.

Głównym zadaniem nowych niszczycieli Type 45 będzie ochrona sojuszników przed atakiem z powietrza. Śledzeniem i niszczeniem celów zajmuje się system PAAMS (Principal Anti Air Missile System). To połączenie ponad stu komputerów zarządzających uzbrojeniem, wielofunkcyjnego radaru SAMPSON, radaru dalekiego zasięgu tworzącego trójwymiarowy obraz pola walki oraz uzbrojenia, którego głównym elementem jest wyrzutnia Sylver.



Okręt przystosowany jest do operowania bez przerwy przez 45 dni w każdym miejscu na Ziemi. Aby zapewnić załodze odpowiednie warunki, kabiny zaprojektowano tak, by były o ponad jedną trzecią większe niż w starych jednostkach. Klimatyzacja na okręcie jest przystosowana do działania w miejscach tak gorących jak Zatoka Perska – przy temperaturze zewnętrznej wynoszącej ponad 45 stopni wewnątrz nie będzie goręcej niż 29 stopni. Type 45 jest też pierwszym brytyjskim okrętem wojennym, na którego pokładzie umieszczono salę gimnastyczną i siłownię.

OLGA WOŹNIAK

MYŚLĘ, WIĘC... KIM JESTEM?

Myszę, więc jestem” – oświadczył autorytatywnie Kartezjusz ponad 300 lat temu. No dobrze, ale gdzie mieści się moja jaźń? – zapytali zaraz uczeni. Na to pytanie filozof także znalazł odpowiedź. Za siedlisko naszego „ja” obrał szyszynkę – niewielką strukturę położoną w głębi naszego mózgu.

Od czasów Kartezjusza nauka poszła mocno do przodu – szyszynka z siedliska ludzkiej duszy została zdegradowana do roli banalnego gruczołu wydzielającego hormon zwany melatoniną. I choć o mózgu wiemy dziś nieporównanie więcej niż wtedy – w poszukiwaniach naszego „ja”, świadomości, duszy nie jesteśmy dużo dalej.

Kiedy się zaczyna i z czego składa nasze „ja”? Czy cztery osobowości mają wspólną duszę? Jak rozpoznajemy własne ciało? – kiedy tylko znajdujemy na coś odpowiedź, natychmiast pojawiają się nowe pytania. Czy nasz umysł jest zdolny pojąć sam siebie?

A przecież nie mamy chyba nic bliższego niż własny umysł. Co o nim wiemy?

Paczka przyjaciół

John, Jay, Decca, Mac i Sanji uważają się za zgraną paczkę przyjaciół. John, który mówi w imieniu ich wszystkich, wyznaje dziennikarzowi pisma „New Scientist”, że czasem się sprzecają, ale to normalne między ludźmi, którzy tak długo mieszkają razem. Generalnie jednak wszyscy się lubią, wspierają, nie tracąc przy tym poczucia wolności i niezależności.

Wbrew pozorom John i reszta paczki nie dzielą jednego mieszkania. Tę wspólnotę łączy znacznie bardziej intymny związek. Jedno ciało. Każda z tych osób stanowi bowiem jedną z osobowości

mężczyzny znanego publicznie jako John. Gdyby wszyscy razem wybrali się do psychiatry, ten niechybnie postawiłby diagnozę: zaburzenie tożsamości, osobowość wieloraka.

To przedziwne zaburzenie psychiczne polega na tym, że jeden człowiek mieć może kilka różnych „ja”. Jego poszczególne charaktery podają odmienne dane personalne, wykazują inne zdolności, umiejętności i poglądy. Mogą mieć różne charaktery pisma, wykazują inne poziomy hormonów i niektóre własności fizjologiczne.

Każdy z nas przeżywał pewnie kiedyś konflikt wewnętrzny, bił się z własnymi myślami. Jednak ogromna większość z nas doświadcza samego siebie jako spójną, pojedynczą osobowość. Dla czego tak bardzo różnią się od nas ludzie do-

tknięci zaburzeniami tożsamości? Otóż u nich elementy „ja” zamiast współistnieć, splecione w gruby sznur osobowości, zostały nieopatrznie rozplecione na małe niteczki. Rozpadły się.

To niezła gratka dla poszukiwaczy naszej tożsamości: skoro osobowość wieloraka jest zaburzeniem polegającym na podziale „ja”, to może właśnie zbadanie poszczególnych składowych części da nam odpowiedź na pytanie, kim naprawdę jesteśmy?

Jestem pamięcią

John i jego towarzysze mają wspólną pamięć. Każde z nich wie, co robili pozostali.

Nie jest to jednak typowe dla rozszczepienia osobowości. Często zdarza się, że niektóre czę-

ści osobowości nie wiedzą nic o istnieniu pozostałych – zdarzają im się dziury w pamięci dotyczące wydarzeń, podczas których dominację objęło inne „ja”. Budzą się na ulicy, nie wiedząc, jak i kiedy się tu znaleźli. Z zupełnie niezrozumiałych dla siebie przyczyn znajdują się w areszcie czy u nieznanym sobie osób.

Sue, kobieta z rozszczepieniem osobowości, która udzieliła wywiadu brytyjskiej stacji BBC, opowiadała o tym doświadczeniu: „Wiem, że inna ja żyła przez pewien czas zamiast mnie. Kiedy wsiadam do mojego samochodu, radio ustawione jest na inną stację, w innej pozycji znajduje się fotel i lusterka”.

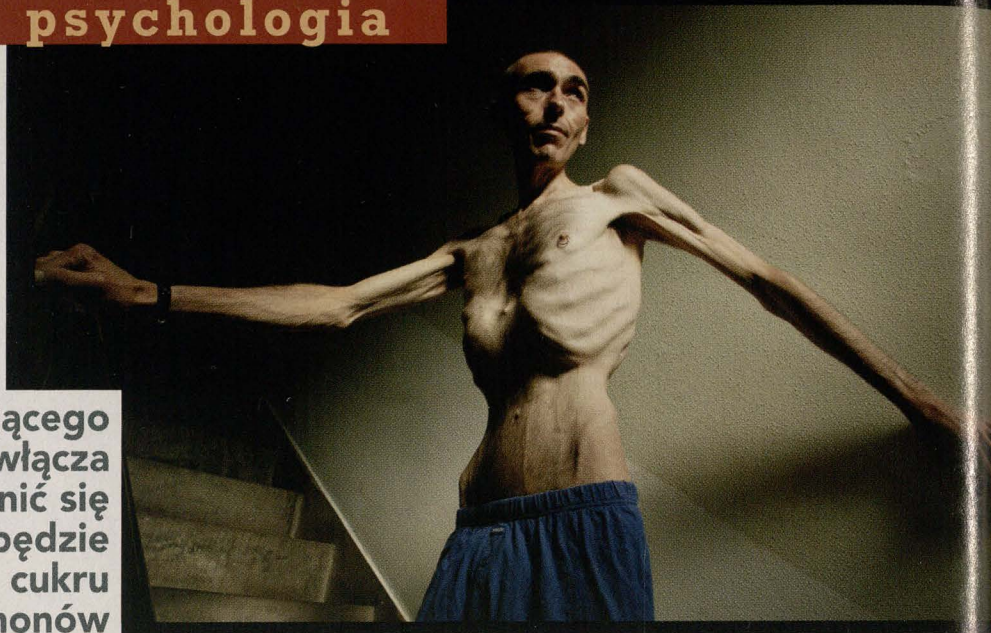
Osoby takie jak Sue poddawano badaniom obrazowania czynności mózgu. Zajmujący się

Wielu psychologów uważa test lustra za wskaźnik posiadania samoświadomości. Ludzie rozpoznają się w lustrze od drugiego roku życia. Tę zdolność mają też niektóre małpy

psychologia

Anoreksja, potrzeba tatuowania się, poddawania kolejnym operacjom plastycznym mogą mieć u podstaw to samo zaburzenie – nazywa się je dysmorfofobią

Gdy u człowieka mającego wieloraką osobowość „włącza się” inne „ja”, może zmienić się też jego ciało. Inne będzie ciśnienie krwi, poziom cukru czy nawet hormonów



Człowiek kot, człowiek jaszczurka – modyfikacje ich ciała kosztują wiele pieniędzy i trwają latami. Psychiatrzy twierdzą, że potrzeba takich zmian może wynikać z zaburzonego schematu ciała tych ludzi

podobnymi przypadkami Don Condie, psychiatra z Massachusetts General Hospital w Bostonie, odkrył u nich zaburzenia pracy struktury mózgu zwanej hipokampem. Odpowiada on w dużym stopniu za pamięć autobiograficzną i emocje. Gdy do głosu dochodzi inna osobowość danej osoby, część hipokampu ulega wyłączeniu. Stąd fragmentaryczność ich wspomnień i, co za tym idzie, zmiana tożsamości.

O tym, w jak wielkim stopniu nasza pamięć określa naszą tożsamość, mogą się także przekonać osoby, którym przydarzyła się fuga amnestyczna. Co to takiego? Otóż jeśli z jakiegoś powodu poziom stresu zagraża naszemu zdrowiu, w mó-

zgu włącza się rodzaj bezpiecznika i nagle zapominamy dużą część własnego ja – to, kim jesteśmy, jak się nazywamy, co lubimy, czego nie. Taka osoba może przyjąć zupełnie nową tożsamość, czasem także całkiem inny sposób zachowania się.

Wygląda więc na to, że pamięć stanowi w dużym stopniu o naszym jestestwie. Dowodzi tego również zjawisko zwane amnezją wczesnodziecięcą. Nie pamiętamy zdarzeń, w których uczestniczyliśmy jako niemowlęta. Wielu badaczy uważa, że to dlatego, iż w umyśle dziecka nie ma jeszcze systemu „ja”, który kształtuje się dopiero około drugiego roku życia.

Czy to już nastąpiło, można sprawdzić za pomocą tak zwanego testu lustra. Dziecko, w którym poczucie tożsamości jeszcze nie dojrzało, nie będzie poznawać się w lustrze. Gdy namaluje się mu na bazi plamę, spróbuje wytrzeć ją z lustra, a nie z własnego oblicza. Dlatego pozytywne przejście testu lustra to dla dużej liczby psychologów dowód na posiadanie samoświadomości. Oprócz człowieka własne odbicie umieją w ten sposób rozpoznać jeszcze tylko niektóre małpy naczelne.

Homunkulus w mózgu

Kolejnym – obok pamięci – elementem składającym się na naszą samoświadomość jest poczucie własnego ciała. Gdy u osoby mającej osobowość wieloraką „włącza się” inne „ja”, to ono zaczyna sprawować kontrolę nad ciałem do tego stopnia, że mogą zmienić się nawet wskaźniki takie, jak ciśnienie krwi, poziom cukru czy poziom hormonów. Inna osobowość może też postrzegać się jako osoba innej płci.

O tym, jak postrzegamy swoje ciało, w dużym stopniu decyduje jego mentalny schemat, który każdy z nas ma w swoim mózgu. To świadomość ciała w ruchu lub spoczynku, w równowadze czasoprzestrzennej i w relacjach z otaczającym nas światem. Nie jest nam ona dana od urodzenia – wykształca się powoli wskutek wrażeń zmysłowych, jakie pochodzą z wnętrza naszego organizmu, tak samo jak z jego mięśni, skóry i zmysłów.

Wiele doświadczeń pokazuje, że gdy wyobrażenie naszego ciała ostatecznie się ukształtuje, jest odporne na przekształcenia przez całe nasze życie. Z tego powodu wiele osób, które doznały na przykład amputacji kończyny, może wciąż odczuwać w niej ból (nazywa się go fantomowym).

Mapa ciała w mózgu zwana jest zmysłowym homunkulesem (człowieczkiem). Ów człowieczek to zbiór komórek nerwowych nastawionych na odbiór sygnałów pochodzących z określonych regionów ciała, które to sygnały tworzą nasz umysłowy portret, różniący się jednak nieco od tego, co oglądamy na co dzień w lustrze. To raczej karykatura o za dużej głowie, ogromnych wargach i wielkich dłoniach. Skąd te zniekształcenia? Ano stąd, że niektóre części naszego ciała mają większą wrażliwość na dotyk niż inne, wysyłają więc do mózgu więcej impulsów, które obsługuje większa liczba komórek nerwowych.

O tym, jakie kłopoty mogą sprawić nieprawidłowości działania tego mózgowego człowieczka, mogą przekonać się ludzie cierpiący na przypadłość zwaną dysmorfofobią.

To zaburzenie polega na nieprawidłowym obrazie własnego ciała. Ludziom takim może wydawać się na przykład, że są okropnie grubsi, choć w rzeczywistości doprowadzają się niemal do śmierci głodowej. Mogą też uważać, że jakaś część ich ciała nie należy do nich, i żądać chirurgicznego jej usunięcia. Niektórzy psychologowie uważają, że zaburzenia w obrazie własnego ciała są także powodem przesadnego pokrywania się tatuażami czy poddawania się kolejnym, nieraz bardzo wymyślnym operacjom plastycznym.

Najsłynniejszym tego typu przykładem jest przypadek Erica Sprague'a, znanego jako człowiek jaszczurka. W wyniku wielu operacji plastycznych i pokrycia ciała tatuażami postanowił upodobnić się do gigantycznego jaszczura. Nie jest on zresztą odosobniony w tego rodzaju pragnieniu.

W 2003 roku Shannon Larratt, wydawca internetowego fanzinu BMEzine, przeprowadził ankietę dotyczącą modyfikacji własnego ciała.

Wzięło w niej udział 4700 osób. Niektóre tylko się tatuowały lub ozdabiały rozmaitymi kolczykami, inne znaczyły swoje ciała wymyślnymi bliźniakami, kolejne wszczepiały implanty. 30 osób dobrowolnie wykastrowało się lub dokonało amputacji penisa, palca lub jednej z kończyn. Kompletne świry? Może tylko niewolnicy swych zniekształconych mózgowych człowieczków.

Innym elementem naszej osobowości jest nasze poczucie sprawstwa, czyli wolna wola. Osoby, które doświadczają rozszczepienia osobowości, występują w tym zakresie spore problemy. W książce „Psychopatologie” autorstwa Rosenhama i Seligmmana opisana została kobieta mająca trzy „ja” – autorzy nazywali ją Jenny-Jerrie-Julie. Otóż zdarzało się czasem, że jedna z nich robiła coś całkowicie wbrew woli pozostałych. Na przykład Julie zażywała narkotyki, a potem uwalniała Jerrie, żeby ta radziła sobie z konsekwencjami tego postępowania. Poza tym Julie namiętnie paliła papierosy, podczas gdy Jerrie była przeciwniczką palenia.

Nie trzeba jednak mieć osobowości wielorakiej, by doświadczyć stanu zniesienia wolnej woli. Na przykład osoby z porażeniem histerycznym

ogarnia swoisty paraliż – nie są w stanie poruszyć kończyną, mimo że części ciała i ich połączenia z mózgiem robią wrażenie nieuszkodzonych. Takie „odłączenie świadomości” może nam się też przytrafić w stanie skrajnego zagrożenia, gdy sparaliżowani strachem nie jesteśmy w stanie ruszyć ręką ani nogą.

Jest nas wielu

Uważa się, że osobowość wieloraka jest formą ucieczki od aktualnej osobowości do innej, co ma ułatwić zapomnienie jakichś traumatycznych wydarzeń.

A jednak każdy z nas potrafi zmienić swoje „ja”, wcielając się w różne role społeczne. Kim innym stajemy się przecież w kontaktach z własną babcią, a kto inny mówi przez nas, gdy rozmawiamy ze swoimi podwładnymi. Co więcej – sami przed sobą możemy przybierać różne maski, tocząc ze sobą wewnętrzny spór.

Jedna z koncepcji osobowości głosi, że nasza tożsamość składa się z wielu części – wielu „ja” w pewnym stopniu niezależnych od siebie, mających własne przekonania, emocje i doświadczenia. One współpracują ze sobą, uzupełniają się, toczą

ze sobą wewnętrzny dialog. Są zintegrowane. – Każda z części osobowości powstaje dla naszego dobra i wybiera najlepszy znany sobie sposób, by zrealizować swoje specyficzne zadanie – może to być motywowanie nas do działania, ochrona przed zagrożeniami lub cierpieniem – wyjaśnia psycholog Katarzyna Hamer w artykule „Wielość losów, wielość twarzy, jedno życie”. – Zagadnienie wielości części tworzących „ja” zdaje się ciągle wzbudzać kontrowersje, choć przecież nie jest to pomysł nowy. Już Freud mówił o trzech częściach tworzących osobowość: id, ego i superego.

„Nie ma nic bliższego człowiekowi niż umysł – uważa słynny amerykański neurobiolog Antonio Damasio. – Poszukujących jego źródeł i mechanizmów czeka jednak wyprawa w dziwne i egzotyczne krainy”.

Czy dokładne poznanie składowych naszej osobowości pozwoli rozwiązać zagadkę umysłu? Dziś naukowcy wiedzą, że przed nimi jeszcze długa droga, ale uważają, że kiedyś dotrą do mety.

OLGA WOŹNIAK

Podyskutuj o tym na **onet.pl**



Tak „widzi” nasze ciało nasz mózg. Różnym częściom przyporządkowane jest znacznie więcej obsługujących je komórek nerwowych, niż wynikałoby to z prostych proporcji

PRZE
KROJ

UNIWERSYTET
WARSZAWSKI

FESTIWAL NAUKI
WARSZAWA

traffic
club

Kawiarnia Naukowa
Przekrój Nauki
zaprasza na spotkanie

CZAS: 20 lutego
godz. 18.00

MIEJSCE: Traffic Club
przy ul. Brackiej 25
w Warszawie (III piętro)



TEMAT:
PŁEĆ – FANABERIA CZY KONIECZNOŚĆ?

- Kiedy powstała płeć i jak radzą sobie stworzenia, które jej nie mają?
- Czy gdyby nie było płci, powstałby Homo sapiens?
- Co ewolucja zrobi z mężczyznami?

Dyskusję poprowadzą:

prof. Jadwiga Jaruzelska, genetyk z PAN, Poznań
prof. Jerzy Dzik, paleontolog z PAN, Warszawa

Zobacz poprzedni temat

AUTOR

POST

hania.omulecka
Uczestnik

Wystany: 2006-02-06 16:47

Temat: Bion 3maj pion!



Dotączyt: 2005-09-02 14:16
Posty: 76
Lokalizacja: W-wa

Powrót do góry



Plik ściągnięto: 423 razy



nowy temat

odpowiedzi

Forum - Strona Główna -> Zdrowie - porady

Kolejna zima znów miała zamiar minąć, jak co roku. Przebieć człowieka, do łóżka zagnać, zmęczyć. Dookoła bure, siorbające nosami twarze i tuziny zaczerwienionych oczu. Niezbyt budujący widok. Słowo daję. Zamiast całusa na dzień dobry, od najbliższej (takiej biurko w biurko) koleżanki z pracy usłyszałam: „Tylko przypadkiem mnie nie całuj, bo chyba się od kogoś zaraziłam. Nawet nie wiem dokładnie, co mi dolega. Lekarz w zasadzie też. Powiedział, że już nie nadąża za tymi wszystkimi nowymi krzyżówkami chorób. A mnie jest słabo, wszystko mnie boli. Lepiej się do mnie w ogóle nie zbliżaj, bo się zarazisz, a już trzy razy ostatnio brałaś zwolnienie. Jesteś rekordzistką w naszym dziale”. Trochę mnie to zestresowało. W końcu wyleją mnie z pracy i tyle. Istotnie. To już trzeci antybiotyk w tym roku i nic. Chyba się na nie już trochę uodporniłam. Tym razem jednak nie mogę się rozłożyć. Czeka mnie służbowy wyjazd – ważny i już dawno temu potwierdzony. Nie ma mowy, muszę jechać. Koniec, kropka. Zresztą, kto miałby mnie zastąpić? Całe towarzystwo w biurze albo kończy chorowanie, albo właśnie zaczyna. Nie mam szans na spokojną rekonwalescencję w ciepłym łóżeczku. Nie, nie. Do końca dnia nie wpadłam na żaden sensowny, uzdrawiający choćby duszę, pomysł, a następnego ranka czułam się jeszcze gorzej. Postanowiłam zostawić samochód i pojechać do pracy taksówką. Kręciło mi się w głowie. Taksówkarz wyglądał nie lepiej. Dwa razy przeciął „ciąglą”, a potem zatrzymał się na samym środku przejścia dla pieszych. Przechodzący po pasach człowiek obudził mnie z letargu. „Gamoniu ty jeden. Kto ci prawo jazdy dał?”. I ostentacyjnie stuknął pięścią w maskę, burcząc przy tym pod nosem, tak jak to tylko polski przechodzień potrafi. Taksówkarz spojrzał na mnie. „Przepraszam panią, niezbyt dobrze się czuję. Chyba znów jakaś choroba się ze mną zabawia. Co rok to samo. Wyleżałem się kilka dni i myślałem, że dam radę. Nie wyszło. Już chyba nie te lata, nie ta odporność” – z trudem się uśmiechnął. Byłam tak nieprzytomna, że nie pamiętałam nawet, czy dałam mu jakiś napiwek. Wyszło tego około 24 zł. A może wcale nie zapłaciłam? Przemknęłam przez recepcję, nie pytając nawet dziewczyn. Przemknęłam przez recepcję, nie pytając nawet dziewczyn, czy są jakieś listy do mnie. Marzyłam tylko o tym, żeby jakoś przeżyć ten dzień i znów z, moim nowym przyjacielem, termoforem zaszyć się pod kołdrą. Tymczasem w windzie same blade twarze. Ten kaszle, a tamten kichnął. Nawet nie miałam siły podnieść wzroku. Nagle usłyszałam, że ktoś coś mówi. Chyba nie do mnie? Spojrzałam. Nasza, na ogół małowówna, korektorka mówi. „Czy pamiętasz, że prawie cały listopad nie było mnie w pracy? Śmialiście się, że wygrzewam się w Marakeszu. Ja tymczasem przechodziłam najcięższą infekcję, jaka mi się w życiu przytrafiła. Myślałam, że moja rekonwalescencja nigdy się nie skończy. Prawda jest więc taka, że wszystko w Twoich rękach, moja droga. Wystarczy przynajmniej raz na dobę pomyśleć tylko o sobie. Ale tak naprawdę. Tylko o sobie. Wtedy wszystko zaczyna nabierać kształtu, koloru, zapachu. Zdrowie to nie sukienka – nie pożyczysz od starszej siostry” – uśmiechnęła się. „Jeszcze tego mi dziś brakowało! Mądrości od nadętej korektorki. Ortograficznej filozofii życia”

– pomyślałam. Podniosłam wzrok z zamiarem powiedzenia: „Idź swoją drogą, kochana, a moje życie zostaw mnie”. Ale nie powiedziałam. Spojrzałam uważnie. Na tę zdrową twarz, wyraziste oczy, lśniące włosy, pogodne usta i... zatkało mnie. Wszystko, co chciałam z siebie wyrzucić, ugrzęzło mi w gardle. „Właśnie dlatego ona taka jest? Tak nieprzyzwoicie zdrowa? Jak się uchowała w całym tym plemieniu byłych i przyszłych rekonwalescentów snujących się po piętrach?” – zastanowiłam się przez chwilę. Usłyszałam swój głos. „Jak ty to robisz? Jak ty o sobie myślisz?”. „To proste. Takie proste, że aż trochę banalne. Za to działa porywająco. Wystarczy trzy minuty, żebym ci o tym powiedziała. Lunch o pierwszej?” – spytała. „Niech będzie. Lunch o pierwszej”. Spodziewałam się po niej maślanej ryby na parze. Zamówiła bigos. Wzięłam pół porcji greckiej sałatki. Zanim zaczęła jeść, lknęła jakąś pastylkę. „No tak, to zwykła pułapka. Pewnie teraz zechce mi się zwierzyć. Niech zgadnę. Ma nadzieję na tarczycę. Jej córka nie wie, do jakiego pójść gimnazjum. Mąż rzucił ją dla młodszej. A kot ma uczulenie. Nie, tylko nie to. Nie teraz. Nie mam na to siły. Dość mam kłopotów z samą sobą” – myślałam gorączkowo.

„Czy zastanowiło cię, dlaczego jako jedyna w biurze od dłuższego czasu nie choruję?”. Zaskoczyła mnie. Nie odpowiedziałam. „Bo znam takie małe, łatwe sztuczki. Mam swój szybki, codzienny luksusik. Banalnie prosty. Stosuje go cała moja rodzina. Wiesz, co to jest Bion3?”. „No tak, jest pewnie jakaś dewotka albo akwizytorem, albo jeszcze gorzej. Zaraz wyciągnie broszurki i się zacznie”. Wyjęła opakowanie tabletek. Zadrżałam. „Może być gorzej. Dewotka-lekomanka? Akwizytorka-hipochondryczka?”.

Nie wyglądałam chyba na oczarowaną, bo usłyszałam: „Kobieto, zrelaksuj się, nie myśl o mnie tak źle. Ja po prostu niedawno znalazłam coś, co poza tym, że dodaje mi siły, wzmacnia moją odporność. To po prostu sprawia, że chce mi się żyć. Popatrz na mnie i uspokój się wreszcie”. Zamyśliłam się. „Fakt. Wygląda świetnie. W tym roku w ogóle nie chorowałam. Nie zaraziła się od nikogo i w ogóle. Jako jedna z nielicznych w pracy. Tak naprawdę to ciekawe, dlaczego?”.

„Mam taki prosty patent. Jedna pastylka Bion3 raz dziennie i po kłopotach. Stosuję go od dwóch miesięcy i nie mam zamiaru się z nim rozstać. Przynajmniej w najbliższym czasie.”



Plik ściągnięto: 159 razy

gdy trudno zliczyć przeróżne infekcje krążące dookoła. Czy wiesz, co to są probiotyki?” – spytała. Nie, nie wiedziałam.

„Do niedawna też mnie to zupełnie nie interesowało. To są po prostu żywe kultury bakterii”.

„No tak. Niby wiem. Przywracają równowagę mikroflory w układzie pokarmowym, czyli potęgują odporność. Powodują, że witaminy i składniki mineralne utrzymują się na prawidłowym poziomie, a wiadomo, że część witamin wymiata wolne rodniki. Część wraz z minerałami polepsza metabolizm, odpowiada za prawidłowe ciśnienie, reguluje gospodarkę wodną. Krótko mówiąc, probiotyki w dobrym towarzystwie witamin i minerałów wzmacniają organizm i poprawiają odporność – ale się wymądrzyłam, a niech mnie”. „Ale te probiotyki znajdują się przecież w różnych mlecznych produktach. Nie słyszałam jeszcze, żeby zawierał je preparat multiwitaminowy. Wymagają przecież odpowiedniej temperatury przechowywania” – zainteresowałam się.

„Tak rzeczywiście było do niedawna. Bion3 to pierwszy preparat, który poza witaminami i minerałami zawiera w sobie probiotyki. Działa zatem z potrójną mocą. Zapobiega nie tylko rozwijaniu się infekcji, ale jest także wymarzony na czas rekonwalescencji. Każda tabletką Bion3 jest zaopatrzona w specjalną powłokę ochronną. Nie trzeba go trzymać w lodówce. Ja swój Bion3 noszę w torebce. Który raz chorujesz tej zimy?” – spytała, jedząc z apetytem.

„Do właśnie trzeci” – pogrzebałam widelcem w sałatce. „Aż strach pomyśleć, ile witamin i minerałów przez ten czas straciłaś. Wolę nie wiedzieć, ile wolnych rodników znalazło sobie u ciebie schronienie. Nie chcesz się chyba szybko zastarczyć?” – przejęła się. Spojrzałam na nią pytająco.

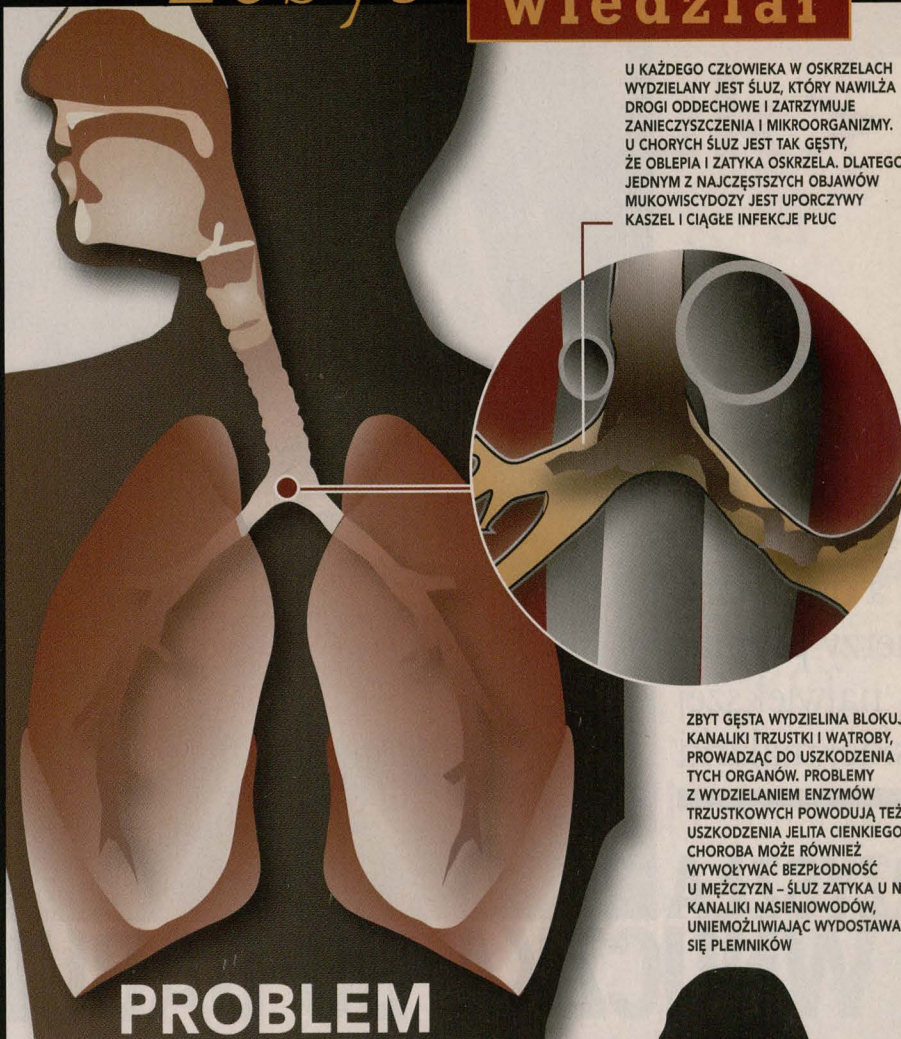
„Masz. Spróbuj. Kupiłam to bez recepty. To był, jak się okazało, wielki dzień. Po raz pierwszy od lat jestem w tak dobrej formie”. Przekonała mnie. Była przecież żywym przykładem na to, że nie opowiada mi bajek. Energetyczna, radosna, silna.

Tabletką łatwo dała się przekonać. Po południu, gdy poczułam się odrobinę lepiej, pognałam do apteki. Bez trudu znalazłam Bion3. Nie był to wielki wydatek. Tyle co taksówka do pracy, a opakowanie starcza na 30 dni. To było dwa tygodnie temu. Wróciłam do dobrej formy. W taki prosty sposób. Sto razy w tym czasie podziękowałam korektorke. Mnie podziękowali inni. Ci, którzy skorzystali z mojej rady, że warto czasem pomyśleć o sobie. Oczywiście w zdrowy sposób.

Wszystkie posty

Żebyś wiedział

U KAŻDEGO CZŁOWIEKA W OSKRZELACH WYDZIELANY JEST ŚLİZ, KTÓRY NAWILŻA DROGI ODECHOWE I ZATRZYMUJE ZANIECZYSZCZENIA I MIKROORGANIZMY. U CHOROBY ŚLİZ JEST TAK GĘSTY, ŻE OBLEPIA I ZATYKA OSKRZELA. DLATEGO JEDNYM Z NAJCZĘSTSZYCH OBJAWÓW MUKOWISCYDOZY JEST UPORCZYWY KASZEL I CIĄGLE INFECJE PŁUC



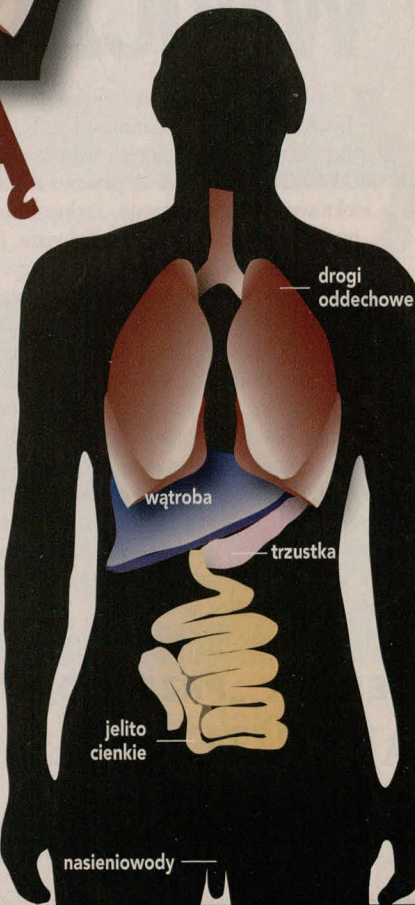
PROBLEM z SOLĄ

Od 20 do 26 lutego trwa
V Ogólnopolski Tydzień
Mukowiscydozy

Jedno na 2,5 tysiąca urodzeń. Z taką częstością pojawia się mukowiscydoza, najczęściej występująca choroba genetyczna dziedziczona niezależnie od płci. Dziecko choruje tylko wtedy, gdy dostanie wadliwy gen od obojga rodziców. W takim przypadku organizm produkuje nieprawidłowe białko CFTR, które odpowiada za transport soli. Efektem jest pojawienie się w organizmie bardzo gęstego śluzu, który utrudnia działanie organów wewnętrznych. Choć nie umiemy wciąż wyleczyć przyczyn mukowiscydozy, to nowe leki bardzo wydłużyły i poprawiły życie chorych, ograniczając jej objawy. Najlepszą metodą jest połączenie terapii lekami rozrzedzającymi śluz z fizjoterapią, czyli technikami ułatwiającymi jego usuwanie. Mukowiscydoza u małych dzieci często jest błędnie diagnozowana jako astma czy zapalenie oskrzeli, tymczasem wczesne rozpoznanie jest bardzo ważne dla dalszego leczenia.

Po więcej informacji warto zajrzeć na strony:
www.mukowiscydoza.pl i www.ptwm.org.pl

ZBYT GĘSTA WYDZIELINA BLOKUJE KANAŁY TRZUSTKI I WĄTROBY, PROWADZĄC DO USZKODZENIA TYCH ORGANÓW. PROBLEMY Z WYDZIELANIEM ENZYMÓW TRZUSTKOWYCH POWODUJĄ TEŻ USZKODZENIA JELITA CIENKIEGO. CHOROBA MOŻE RÓWNIEŻ WYWOŁYWAĆ BEZPŁODNOŚĆ U MĘŻCZYZN – ŚLİZ ZATYKA U NICH KANAŁY NASIENIOWODÓW, UNIEMOŻLIWIAJĄC WYDOSTAWIANIE SIĘ PLEMNIKÓW



KOLUMNĘ OPRACOWAŁ PIOTR STANISŁAWSKI

65 lat minęło
od śmierci
OLGI BOŻNAŃSKIEJ,
a ona wciąż
dzierży prymat
największej
polskiej malarki

PRZYSZŁA WNUCZKA DO BABUNI



Fot. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Kłania się jej zarówno tak zwana szeroka publiczność, jak i wyrafinowani esteci. Jakby nikt nie miał najmniejszych wątpliwości: oto PRAWDZIWA SZTUKA. A przecież nic w niej efektownego i uwodzącego. Żadnych namiętnych barw, wyzwiał rzucanych światu, jawnej pasji malowania jak u wcześniejszych impresjonistów. Sztuka Bożnańskiej zniewala dyskretnie i jakby od niechcenia. Tu portret, tam kwiatki na stoliku, martwa natura, ów dzie scenka w pracowni, ktoś siedzi, trochę sprzętów, sztalugi, wpada smuga światła zza okna.

Obrazy właściwie kolorowe, ale na dobry ład szarawe, niemrawe. Owszem, niektóre wyraźne i porządnie zrobione. Ale sporo zamazanych, rozartych, ledwo się można zorientować, co tam wymalowane. Tyle że każdy z nich mówi: stworzył mnie ktoś, kto miał talent absolutny i słuch absolutny – na styl, kolor, kompozycję.

Niedawno skończyła się w warszawskiej Zachęcie wystawa pod tytułem „Bożnańska nieznana”, czyli obrazy odgrzebane, przypominane, odnalezione. Pora była mało sprzyjająca, mroź, zwały śniegu albo wyszłizgany lód. A jednak ludzie zewsząd codziennie ściekali jak strumyki, by karnie stać w długich kolejkach do wejścia, potem do konkretnych sal. Jakby ta cicha, skupiona sztuka miała moc przenikania do ludzkich wnętrzy i zostawiania tam samych dobrych emocji. Swoje odstąpiłem, więc wiem, co mówię.

Zadziwiające, jak przy całej skromności jest to twórczość pańska i dumna, arystokratyczno-magnacka. Fakt, Bożnańska sama wywodziła się z niezłej rodziny, polsko-francuskiej, latami mieszkała i pracowała w Europie, od Monachium po Paryż, bywała na salonach i tak dalej. W zależności od kraju kazała się nazywać von albo de Bożnańska. Więc dama całą głębią. Ale że bez reszty

poświęcona swojej sztuce, ten wielkopański duch musiał się i w twórczości jakoś odbić. Czy tylko w tym, że malowała znaczne postaci swoich czasów? Niekoniecznie, bo malowała też zwykłych ludzi i całkiem proste motywy wnętrza czy martwych natur. Ta niepojęta i niewytłumaczalna pańskość jest jedną z licznych tajemnic sztuki Olgi Bożnańskiej, kiepsko przekładającą się na słowa. Bo tajemnicze są także niektóre sceny, sytuacje, a także sposób ich namalowania. Ot, takie „Imieniny babuni”, obok reprodukowanych.

Niby nic: fragment pokoju z jasną ścianą, o niej oparta dziewczynka w uroczystej, długiej sukni, kolorystycznie niemal się zlewającej z białą ścianą. Na wysokości głowy dziewczynki ciemne, pochyło zawieszone lustro, wprowadzające w tę pozornie spokojną scenkę nastrój dziwnego niepokoju. W głębi, gdzie ciemniej i mało co widać, możemy rozpoznać siedzącą postać starszej pani, zapewne tytułowej babuni. Twarz – płaska plama, podobnie jak ciemna bluzka i jaśniejsza spódnica. Niewiasta coś trzyma w ręku – może książkę, może kwiaty, może robi na drutach. To właściwie wszystko.

Owszem, gdyby nie parę drobiazgów. Dlaczego, skoro to imieniny babuni, wnuczka stoi pod ścianą, patrząc gdzieś w podłogę, a imieninowe kwiatki ściska w opuszczonej ręczce? I dlaczego te kwiatki dziwne jakieś? Białe jeszcze ujdzie, kojarzy się z białą dziewczęcej niewinności. Ale co tam robi ten granatowy, prawie czarny? Wygląda jak krzycząca dziura, znak czegoś nieprzyjemnego, zaprzeczenie miękkich bieli spowijających ścianę i dziewczynkę.

Przy tym coś ta nasza mała nie za wielką przejawia ochotę rzucenia się babuni w imieninowe ramiona... Jakby została tu nasłana wbrew własnej woli... Jakby ją w tę uroczystą sukienkę na siłę wepchnięto i kazano iść do pokoju solenizantki. A ten pokój tajemniczy i ciemny. A to wielkie lustro pochyło zawieszone. I babunia niezwracająca uwagi, zajęta sobą.

Oto dwa kompletnie osobne światy na chwilę zbliżone rytualnym konwenansem. Nic w tej scenie rodzinie bliskiego. 999 innych malarzy, nawet niekoniecznie z tamtej epoki, namalowałoby wdzięcznie uśmiechniętą wnuczkę tulącą się do babuni. Bożnańska wołała szukać prawdy, mniej cukierkowej. Sama żyła w świecie mocno skonwencjonalizowanym, ale jej sztuki to nie dotyczyło.

Biedna babunia, biedna dziewczynka. Może gdyby im dano pobyc z sobą całkiem zwyczajnie, bez tych wszystkich bombastycznych sukien i obowiązkowych życzeń?

TADEUSZ NYCZEK

KOLEKCJA „PRZEKROJU”
MALARZE POLSCY
Bożnańska
tylko 15,99 zł 100 stron



Witkacy
Wiktor
Schoz
Bożnańska
Wojtkiewicz
Malezewski
Wróblewski
i wielu innych...

PRZE
KROJ

Robert Maciejuk>

N o c a m e r y k a ń s k a

18 II - 23 IV

ZACHĘTA NARODOWA GALERIA SZTUKI>
PLAC MAŁACHOWSKIEGO 3 WARSZAWA>
WWW.ZACHETA.ART.PL>

ZACHĘTA

główny przewoźnik> sponsor galerii> patroni medialni>

LOT

PERI

gazeta

POLSKIE RADIO

POLITYKA

TVP

THE WARSAW VOICE

onet.pl

EMPIK

Nie zmarnuj także w tym roku 1% swojego podatku!

fundacja przyjaciółka — organizacja pożytku publicznego

nr konta PL 88 1880 0009 0000 0011 0139 1041

W zeszłym roku nasza fundacja otrzymała z 1% podatku kwotę 87.609,53 zł. Dzięki Państwu wsparciu mogliśmy pomóc w ratowaniu życia i zdrowia dzieci oraz dofinansować ubogich podopiecznych świetlic środowiskowych i wolontariat w domach dziecka.

Instrukcję jak to zrobić znajdą Państwo na stronie: www.fundacja.przyjaciolka.pl

RMF fm RADIO MUZYKA FAKTY

ŚWIATOWE BESTSELLERY!



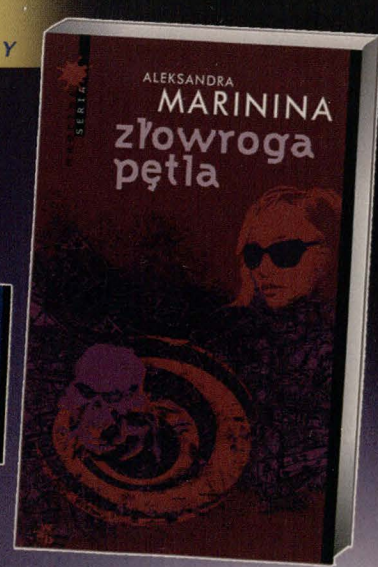
patroni medialni:

PRZE KROJ

INTERIA.PL

carpe noctem

W ab



Małe formaty
duuuuże rabaty

Grażyna Janiak
tel. 022 584-21-72

grazyna.janiak@edipresse.pl

„Przekrój”
wydaje
polecenia
kulturze

SŁUGA NIEWIELU PANÓW

Słynny Litwin Rimas Tuminas przygotowuje w warszawskim Teatrze Studio premierę „Sługi dwóch panów”. Co nieprzyjemnego zechce powiedzieć Polakom?

Same kłopoty z tymi Litwinami. Wszystko robią nie tak, jak trzeba. Tacy reżyserzy teatralni. Nie dość, że barbarzyńsko, bo wbrew wszelkim regułom, czytają klasykę, to jeszcze budują swoje teatralne światy z najprostszymi elementami: drewna, piasku, ognia i wody. Prawie bez wyjątku pochodzą ze wsi. Wychowywali się bez prądu, radia i telewizji, do teatru zawieziono ich siłą tuż przed maturą. Do dziś manifestują przynależność do kultury chłopskiej, jakby życie w mieście było nadal warunkowane jej rytmem i wartościami. Demonstracyjnie nie lubią realizmu, otwierają aktora na poezję i improwizację, budzą jego zmysł gry formą. Przez ostatnie

20 lat cała Europa miała bzika na ich punkcie, częściej pokazywali swoje przedstawienia na zagranicznych festiwalach niż w kraju. No tak, Eimuntas Nekrošius i Jonas Vaitkus mają wiele na swoich reżyserskich sumieniach. Ale najgorszy, najbardziej niepoprawny jest Rimas Tuminas. Rocznik 1952, brodaty, czaruiawy gaduła ze Żmudzi. Właśnie przyjechał reżyserować w Polsce „Sługę dwóch panów” Goldoniego.

BALANS

Za komunistycznej Litwy, gdy trzeba było walczyć z cenzurą i być w opozycji, siedział cicho, „brał rozmach”. Za to jak Litwinom wybuchła wolność, założył pierwszy w kraju niezależny teatr (Vilniaus Mažasis Teatras) i zaczął naród krytykować. Za uciążliwość bycia ofiarą, za ksenofobię, za sowieckie ostatki mentalne. Ale jednocześnie rozgrzeszał i dawał nadzieję. Raz po raz zaogniał stosunki wewnętrzne i międzypaństwowe. W kraju zarzucano mu, że wystawia tylko wielką literaturę rosyjską, a litewska ignoruje. W Rosji krzyczano, że rosyjscy narodowi autorzy i bo-

haterowie są przez Tuminasę obrażani i poniżani. Przez ostatnie 16 lat uprawiał więc konsekwentnie teatr środka, co w litewskich warunkach oznacza, że zbierał niezadowolone lanie ze wszystkich stron. Na szczęście jego spektakle pokochali widzowie.

W Polsce oglądaliśmy prawie wszystkie przedstawienia Tuminasa – na toruńskim Kontaktcie, lubelskich Konfrontacjach, Warszawskich Spotkaniach Teatralnych. We Wrocławiu wyreżyserował „Romea i Julię”. A my

LITWINI I MADAGASKAR

Tuminasę fascynują tezy zmarłego w latach 60. profesora Pakštasa, który w okresie międzywojennym przekonywał Litwinów, że mieszkają w tym miejscu na ziemi. Rosja, Polska i Niemcy nigdy nie dadzą im spokoju. Proponował więc emigrację całego narodu do Kanady, Ameryki Południowej albo Afryki. Chciał nawet kupić pół Madagaskaru. Kalkulował, w jakiej kolejności i jakiej liczbie rocznie powinni wyjeżdżać. Dwa lata temu młody pisarz Marius Ivaškevičius napisał o tym sztukę – tak powstał jeden z najgłośniejszych spektakli Tuminasa „Madagaskar”.

pytaliśmy: jak on to robi? Skąd bierze się u niego to niezwykle godzenie przeciwieństw? Balans na granicy między teatralnym pięknem i kiczem, sacrum i profanum, wzniosłością i śmiesznością.

STRZELAJĄC ŚMIECHEM

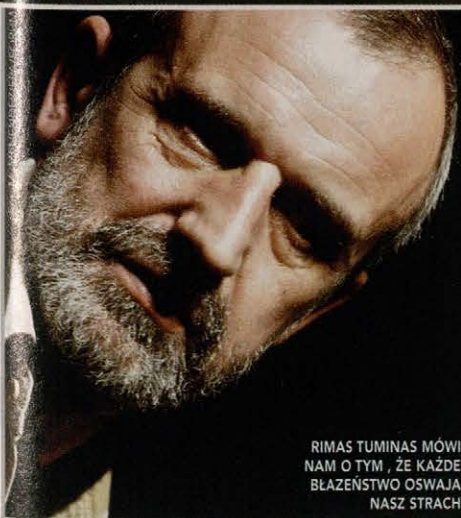
Pierwszą rzeczą, jaką w ogóle zapamiętał Tuminas, był strach. Jako chłopiec najbardziej bał się własnego ojca, który służył w Armii Czerwonej i po zdobyciu Berlina wrócił z wojny z kontuzją psychiczną. Dręczyło go to, co przeżył, ale i poczu-

„Jednak pewnego razu ojciec przyniósł prawdziwą strzelbę – wspomina reżyser – Ustawił nas pod ścianą, wymierzył... I w końcu padł strzał. Chybił – kula przeszła nad naszymi głowami. Ja popatrzyłem na matkę, a matka na mnie i nieoczekiwanie zaczęliśmy się śmiać. Wtedy ojciec uciekł – przestraszył się naszego śmiechu”.

Podobno dzięki temu zdarzeniu przyszedł reżyser „Rewizora” zrozumiał, jak niewiele dzieli śmierć od drwiny, rozpacz od żartu. – Chciałbym, żeby tragedia i komedia istniały w przestrzeni sztuki



„MADAGASKAR” – MOTYW WALIZEK, JAK WIDACZ, WRACA W TWÓRCZOŚCI TUMINASA



RIMAS TUMINAS MÓWI NAM O TYM, ŻE KAŻDE BŁAŻENSTWO OSWAJA NASZ STRACH

cie winy, kompleks zdraycy narodu (mało który Litwin zostawał krasnoarmiejcem!), miał myśli samobójcze. Tato Tuminas był wiejskim nauczycielem, nie potrafił zintegrować się z otoczeniem, przenosił się stale z jednej wsi do drugiej, bo chłopci odrzucali go i bojkutowali. A za swój stan obwiniał najbliższych. Co jakiś czas wyprowadzał żonę i syna z domu i stawiał przy ścianie szopy, udając, że mierzy do nich z nieistniejącej broni. Za karę, że czegoś nie zrobili albo po prostu spojrzeli na niego nie tak, jak należało.

bez żadnej linii demarkacyjnej – mawia dziś Tuminas i w swoim teatrze żongluje gatunkami i nastrojami. Uwielbia przełamywać tonację; jakaś scena niby to zaczyna się pełnym namaszczeniem patosem, by skończyć się huraganem śmiechu. Zwykle kpi ze swoich bohaterów, ale jest to kpi-na dobroniuszna, ciepła, wybacząca. Oto w „Uśmiechnij się do nas, Panie” czterej Żydzi wędrujący do Wilna, Jerozolimy Północy, spotykają ślepego wędrowca. Ten obmacuje ich kosturem od stóp do głów: po brodach, pejsach, nosach, przyrośnięciu... Biedny, chory, potrzebujący jałmużny człowiek. Ale co to? Ślepiec zdejmując ciemne okulary i oznajmia z radością: – Witajcie, bracia Żydzi! Ogólna konsternacja. A to bezwstydniki! Skoro tylko udawał ślepego, to po co obmacywał? I po czym poznał, że Żydzi?

Celebrowana w takich etiudach Tuminasowa „śmieszność” nie jest buntiem bohatera przeciwko samemu sobie; śmieszność jest kapitulacją. Reżyser mówi, że nie ma ucieczki od własnego błazeństwa. „Maskarada”: skuty lodem Petersburg; szukającemu się do pojedynku na śmierć i życie Księciu Zwiedzicznemu szablą przymarza do ściany. W „Wiśniowym sadzie” gruby Jepichodow, tańcząc z damą, puszcza głośne baki. W „Madagaskarze” profesor Pakštąs w prologu do spektaklu jako osesek musi kwilić i gulgotać, zamiast wygłaszać uczone tyrady.

Tuminasowa ironia ma swój cel. Bo każde błazeństwo, nadając nam piętno głupca, oswaja równocześnie zło i strach, jakie w sobie nosimy.

NAIWNOŚĆ I KŁAMSTWO

Tuminas stale krąży wokół kilku tematów. Fascynują go ludzka naiwność i kłamstwo. Studiuję charakterystyki tych, którzy oszukują, i tych, którzy padają ofiarą przyziemnych bądź metafizycznych oszustw.

W „Wiśniowym sadzie” (1990) za pomocą metafory rozpadającego się domu demontował złudną wiarę rodziny Raniewskiej, że wszystko będzie jeszcze jak dawniej. W „Uśmiechnij się do nas, Panie” (1994) bohaterowie desperacko wierzyli, że można uratować człowieka skazanego na śmierć. Jechali mu na ratunek tak długo, jakby chcieli w podróży zakłąć czas, odwrócić bieg zdarzeń. Daremnie. „Maskarada” Lermontowa (1997) obnażała sens jakichkolwiek dobrych intencji w świecie, w którym wszystko oparte jest na nienawiści, zazdrości, pogardzie. Brechtowski „Galileusz” (1992) był traktatem o słabości ludzi: artystów, uczonych, przywódców. Wierzymy im, że posiadli prawdę, ale to tylko kolejna iluzja. W „Trzech siostrach” (1995) miraż radosnych obrzędów rodzinnych skrywał nędzę rzeczywistości, banalność ludzi i zatrzważającą, ślepą bliskość śmierci. Islandzki „Don Juan” (1996) ukazywał człowieka, który umarł za życia, bo okłamał sam siebie, że Boga nie ma. I ciągnął za sobą w gorzką nicność kolejne kobiety.

FEERIA ŚMIERCI

Uchodzi za najbardziej lirycznego z litewskich reżyserów. Nie boi się sentymentalizmu na scenie, nasycę swój teatr łzawą muzyką, łagodnym światłem poranka. Szuka wśród bohaterów ludzi dobrych i szczerych. Zmusza aktorów do rozbijania psychologicznych stereotypów. Pracując z raczej chmurnymi Islandczykami, opowiadał im sprośne dowcipy. Kostycznych Szkotów podczas prób sztuki Czechowa kompletnie rozpił, żeby poczuili rosyjską duszę. Rosjan uczył nieprawomyślności wobec władzy. Z Litwinów wyciągał upór i hardość. Strach pomyśleć, co zrobi Polakom reżyser, który wierzy, że każdy naród ma własną energię.

Półowa spektakli Tuminasa to piękne pożegnania: osób dramatu, starzejącego się świata, sensu życia. W pozostałych rozpacz bywa zagłuszana, ukrywa się ją w feerii gagów i grepsów. Ale i tak nie jest za wesoło. Fascynuje go metafora weneckiego karnawału. Eksplozja vitalności, święto masek, tańca, muzyki i miłości. Ale Tuminas nie afirmuje zabawy, pyta raczej, co będzie u jej kresu. Dlaczego oszukujemy siebie, że karnawał życia będzie trwał wiecznie. Stąd warszawska inscenizacja Goldoniego i w ogóle inspiracje komedią dell'arte.

Jasność tonacji „Sługi dwóch panów” musi coś istotnego skrywać – zastanawia się podejrziwy litewski reżyser. Odpowiedź jest pewnie bardzo prosta, tylko wiedzie do niej zawiła droga. Może chytry Litwin ją znajdzie.

ŁUKASZ DREWNIĄK

„SŁUGA DWÓCH PANÓW” CARLO GOLDONIEGO, REŻYSERIA RIMAS TUMINAS, TEATR STUDIO, PREMIERA 17 LUTEGO

● mistrzostwo
● na piątkę
● warto
● ujdzie
● kiepskie
● dno

Wyróżnij się
www.aygo.pl

MORDERCA ZOSTAWIA ŚLAD

Capote mylił się, sądząc, że dotknie zbrodni, nie brudząc sobie rąk

Właściwie można by zaryzykować tezę, że czteroosobowa rodzina Clutterów zamordowana w listopadową noc 1959 roku w mieście Holcomb w stanie Kansas złożyła swoje życie na ołtarzu (pop)kultury. Z ich grobu wykiełkowała jedna z najśłynniejszych powieści XX wieku, „Z zimną krwią”, oraz dwa filmy. Nie mówiąc o tym, że choć od tragedii minęło 47 lat, mieszkańcy domu, w którym do niej doszło, zajmują się głównie oprowadzaniem wycieczek, w chwilach rozpaczliwych rozważań, czy nie prościej byłoby tu po prostu otworzyć pensjonat oferujący *bed and breakfast*.

Genialny, zniuansowany „Capote” Benneta Millera przywołuje wydarzenia z Holcomb nie po to, by znów epatować widokiem zmasakrowanych ciał, lecz by pokazać, jak rodziła się niezdrowa fascynacja zbrodnią, pierwsza na tak masową skalę. To oparta na faktach książka „Z zimną krwią” dała jej początek. Truman Capote (fantastyczny Philip Seymour Hoffman), zebrawszy drobiazgowy materiał, przez siedem lat pisał książkę, stawiając sobie za zadanie opis wszystkich okoliczności zbrodni, łącznie z analizą psychiki morderców. W tym celu zawarł bliską znajomość

z jednym z nich, Perryem Smithem, jednocześnie mając go wizją szczerej przyjaźni i bezwzględnie wyciągając cenne informacje.

Capote sądził, że uda mu się wejść w ponury świat zbrodni, nie brudząc sobie przy tym rąk, Miller pokazuje, jak wielkie było to złudzenie. Z czasem pisarz popada w kompletną schizofrenię: załatwia zabójcom prawników, by odwlec wykonanie wyroku śmierci (potrzebuje ich jeszcze żywych), a jednocześnie marzy, by wreszcie zawiśli na szubienicy, bo inaczej nie będzie mógł skończyć książki. Współczucie miesza się z pogardą, prawda z oszustwami, cierpienie z marzeniami o sławie, a ponura więzienna cela z nowojorskimi salonami, gdzie o najgorszym koszmarze wolno opowiedzieć tylko tak, żeby do łez rozbawić towarzystwo. Cudze piekło staje się spektaklem (morderców fotografuje sam mistrz Richard Avedon), po trupach Clutterów idą do celu (każdy własnego) pisarz i dwaj zbrodniarze, a uperfumowana publika klaszcze na stojąco. Dwuznaczny mariaż zbrodni i popkultury stał się faktem. I nikogo już nie dziwią usłane trupami gazety, programy, filmy. Różnica polega tylko na tym, że Perry dziś na pewno nie czekałby na swojego Capote’a, ale zaraz po wyroku sam zasiadł do pisania autobiografii. Albo od razu scenariusza.

MAŁGORZATA SADOWSKA

„CAPOTE”, REŻ. BENNETT MILLER, USA 2005, UIP, PREMIERA 17 LUTEGO

ŻYCIE UDAWANE

Hallström powinien przerzucić się na filmy przyrodnicze

Ten reżyser zaczął zjadać własny ogon. Dotąd zajmując opowiadać o odludkach i społecznych wyrzutkach, którzy odnajdywali szczęście dzięki relacjom z innymi ludźmi („Co gryzie Gilberta Grape’a”). Tym razem jednak myśl przewodnia jego filmu, że „nikt nie jest samotną wyspą”, brzmi jak wyświechtany frazes. Prawdopodobnie z powodu małości scenariusza – opowieści o podstarzałym farmerze (Redford), który nie może się pogodzić ze śmiercią syna i obwinia o nią synową (Lopez). Jej nagły przyjazd na farmę otwiera dawne rany, ale i drogę do pojednania. Jest poprawnie, miejscami ciekawie, ale najczęściej potwornie nudno.

„Niedokończone życie” powstało w Kanadzie, której góryste tereny udają amerykański stan Wyoming. I właściwie cały film składa się z udawania. Hallström udaje, że ma coś ciekawego i odkrywczego do powiedzenia. Robert Redford i Morgan Freeman – że wspaniale czują



NAWET DZIECKO WIE, ŻE MORGAN FREEMAN NIE POWINIEN BYŁ GRAĆ W TYM FILMIE

się w swoich rolach. A Jennifer Lopez, jak zwykle już, udaje, że jest aktorką. Najlepiej w filmie prezentuje się natura: rozległe lasy, góry i pola oraz niedźwiedź grizzly, którego postać ma również wymiar metaforyczny – symbolizuje mroczne miejsca w duszy bohaterów.

Może Hallström powinien zacząć kręcić filmy przyrodnicze?

OLA SALWA

„ŻYCIE NIEDOKOŃCZONE”, REŻ. LASSE HALLSTRÖM, USA 2005, VISION, PREMIERA 17 LUTEGO

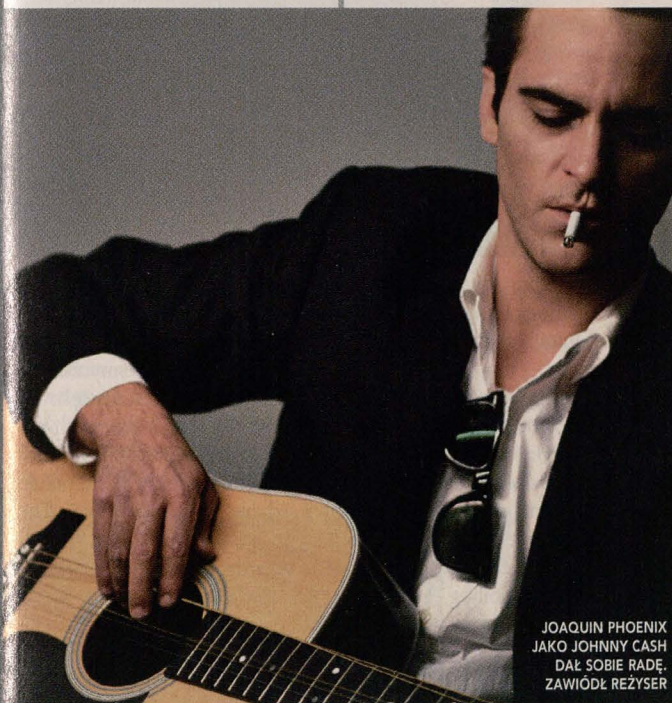
DZIKOŚĆ SERCA W FAMILIADZIE

Film o Johnnym Cashu mógł być wielki, jest średni. Dobre i to

Johnny Cash wielkim artystą był, o czym czytelników „Przekroju” przekonywać, mam nadzieję, nie muszę. O tym, że Joaquin Phoenix świetnie zagrał Człowieka w Czerni, pisaliśmy już przed tygodniem. Trzeba dodać, że chwacko sprawiła się także Reese Witherspoon jako June Carter. Jednak film Man-

go w 2003 roku pieśniarza. Nie o to zresztą chodzi, by Casha na siłę demitologizować. Gorzej, że film okraszono całą masą sentymentalnych motywów i rozwiązań rodem z kina rodzinnego, więc zamiast tchnąć dzikością i chwycić za gardło (a mógłby), chwilami, niestety, żenuje.

No i jest jeszcze wpadka, za którą odpowiadają nie amerykańscy twórcy, lecz polska tłumaczka dialogów i piosenek. Otóż sławna linijka ze sztandarowego „Folsom Prison Blues”, kilkakrotnie powtarzanego i w gruncie rzeczy najważniejszego utworu w całym filmie, linijka dzika, niepoprawna i iście punkowa, choć napisana przez Casha



JOAQUIN PHOENIX JAKO JOHNNY CASH DAŁ SOBIE RADE, ZAWIÓDŁ REŻYSER

golda, który mógł być wielki – bo najbardziej burzliwe lata Johnnycashy’ego Casha, od dzieciństwa aż po małżeństwo z June, to pierwszorzędny materiał – jest tylko taki sobie. Kłopot z biografiami artystów polega na tym, że bardzo trudno, nie popadając w banał, oddać na ekranie istotę ich niepowtarzalności. Geniusz jest z natury zagadkowy i niemożliwy do oswajania, film zwykle zaś stara się opierać środkami zrozumiałymi dla masowej widowni. Czasem pomocna bywa beceremonialność reżyserskiej wizji (vide Ken Russell), ale trudno tu o niej mówić, bo scenariusz traktuje Casha z atencją i zdążył uzyskać akceptację zmarle-

na początku lat 50., linijka, w której powiada się: „I shot a man in Reno, just to watch him die” („zastrzeliłem człowieka w Reno, tylko po to by popatrzeć, jak umiera”) została przełożona następująco, cytuję z pamięci: „kropnąłem gościa w Reno (dotąd jest świetnie), na miejscu umarł tam”. Dostrzegają państwo różnicę? Tego się nie robi Człowiekowi w Czerni. Bo wstyd.

MARCIN SENDECKI

„SPACER PO LINIE”, REŻ. JAMES MANGOLD, USA 2005, CINEPIX, PREMIERA 17 LUTEGO

Wyróżnij się



www.aygo.pl

Wyróżnij się



www.avao.pl

W CZECHY!

Jaka znośna lekkość bytu

Tak się jakoś składa, że Czesi zawsze robią te filmy, które powinny być powstać w Polsce, tylko nie wiedzieć czemu, nikt ich tu nigdy nie zrobił. „Jazda” jest najlepszym tego przykładem, zwłaszcza że obecna wyłącznie na przeglądach czy festiwalach (powstała w 1994 roku!) i tak jakimś cudem zdążyła nad Wisłą zyskać status dzieła kultowego.

Oto najprostsza z prostych historyjek: dwóch kumpli pragnie przeżyć wakacyjną przygodę jak z amerykańskiego filmu drogi. Na szrocie kupują starego grata, przerabiają go na kabriolet i ruszają bocznymi traktami „w Czechy” (wszystkim, którzy nie widzą w tym nic nonsensownego, przypominam, że to kraj wielkości dwóch województw ma-



WAKACJE, PRZYGODA, DZIEWCZYNA – OTO BANAL MINIONEGO LATO

zowieckich). Gdy dosiada się do nich tajemnicza autostopowiczka w czerwonej sukience, ścigana przez równie tajemniczego osobnika w czarnym oplu, leniwa podróż Radka i Honzika niespodziewanie zamienia się w kino akcji.

Za marne grosze, przy użyciu banalnych dialogów, kilku urokliwych scen (jak ta z wylegiwaniem się na wielkich belach słomy) oraz rewelacyjnej muzyki zespołu Buty udało się Sverákowi nakręcić bezpretensjonalny film o dorastaniu i naszkicować portret jego własnego pokolenia zachłyśniętego Ameryką, żyjącego z dnia na dzień, dla którego burzliwa historia sprzed kilku zaledwie lat (przypominam, że mamy rok 1994) to już archeologia. Nie mówiąc nic specjalnie głębokiego ani odkrywczego, „Jazda” zauroczyła widzów w Czechach, bijąc rekordy popularności.

Może to dlatego, że przed 11 laty jej ostentacyjna lekkość, błahość i odwrót od jakiegokolwiek zaangażowania nosiły znamiona prowokacji. Ciekawe, czy to nadal działa?

MAŁGORZATA SADOWSKA

„JAZDA”, REŻ. JAN SVERÁK, CZECHY 1994, VIVARTO, PREMIERA 17 LUTEGO

PACYFIKATORKA



NIANIA... W TRAKCIE ŚNIADANIA?

Choć mało tu czarów, film jest czarujący

Jak zapanować nad niesforną gromadką dzieci? To odwieczne pytanie zadają sobie w bajkach i rodzinnych komediach nie tylko zdesperowani rodzice, ale nawet agenci od zadań specjalnych (vide „Pacyfikator”). W „Niani McPhee” i gromadka jest zaskakująco duża (szczęśliwa siódemka), i niesforność w pierwszych scenach mocno przejaśkrawiona (dzieci sieją w domu zniszczenie, niemowlaka taplają w błocie, a kucharkę kneblują lub ogłuszają dużą patelnią). Po porażkach kolejnych 17 niań trafia się ta właściwa. Brzydka jak noc McPhee (Emma Thompson nie do poznania!) nigdy nie podnosi głosu, ale efektów można jej pozazdrościć.

Szykowne kostiumy oraz scenograficzne detale (rzecz dzieje się w wiktoriańskiej Anglii), wysokiej próby aktorstwo (Colin Firth i Imelda Staunton), odrobina magii (na szczęście bez szaleństw – na prośby o czary McPhee odpowiada: „Pomyśl sam!”), sporo humoru, nieco grotesku, dyskretnie nawiązanie do „Portretu Doriana Graya” – wszystkie te elementy pewnie by się rozspalały, gdyby nie ich błyskotliwe zapętlenie i dobrze wyważone proporcje. To już zasługa Emmy Thompson, która kolejny raz, po „Rozważnej i romantycznej”, pokusiła się o napisanie scenariusza na podstawie książki.

Film jest więc sympatyczny i niegłupi, ale jako wielbiciel „Wiele hałasu o nic” nie mogę nie westchnąć: ileż z tego materiału mógłby wycisnąć Kenneth Branagh! Wiadomo jednak – to se ne vrati.

PAWEŁ T. FELIS

„NIANIA MCPHEE”, REŻ. KIRK JONES, WIELKA BRYTANIA 2005, UIP, PREMIERA 17 LUTEGO

SEN O MEMPHIS

Pierwsza świetna płyta 2006 roku. Album wokalistki, która chciała być prezydentem USA, a została królową Memphis

Cat Power? Naprawdę nazywa się Chan Marshall. Właśnie skończyła 34 lata, pochodzi z Atlanty, wychowywała się na Południu, jednak przez wiele lat mieszkała w Nowym Jorku. Pobyt w Afryce Południowej całkowicie zmienił jej tryb życia. Po powrocie kupiła cię żarówkę i rozpoczęła wędrówkę po Stanach Zjednoczonych, mieszkając tam, gdzie dusza zapagnie. Dzisiaj zrezygnowała już z nomadycznego życia, a że Nowy Jork dawno przestał ją inspirować, osiadła niedaleko Miami.

Jeszcze nie tak dawno Marshall deklarowała, że chciałaby zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych. Na szczęście porzuciła ten pomysł. W latach 90. była symbolem amerykańskiej undergroundowej ballady, folku lo-fi, idąc pod rękę ze Smog (niegdyś związana prywatnie z Billem Callahanem), Sebadoh, Palace Brothers. Zachwycała połączeniem te-

OTIS REDDING to zdaniem wielu największy głos tak zwanego southern soulu, wokalista pochodzący z Georgii i notujący wielkie sukcesy w połowie lat 60. Jeśli nie doczekasz się tak olbrzymiego dorobku jak James Brown czy Marvin Gaye, to tylko dlatego, że przeżył zaledwie 26 lat. Zginął tragicznie w katastrofie samolotu w Wisconsin wraz z kilkoma muzykami. Co ciekawe, podobnie jak Chan Marshall nagrał swoją wersję „Satisfaction” Stonesów.

go, co skrajne, skontrastowane, nieprzystawne – wrażliwego, eterycznego głosu i brudnej, chropowatej, traktowanej minimalistycznie gitary.

Cat Power ma na koncie sześć albumów, w tym dwa arcydzieła: „What Would The Community Think” (1996) i „Moon Pix” (1998). Nagrała też „The Covers Record”, przedziwny album z kompozycjami innych wykonawców. Z trudem można rozpoznać tu oryginały, choć są wśród piosenek tak znane, jak „(I Can’t Get No) Satisfaction” The Rolling Stones. Rozgłos przyniósł jej dopiero krążek „You Are Free” (2003) z gościnnym udziałem Dave’a Grohla (Foo Fighters) i Eddiego Veddera (Pearl Jam).

Nowy album pokazuje zupełnie inną twarz Cat Power. Odbija tu sentymentalną podróż do Memphis, nagrywając materiał zatopiony w estetyce country i soulu. Wymarzyła sobie płytę zarejestrowaną z muzykami Otisa Reddinga. Pomyślała więc o Memphis i o wciąż aktywnych sidemanach, którzy tworzyli historię brzmienia tego miasta. W trzy dni zmontowała grupę. Znaleźli się w niej wszyscy najważniejsi, oprócz organisty grającego już tylko gospel i muzykę kościelną. Marshall zaangażowała weteranów współpracujących z Alem Greenem, Booker T & The MG’s, Arethą Franklin. Szefem jej zespołu został słynny Mabon „Teenie” Hodges (współautor klasyka „Take Me To The River”). W jej pracy wszystko się zmieniło – dotąd przyzwyczajona do improwizowania w studiu, otrzymała do dyspozycji artystów znających nuty, zapisujących poszczególne partie, aranżujących piosenki na duży skład.

„The Greatest” – wbrew pozorom to nie zestaw największych przebojów – jest kameralną odpowiedzią na płytę „Nixon” zespołu Lambchop. Aksamitna sekcja smyczkowa, delikatne dęte, chórki, przestrzeń dźwiękowa, jakiej Marshall nigdy w swych utworach nie miała. Artystka pozostaje jednak sobą, introwertyczną kompozytorką, która komunikuje się ze światem jedynie poprzez piosenki. „The Greatest” to jej najbardziej dojrzały album. Już początek przynosi „klasyczny” wręcz utwór tytułowy. Znakomite są „Where Is My Love”, „The Moon”, niekończący się jam „Lived In Bars” czy niemal countryowy „Empty Shell”. Utwór „Willie” jest kontynuacją „Willie Deadwilder” – najdziwniejszej pieśni Cat Power, zamieszczonej na DVD „Speaking The Trees” – 18-minutowej opowieści napisanej w taksówce i zainspirowanej osobą wiozącego ją taksówkarza.

Cat Power wraz z muzykami z Memphis stworzyła album, o jakim zawsze marzyła. Ale nadal marzy. Tym razem o domu na wsi, na Południu oczywiście, niedaleko morza. Z owcami, kotami, kurami, psami, dziećmi i... mężem. Słucha Ala Greena, Niny Simone, Billie Holiday, Raya Charlesa, Dolly Parton i Johnny’ego Casha. I taki właśnie jest jej nowy album. – Czy spotkałam kiedyś Dylana? Nie – mówi w jednym z nowych wywiadów, ale zaraz dodaje: – Czy chciałabym go posłubić? Tak.

JACEK HAWRYLUK



CAT POWER „THE GREATEST”, Matador

Wyróżnij się



www.aygo.pl

Wyróżnij się



www.aygo.pl

NEGATYW I POZYTYW

Podwójne uderzenie z Mysłowic, czyli dwa projekty kojarzone z polską stolicą britpopu

Obie płyty łączy postać lidera Negatywu Mietalla Walusia, różni wszystko – od inspiracji po poziom utworów. Negatyw wraca właśnie z trzecią płytą zatytułowaną „Manchester”, więc człowiek nastawia się na nieudolną kopię Oasis. A dostaje kopię Nirvany. Wzorec, choć zacny, niekoniecznie przekłada się na dobre piosenki, bo „Manchester” to płyta z gatunku boleśnie przeciętnych. W dół ciągną przede wszystkim teksty. Utrzymane w estetyce, nie żartuję, podwórkowego rapu. Bo albo Waluś śpiewa o sobie („Mówią na mnie Mietall / Lubię słuchać

Sonic Youth”), albo komentuje rzeczywistość, ale w sposób, delikatnie mówiąc, specyficzny („Pedofilom uciąć członki / Policjanci są za grzeczni / Pani z poczty kupić hasz / Bo zły humor znowu ma”). Penny Lane, projekt, w który obok połowy Negatywu zaangażowany jest również Wojtek Kuderski, perkusista Mylovitz, radzi sobie lepiej. Po pierwsze, nie dezorientuje. Nazwa zespołu i tytuł płyty nawiązują do piosenki słynnej czwórki z Liverpoolu, więc i w muzyce jest brytyjsko. Sięga się tu do gitarowego popu lat 60. (The Beatles właśnie) i 90. (też na „b”, bo Blur). Wielkiej sztuki z tego nie ma, choć słuchanie piosenek przeładowanych aluzjami a to do „Nie zadzieraj nosa” Czerwonych Gitar, a to do „Sugar Baby Love” The Rubettes nie męczy tak jak wizyta w Manchesterze. Zawsze można zawołać osłuchanych kolegów i zgadywać: kogo kopiuje tutaj? Będzie miło. Dopóki nie zaczną cytować Negatywu.

ANGELIKA KUCIŃSKA



NA NASZYM ZDJĘCIU SIŁY PENNY LANE I NEGATYWU ZOSTAŁY POŁĄCZONE. MIETALL WALUŚ POJAWIA SIĘ WIEC DWUKROTNI

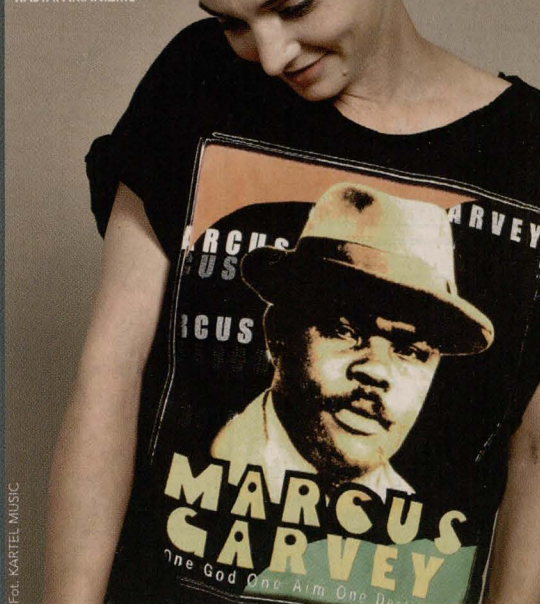


NEGATYW „MANCHESTER”, Polskie Radio



PENNY LANE „PENNY LANE”, EMI

SINÉAD PREZENTUJE
SWOJEGO IDOLA
MARCUSA GARVEYA,
IDEOLOGA
RASTAFARIANIZMU



ZMIANA NA RASTA

Sinéad O'Connor odradza się w rytmie reggae

Podwójny paradoks, że zdjęcie z komunii na okładce otwiera nowy etap działań Sinéad O'Connor. Po pierwsze, miała już się udać na muzyczną emeryturę, a tu proponuje odrodzenie. Po drugie, nie jest to bynajmniej odrodzenie chrześcijańskie, trudno je nawet nazwać religijnym, bo Sinéad serwuje ten zestaw rastafariańskich prawd po to, by uświadomić ludziom, jak bardzo niezależne od siebie bywają pojęcia Boga i religii. Nagrane na Jamajce „Throw Down Your Arms” to kilkanaście klasyków reggae z utworami Burning Spear i Lee Perry’ego na czele, a to wszystko wyprodukowane przez jedną z najsłynniejszych sekcji rytmicznych w dziejach – Sly Dunbara i Robbiego Shakespeare’a. O’Connor nawet nie próbuje wczuć się w klimat reggae. Wykonuje je w sposób naturalny, biorąc sobie do serca słowa Marii Callas: „Kompozytor zatroszczył się już o wszystko, więc trzeba śpiewać tak, jak on to napisał”. Nie trzeba się też do tej płyty długo przyzwyczajać, bo śpiew irlandzkiej wokalistki w tym karaibskim sosie przekonuje od pierwszych minut kapitalnego „Jah Nuh Dead”. Wydany przez małą firmę album wyszedł za granicę już w ubiegłym roku, ale na szczęście teraz dociera także do Polski. Na szczęście, bo co prawda nie jest to płyta z gatunku przełomowych, ale zarazem jest jedną z milszych ostatnio niespodzianek.

BARTEK CHACIŃSKI



SINÉAD O’CONNOR „THROW DOWN YOUR ARMS”, Kartel Music

EXTRA CLASSIC

Classic
RMF

TRÓJKĄT MUZYCZNY

Kiedy na okładce płyty widnieją obok siebie nazwiska: Robert Schumann, Klara Schumann i Johannes Brahms, trudno nie mieć pozamuzycznych skojarzeń. Taki oto „miłosny” zestaw kompozytorów proponuje na swojej najnowszej płycie „Reflection” Hélène Grimaud. Pianistka podjęła próbę narysowania muzyką związków łączących ten wyjątkowy muzyczny trójkąt. Fortepian – instrument par excellence romantyczny, idealne narzędzie do przekazywania najbardziej intymnych wzruszeń – wydaje się w tym przypadku niezastąpiony. O Grimaud mówi się często, że to artystka obdarzona nie-tuzinkową osobowością; ten album to potwierdza. Jednak jej interpretacja koncertu a-moll Schumanna nie może moim zdaniem równać się z nagraniami Świątosława Richtera czy Krystiana Zimmermana. Oczywiście nie można zapominać, że zagrał ten koncert nie tylko „ładnie” jest naprawdę trudno. Trzeba na te pół godziny spróbować wejść w skórę Schumann – cudownego szaleńca (niestety, także szaleńca prawdziwego...). Grimaud sprawia wrażenie zbyt poukładanej w swojej grze. Myślę, że pianistka lepiej odnalazła się w pozostałych kompozycjach: w pieśniach żony Schumann, które wykonuje razem z mezzosopranistką Anne Sofie von Otter, oraz w utworach Brahmsa.

JOWITA DZIEDZIC-GOLEC,
RMF CLASSIC

HÉLENE GRIMAUD, REFLECTION;
ROBERT SCHUMANN, KLARA
SCHUMANN, JOHANNES BRAHMS,
Deutsche Grammophon

Wyróżnij się



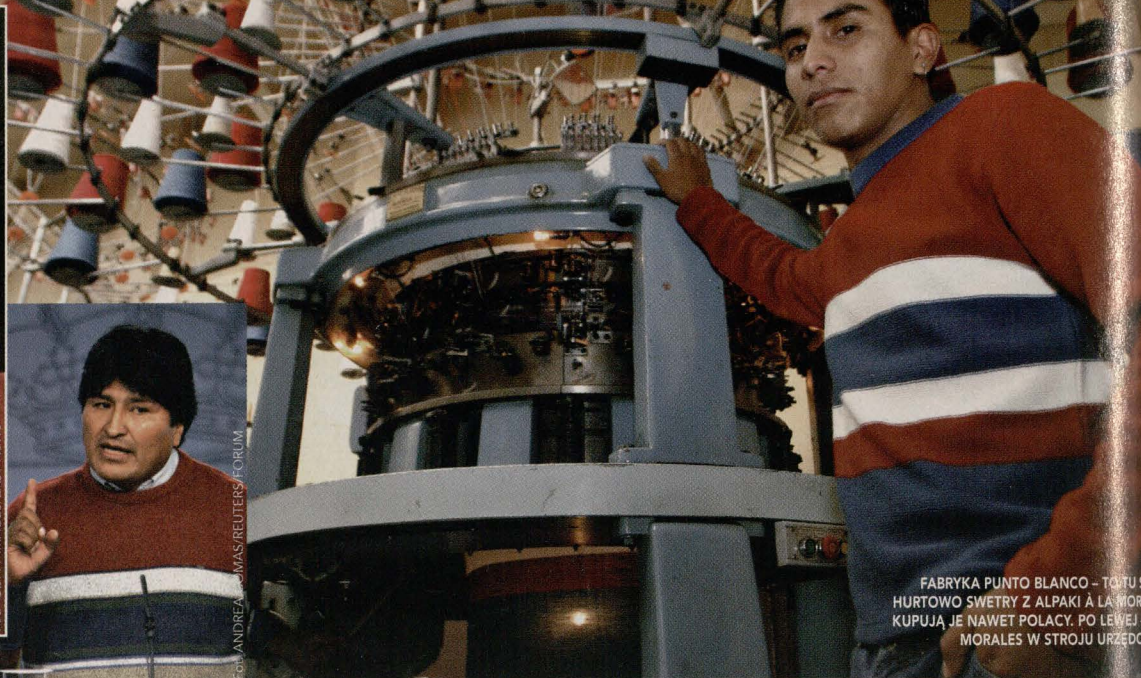
www.aygo.pl

Wyróżnij się



www.aygo.pl

NA ZAPRZYSIĘNIU PREZYDENTA BUSHA
PREMIOWANI BYLI POSIADACZE KOWBOJEK.
CZY POZOSTAŁYCH TRAKTOWANO Z BUTĄ?



FABRYKA PUNTO BLANCO - TOITU SZ
HURTOWO SWETRY Z ALPAKI A LA MORALES
KUPUJE JE NAWET POLACY. PO LEWEJ - I
MORALES W STROJU URZĘDOWYM

MODA PODSZYTA POLITYKĄ

Nawet gwiazdy kina
nie potrafią wylansować
ciuchów tak jak **polityczni
trendsetterzy**

Trójkolorowe swetry z welny lamy wzbudziły kontrowersje na światowych salonach. A w sklepach stały się hitem. Wszystko dzięki nowo wybranemu prezydentowi Boliwii Evo Moralesowi. Morales, Indianin i miłośnik koki, za nic ma zasady dyplomacji. Kiedy w swetrze z alpaki w czerwone, niebieskie i białe pasy spotkał się z prezydentem Chin Hu Jintao, królem Hiszpanii Juanem Carlosem i prezydentem Republiki Południowej Afryki Thabo Mbekim, wybuchł dyplomatyczny skandal, a ludzie z całego świata ruszyli do sklepów w poszukiwaniu identycznych wdzianek. Swetry z alpaki, znany produkt eksportowy Boliwii, z dnia na dzień stały się hitem internetowego handlu. Zwrócili nawet uwagę boliwijskiej firmy odzieżowej Punto Blanco, która rozpoczęła produkcję swetrów à la Morales. Sklep BoliviaMall.com do swojego asortymentu błyskawicznie włączył EVO

Alpaca Sweater (49 dolarów). Według właścicieli sklepu w ciągu tylko jednego tygodnia znalazły one już ponad tysiąc nabywców z ponad 24 krajów – w tym także z Polski. Szef serwisu Percy Alejandro Prieto w rozmowie z „Przekrojem” wyjawiał, że wiele osób, składając zamówienie, przysłała zarazem wyrazy poparcia i hasło „Viva Bolivia”.

Czerwone i czarne

Począwszy od czapek leninówek, poprzez degolówki, hipisowskie pacyfki, styl punk, po pomarańczowe szaliki, moda zawsze czerpała pełnymi garściami z polityki. Sankiuloci, czyli „ludzie bez krótkich spodni”, a więc ówczesni biedacy, byli najzarliwsi bojownikami rewolucji francuskiej. Dzięki descamisados, „ludziom bez koszul”, Juan i Evita Peron niepodzielnie rządili Argentyną. Bliższe zainteresowanie świata mody sferą ideologii było tylko kwestią czasu. Dziś często trudno odróżnić prawdziwą manifestację poglądów od sztucznie wykreowanego trendu.

Prawdziwe było noszenie arafatek i pomarańczowych szalików. Za to już czerwone koszule guayabera noszone przez populistycznego prezydenta Wenezueli Hugo Chaveza i czarne kowbojki Georga W. Busha, które przywódca ostatniego mocarstwa nie

tylko zakłada do garniturów, ale i daje w prezencie, to raczej sprytnie elementy socjotechniki. Chavez kreuje się na zwykłego Wenezuelczyka. Bush przypomina o swoim teksaskim pochodzeniu. A koszule i buty w sklepach robią furorę. Podobnie jak hit bazarów w całym Iranie – bawelniane wdzianko Mahmuda Ahmadihedżada, prezydenta Iranu i zarazem kreatora trendów.

Podobnie jest i u nas. Pasiaste białe-czerwone krawaty Samoobrony dwa lata temu były tak poszukiwanym towarem, że w samej partii wydano zakaz dawania lub sprzedawania ich osobom nieposiadającym legitymacji członkowskiej.

Pięć euro na cel

Modę na upolitycznione ciuchy zaczęli wykorzystywać producenci. Duńska firma odzieżowa Fighters+Lovers na swojej stronie internetowej ostrzega, że na noszenie jej ubrań mogą pozwolić sobie jedynie osoby powyżej 18. roku życia, i to takie, które nie obawiają się problemów z policją. Ryzyko związane jest z tym, że Fighters+Lovers nie kryje się z finansowaniem działań grup terrorystycznych – Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny (PFLP) oraz Rewolucyjnych Sił Zbrojnych Kolumbii (FARC). Od każdej sprzedanej

koszulki firma przekazuje na rzecz tych organizacji po pięć euro.

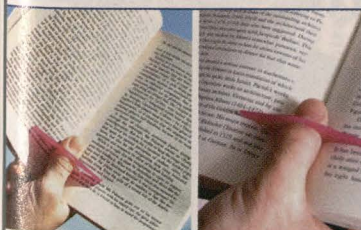
Estetyka proponowanych strojów nawiązuje do stylu palestyńskiej bojowniczkii Layli Khaled i kolumbijskiego dowódcy partyzantów Jacoba Arenasa. Buntownicza kolekcja cieszy się powodzeniem, a w internetowym sklepie zabrakło już niektórych rozmiarów koszulek.

Rząd Kolumbii już wystosował do władz duńskich prośbę o zajęcie się sprawą tych kontrowersyjnych produktów, co oczywiście zapewniło im jeszcze większy rozgłos. W Polsce firma Cropp do kampanii promującej swoją zimową kolekcję wykorzystała mohowera berety. Wprawdzie w tych ubraniach welna z kóz angorskich raczej się nie znalazła, ale reklama bazująca na ulubionym elemencie garderoby matki posła Tadeusza Cymańskiego zapewniła firmie duży rozgłos – nawet jeśli samo nakrycie głowy wzbudza wśród młodzieżowego odbiorcy bardziej reakcje „kontra” niż „pro”.

SYLWIA CZUBKOWSKA

rzeczy niedorzeczne ZAKŁADKA NA KCIUK

Rzecz na rękę
tramwajowym czytelnikom



Fot. WWW.FUN-IN-NUE.COM

Zatłoczony tramwaj, kasownik wbija się w mostek (ewentualnie mostek w kasownik), ty z literackim hitem w dłoni. Spokojnie czytasz, bo okoliczności przyrody nie utrudniają lektury. Niemożliwe? Możliwe. Wystarczy Thumb Thing, plastikowy pierścień na kciuk z wypustkami uniemożliwiającymi zamknięcie książki. Stworzony z myślą o nauczycielach i studentach, szczególnie polecany osobom, które czytają, trzymając książkę w jednej dłoni. Kupuje się to na www.abstuff.com. Kosztuje cztery dolary. Tydzień temu ze względu na duże zainteresowanie ofertę poszerzono. Wcześniej mieli Thumb Thing wyłącznie w rozmiarze S, pozostałych trzeba było szukać – dosłownie i w przenośni – na własną rękę. (AK)

listy



W SPRAWIE PSIEGO ŻARCIA

Polkarma – Stowarzyszenie Polskich Producentów Karmy dla Zwierząt Domowych – w związku z artykułem pod tytułem „Pieskie żarcie” („Przekrój” nr 48/2005) pragnie wyjaśnić, że zbilansowane, markowe produkty niezależnie od miejsca zakupu (supermarkety lub specjalistyczne kanały dystrybucyjne) gwarantują wysoką jakość stosowanych surowców i procesów produkcyjnych oraz zaspokajają potrzeby żywieniowe każdego czworonoga w zależności od wieku czy też stopnia jego aktywności.

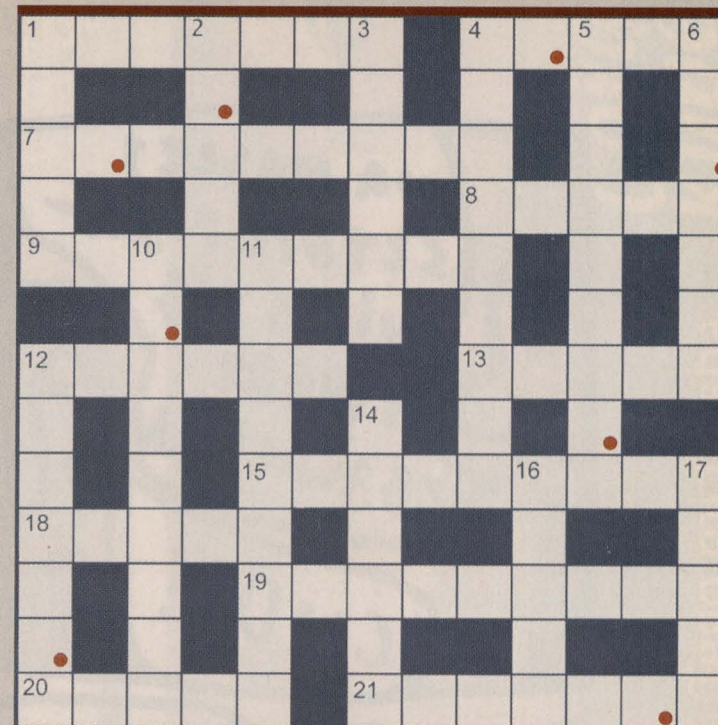
Jakość i bezpieczeństwo karmy dla zwierząt domowych są regulowane przez stosowne przepisy prawa, a jej produkcja odbywa się pod nadzorem weterynaryjnym. Członkowie stowarzyszenia Polkarma zobowiązali się do przestrzegania kodeksu dobrej praktyki produkcyjnej FEDIAF (Europejskiej Federacji Narodowych Stowarzyszeń Producentów Karmy), który reguluje wiele szczegółowych kwestii związanych z produkcją, jak i znakowaniem karmy dla zwierząt domowych.

Problemy skórne, które mogą pojawić się u czworonogów, są zazwyczaj wynikiem niedoborów w pożywieniu lub reakcją uczuleniową na składniki zawarte w jedzeniu domowym lub gotowej karmie.

Stosowanie tej samej kompletnej i zbilansowanej gotowej karmy gwarantuje uniknięcie problemów dietozależnych. Mamy nadzieję, że powyższe wyjaśnienia rozwieją ewentualne wątpliwości i pozwolą naszym klientom podejmować racjonalne decyzje oparte na rzetelnej wiedzy w tej kwestii.

**POLKARMA
STOWARZYSZENIE
POLSKICH PRODUCENTÓW
KARMY DLA ZWIERZĄT DOMOWYCH**

KRZYŻÓWKA nr 7



POZIOMO:

1. NA ZDROWIE
4. RUROCZYŚĆ
7. SZLACHETNY KAMIENIARZ
8. MONITOR POLSKI
9. PAN W PAN-IE
12. MATERIAŁ NA CZAPKĘ
13. BO WSZYSCY POLACY TO JEDNA...

15. MARYNA Z GAREM

18. PIPKI
19. CHODZĄ PARAMI
20. Z H CAŁA
21. TRZY GROSZKI

PIONOWO:

1. NIEMODNY KRÓJ
2. WÓDKA NIECZYSTA
3. GWIAZDA UKŁADU SŁONECZNEGO

4. BIEGNIŁ PRZESZŁĄ

5. MIERZY 1,86 M
6. POLSKA PRASOWA
10. NIE PRZELEWA JEJ SIĘ
11. RÓŻOWIC
12. INTELIGENT-NIE
14. „GŁOS WRZESZCZA”
16. RZECZ POSPOLITA, POLSKA
17. JA TAM BYŁEM, MIÓD I WINO PIŁEM

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

Rozwiązanie krzyżówki nr 4: MIŁOSTKA

Poziomo: 1.pianino 4.mówca 7.telewizor 8.gumka 9.atmosfera 12.węgorz 13.zyrafa 15.żółtaczka 18.złoty 19.nawigator 20.lania 21.kabanos

Pionowo: 1.pętla 2.niebo 3.odzież 4.margaryna 5.włamywacz 6.agrafa 10.megaloman 11.sprężyna 12.wydział 14.pływak 16.chata 18.adres

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 2 nagrody wylosowali: Krystyna Brachaczek, Essen; Małgorzata Ciba, Dwikozy; Henryk Galistl, Chelmek; Ewa Janowska-Boisse, Kraków; Bernadeta Kołodziejczak, Żary; Aleksandra Pietkiewicz, Bydgoszcz; Tomasz Pyda, Lublin; Bernadeta Ryba, Zduny; Genowefa Ślusarska, Warszawa; Magdalena Tarasiewicz, Warszawa. **Gratulujemy!**

Rozwiązania możesz teraz przesłać szybciej i taniej SMS-em! Wyślij SMS-a o treści PRKK.HASLO KRZYZOWKI na numer 71070 (netto: 1 zł; brutto: 1,22 zł/SMS). Pomiędzy czytelników, którzy do niedzieli 26 lutego nadesłają prawidłowe rozwiązanie za pomocą SMS-a lub na kartkach pocztowych (decyduje data stempła), wylosujemy 10 zwycięzców, którzy otrzymają książkę Renaty Serelyte „W imię ciemności” (Czarne).

Rozwiązanie rebusu nr 6: WDOWA

Za poprawne rozwiązanie rebusu nr 4 nagrody wylosowali: Maria Chejlo, Warszawa; Marta Chodowicz, Wesoła; Antares Grupa, Łódź; Aleksandra Pietkiewicz, Bydgoszcz; Bogusław Tyc, Płock. **Gratulujemy!**

„Przekrój”, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, z dopiskiem Krzyżówka 7

UWAGA! JOLKA nr 7 – szukaj w Internecie: www.przekroj.pl

POLICJA?

GDZIE RZYM, GDZIE KRYM...
... STRAŻ MIEJSKA

WILHELM SASNAL



PRZEKROJ Zależył w roku 1945 w Krakowie Redaktor **MARIAN EILE**

ADRES REDAKCJI: UL. WIEJSKA 19, IV P., 00-480 WARSZAWA, TEL. 584 25 25, FAKS 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL E-MAIL: redakcja@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY: Piotr Najstüb **ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:** Jacek Kowalczyk **PROJEKT GRAFICZNY:** Elżbieta i Bogdan Zochowscy
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Małgorzata Łaska **SEKRETARZE REDAKCJI:** Magda Gędziowska, Marcin Sendek, Maria Świetlik (zastępca) **ASYSTENTKA:** Anna Romotowska
KULTURA: Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez, Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska, Justyna Sobolewska **KRAJ:** Wojciech Mazowiecki (szef), Magda Papuzińska (zastępca), Juliusz Cwieliuch, Marcin Fabjański, Joanna Gorzelińska, Cezary Łazarewicz, Rafał Madajczak, Milena Rachid Chehab, Grzegorz Rzeckowski, Paweł Wieczorek
ŚWIAT: Wawrzyniec Smoczyński (szef), Jakub Kumoch, Marek Rybarczyk, Stale współpracują: Jonathan Cook (Jeruzolima), Piotr Kowalczyk (Rzym) **NAUKA:** Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski
ROZRYWKA: Marcin Pieszczyk **PRACOWNIA GRAFICZNA:** Piotr Gidlewski, Mateusz Hankala, Michał Janicki, Maria Klich, Agata Loth, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski **PAN OD RYSUNKÓW:** Jacek Ziemiński
FOTODYDZIA: Marcin Kapica (szef), Kuba Dąbrowski, Bogdan Kręžel (fotograf), Olga Piłśniak, Marek Szczepański **KOREKTA:** Tatiana Hardej, Sylwia Raczyńska **ARCHIWUM:** Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok
REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor **OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Jednostka Organizacyjna **SEKRETARIAT:** Iwona Chmielewska

WYDAWCA: EDIPRESSE POLSKA SA, UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA, TEL. (0-22) 584 22 00, FAKS (0-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICZWA: Zbigniew Napierała **WICEPREZES:** Ewa Redel **DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:** Izabela Bochenek **DYREKTOR FINANSÓW:** Paweł Satkowski
PUBLIC RELATIONS: Marcin Fedisz **DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKROJ”:** Iwona Zabielska-Stadnik **DZIAŁ DYSTRYBUCJI:** Grzegorz Barej – dyrektor
DZIAŁ PRODUKCJI: Danuta Kamińska – dyrektor **PRZYGOTOWALNIA:** Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor) **DZIAŁ PROMOCJI:** Anna Wyszowska – Product Manager
BIURO REKLAMY: Ewa Kozłowska – dyrektor, Artur Dudek, Grażyna Janiak, Anna Opszała, Małgorzata Skorupa, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, tel. (0-22) 5842-295, -172, -311, -594, (0-54) 236 55 28 (pn.-pt., godz. 8-16).

ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONYCH NIE ZWRACAMY. REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.

tel. (0-22) 584 25 74 **DRUK:** Winkowski Sp. z o.o. – Radzymin **PRENUMERATA WYDAWNICZA** – zamówienia (płatność przy odbiorze przesyłki), tel. (0-54) 236 55 28 (pn.-pt., godz. 8-16).
Dodatkowe informacje i reklamacje TEL. (0-22) 584 22 29 LUB 584 22 30 (PN.-PT., GODZ. 9-17).
PRENUMERATA@PRZEKROJ.PL, PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL **PRZEZ POCZTĘ** – PRZEDPŁATY PRZYJMĄJĄ URZĘDY POCZTOWE NA TERENIE CAŁEGO KRAJU
PRZEZ RUCH SA – informacja tel. (0-22) 532 87 31, faks (0-22) 532 87 32

Z GŁOWY
Krzysztof Biłczy

atający dywan ląduje w końcu na trzepaku.



LAST MINUTE
Krzysztof Piłta

O ambasadorach:
Podobno jeździ w Moskwie
Zamusi to w Iraku
Paskowski.

Rodzina Obcych
Rys. PAULUS MAZUR

karoca
Patryk Pałak

Od pewnego czasu po mieście jeździ karoca zaprzęgnięta w konie. Rodzina Obcych zastanawia się, kto w niej siedzi; jakiś hrabia, bogaty ekscentryk albo ktoś niespełna rozumu. Kiedy karoca przejeżdża przez miasto, ludzie uważnie ją śledzą w nadziei, że wytoni się z niej głowa właściciela. Chcieliby przynajmniej dojrzeć zarys jego twarzy albo włosy. Są wśród nich tacy, którzy twierdzą, że widzieli człowieka w karocy. Chwalą się tym tydzień lub dwa, a potem przestają, ponieważ nikt ich nie słucha. Obcym nigdy nie udało się zajrzeć do karocy, chociaż kilkakrotnie przejeżdżała w zasięgu ich wzroku.

JOLA TAK CZAKRAMY NA WAWELU POKAZYWAŁA ZE TERAZ TYLKO Z MAŁYM SMOKIEM PO DOMU BIEGA
HAKU BRZOŃSKI
MAWEL

– Jedzie! – woła syn Obły i razem z rodzicami staje na krawędzi chodnika, a karoca przetacza się w mgnieniu oka. Rodzina Obłych ogląda się za nią z żalem, ale żal mija i Obły idą dalej chodnikami.

Konjunkturalny Słownik języka nowopiskiego (dla obcypiskowców)
243

PiSeks – członek dowolnego ugrupowania politycznego koniunkturalnie sympatyzujący z PiS

PiSanka – PiSianka na Sejm IV RzecPiSpolitej PiSkiej

PiSarz – PiSjański wieszcz; w nadwornym wazeliniarstwie pym wiodą panowie J.P. i M.W.; przez wrodzoną grzeczność ograniczamy się jedynie do podania ich inicjałów

PiSekantrop – pieszczotliwie PiSek, obscenicznie homo erectus; praPiSjanin kopalny; nie mylić z troglodytą

PiSel – parlamentarzysta PiS na Sejm IV RzecPiSpolitej PiSkiej

PiSjanin – 1. lekceważący o członku PiS; 2. z szacunkiem o członku PiS

PiSjanizm – wyznawca PiSjanizmu

PiSjanizm – przeświadczenie o nieomyślności braci Kaczyńskich

PiSjonariusz – wyborca, który ma nadzieję, że PiS w cudowny sposób wskrzesi epokę wczesnego Gierka, ale bez komunistów, których najchętniej widziałby na Madagaskarze

PiSjonarz – ideolog PiS głoszący dziejowe i zbawienne dla narodu PiSkiego PiSianictwo PiS

PiSjonasz – pechowy prorok biblijny, który przewidział narodziny PiS

PiSjonat – 1. pasjonat PiS; 2. moherowy elektorat PiS; 3. pensjonat dla zasłużonego aktywisty PiS; zaleca się nieużywanie niniejszego terminu bez dokładnego zbadania kontekstu

PiSjonierstwo – wizjonerstwo w języku nowopiskim

PiSjonomia – obowiązujący wygląd zewnętrzny członka PiS, o którego powadze świadczyć ma nadwaga

PiSkłak – lekceważący o nieopierzonym członku PiS

PiSkorz – pierwotnie ryba słodkowodna; archetyp, a zarazem tajny symbol PiS

PiSkorski (Pawel) – PiSowski koń trojański w szeregach PO, p. PO(P)

PiSkosć – termin ten ma ustawowo zastąpić przestarzały, zbyt pospolity termin „polskość”, nieprzystający do nacechowanego wartościach chrześcijańskimi języka IV RzecPiSpolitej PiSkiej

PiSlandia – ewidentny barbarzyzm wydumany przez przeciwników PiS, mający w ich mniemaniu zdyskredytować zasadność powołania RzecPiSpolitej PiSkiej

PiSianictwo – obowiązująca w IV RzecPiSpolitej PiSkiej doktryna o nieomyślności i posłannictwie dziejowym przewodniej siły narodu PiSkiego

PiSmak – 1. szeregowy członek PiS; 2. dziennikarz służący jako oręż propagandowy PiS w walce z wrogiem nastawionym światowym wolnoPiSarstwem

cd. za tydzień



Knorr

Gorący Kubek

Tego mi trzeba

Szczyt marzeń



góry nagród



PKO Bank Polski jest sponsorem Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

PROMOCJA KARTY KREDYTOWEJ PKO VISA TURYN

Weź udział w promocji! Przyjdź do PKO Banku Polskiego po unikalną Kartę Kredytową PKO Visa TURYN z limitowanej edycji i zdobądź alpejskie nagrody:

- 5 wycieczek do kurortu Soelden w Alpach Austriackich dla dwóch osób,
- 50 plecaków i 500 saszetek Alpinusa.

Promocja trwa od 17 stycznia do 26 lutego 2006 r.

Teraz kartę możesz otrzymać za darmo!



PKO BANK POLSKI

Blisko Ciebie